

KRAWCZUK
RZYM I JEROZOLIMA

Aleksander Krawczuk

RZYM
i JEROZOLIMA

CZYTELNIK • WARSZAWA 1974

Obwolutę i okładką projektował
MARIAN STACHURSKI

i/i



GROBOWIEC DOMICJUSZÓW

Czy cesarz Neron zginął naprawdę? Czy rzeczywiście popełnił samobójstwo, wbijając sobie sztylet w gardło? Czy to właśnie jego prochy kryje porfirowy sarkofag w grobowcu Domicjuszów na Wzgórzu Ogrodów, tuż za miastem?

Od wydarzeń, które rozegrały się w początkach czerwca roku 68, upłynęło już kilka miesięcy, lecz takie i tym podobne pytania zadawali sobie w stolicy niemal wszyscy, a wielu — rzecz zdumiewająca! — odpowiadało na nie przecząco. Złożyło się mianowicie tak, że z różnych przyczyn ci i owi mieszkańcy Rzymu nie chcieli wierzyć urzędowej relacji o okolicznościach śmierci i pogrzebu Nerona, utrzymując ze szczerym przekonaniem: nasz pan żyje, czeka, powróci! Opowiadano więc:

To on sam przy pomocy kilku najzaufańszych wyzwoleńców zrecznie zainscenizował pozorne samobójstwo, a potem spalenie zwłok — oczywiście cudzych, podłożonych. Uczynił to w tym celu, aby zwieść morderców, już go dopadających. Musiał tak postąpić, nie miał innego wyjścia, bo wtedy opuścili go wszyscy — jedni ze strachu, drudzy z głupoty. Uciekł, a obecnie przebywa gdzieś w ukryciu, w Italii albo nawet za morzem. Cierpliwie wygląda chwili sposobnej. A czas, nie wątpić, dopełni się rychło! Przecież to jasne, że ani Rzym, ani też prowincje nie zniosą długo ohydy star-

czych rządów Galby. Jak słusznie powiedział ktoś o nim: może i zdatny byłby panować, gdyby nie godny pożałowania fakt, że właśnie panuje!

Inni znowu, i to niechętni Neronowi, także nie wierzyli w samobójstwo, a swój sceptycyzm uzasadniali krótko i rzeczowo:

— To był tchórz. Jeśli ktoś go nie zabił, on sam z całą pewnością tego nie zrobił. A przecież nikt nie twierdzi, że z jego ręki zginął krwawy tyran, nikt się tym nie chełpi, nikt nie zażądał nagrody. Wszyscy przypisują temu kabotynowi popełnienie czynu męskiego, do którego po prostu nie był zdolny!

Zwracano wreszcie uwagę na to, kto zajął się złożeniem zwłok Nerona na stosie, potem zaś prochów do grobowca Domicjuszów (bo z tego rodu cesarz pochodził): trzy kobiety. Jego piastunki Ekloge i Aleksandra oraz Akte, nałożnica odepchnięta przed laty, lecz kochająca wiernie i szczerze. Nie szczędziły one starań i kosztów, by pogrzeb wypadł jak najgodniej. Wyłożyły z własnych pieniędzy ponad dwieście tysięcy sesterców; najwięcej dała chyba Akte, była bowiem kobietą niezmiernie zamożną i z łaski Nerona posiadała rozległe majątki ziemskie, wspaniałe wille, roje służby. Ciało spaliły zawinawszy je w dywan śnieżnobiały, przetykany złotą nicią; ten sam, który rozwinięto przed cesarzem w czasie uroczystości noworocznych w dniu 1 stycznia, a więc sześć miesięcy przed tragicznym końcem. Lecz czyje było to ciało? Czy rzeczywiście Neronowe? Tylko one wiedziały — tak utrzymywano — bo tylko im Neron mógł ufać całkowicie, we wszystkim, w każdej sytuacji. A pieniądze na pogrzeb nie żałowały może właśnie dlatego, aby wywołać wrażenie, że pali się naprawdę zwłoki pana Imperium!

Przy płonąącym stosie stał także Sporus. Swego cza-

su Neron chciał koniecznie zrobić zeń dziewczynę. Rozkazał go wykastrować, a potem nawet poślubił, formalnie i ceremonialnie, jako żonę. Chłopiec był również obecny, jako jedna z nielicznych osób, przy samobójstwie swego pana w podmiejskiej willi. Wszystko to dawało podejrzliwym łatwy a znakomity materiał do szyderstw:

— Cóż to za dostojni i ufność budzący świadkowie zgonu i pogrzebu! Wyzwoleńcy, kastrat, konkubina, piastunki! Jakże im wierzyć? Któż potraktuje rzecz poważnie? Komedia to wszystko, komedia, co prawda pomyślana i przeprowadzona wcale zręcznie. Jak na artystę przystało.

Takie i tym podobne rozmowy często słyszało się wśród ludu, któremu nagle odebrano samą słodycz, ba, niemal sam sens życia: wspaniałe igrzyska, barwne przedstawienia, wesołe zabawy. A także radość plotkowania o pałacowych intrygach, zbrodniach i orgiach. Żałowano tamtych czasów i tamtego władcy. Toteż na białej płycie ołtarza nad porfirowym sarkofagiem w grobowcu Domicjuszów często znajdowano wieńce i bukiety wonnych kwiatów, pięknych i świeżych. Składali je tam nawet ci, którzy twierdzili, że sarkofag jest pusty lub kryje obce, przypadkowe prochy; pragnęli jednak dać symboliczny wyraz swym uczuciom i przywiązaniu do pamięci prawego cesarza. Na samym zaś Forum tuż przy głównej mównicy nocą potajemnie ustawiano podobizny Nerona. Po kryjomu przybijano tam również edykty, w których rzekomo żyjący władca oznajmiał tonem groźnym: „Zjawię się wkrótce, aby wziąć surową pomstę na wszystkich, co okazali swą wrogość wobec mnie i całego ludu rzymskiego!”

Chyba sam Los chciał dopomóc tym życzeniom, tę-

sknotom i zapowiedziom: Galba, następca Nerona, panował tylko pół roku! W dniu 15 stycznia roku 69 zamordowali go na Forum żołnierze jego własnej straży przybocznej, pretorianie. Uczynili to skutkiem zdrady i knowań Othona. Niegdyś należał on do grona najbliższych przyjaciół Nerona; ten jednak odebrał mu w roku 58 piękną Sabinę Poppeę, jego zaś samego posłał na honorowe wygnanie do Luzytanii jako namiestnika prowincji obejmującej mniej więcej ziemie dzisiejszej Portugalii i zachodniej Hiszpanii. Z kraju nad Atlantykiem Othon powrócił dopiero po dziesięciu latach wraz z nowym cesarzem, Galbą; pomógł mu w dojściu do władzy, lecz po to tylko, aby wnet zacząć intrygi przeciw człowiekowi, którego sam wynosił na tron; nie cofnął się nawet przed przekupywaniem i podburzaniem pretorianów.

W ciągu tego samego miesiąca stycznia, splamionego zdradą w Rzymie i krwią Galby, dotarły do stolicy groźne wieści o buncie armii Renu. Już w pierwszych dniach nowego roku 69 obwołała ona cesarzem Aulusa Witeliusza, namiestnika Germanii Dolnej. A więc temu Imperium, które nie umiało ocenić błogości Neronowych rządów, groziła obecnie z wyroku mściwych bogów kara najstraszliwsza: wojna domowa. Rację mieli ci, co powiadali, że czas już dojrzał. Jeśli Neron żyje naprawdę, powinien ukazać się właśnie teraz, a powitają go radośnie wszyscy tęsknie wspominający pokój i wesele czternastu lat jego panowania.

WYSPA CYTNOS

I oto, jak gdyby odpowiadając na owe przyzwania, w lutym lub może jeszcze z samym początkiem roku 69 (na ołtarzu w grobowcu Domicjuszów składano wówczas wiązanki skromnych fiołków) gruchnęła wieść, że Neron objawił się na Wschodzie, gdzieś w Grecji lub w Azji Mniejszej. Neron to, Neron prawdziwy, nie sposób wątpić! Ta sama twarz i postawa, tak samo ułożone włosy, dość długie i swobodnie puszczone z tyłu, nawet oczy podobne: szare i patrzące ostro, jak często u krótkowidzów. Oczywiście umie on grać na kitarze i pięknie śpiewa. Dał się rozpoznać najpierw na greckim Wschodzie, co jest w pełni zrozumiałe. Przecież zawsze oświadczał, że miłuje Hellenów nade wszystko, bo tylko oni potrafią ocenić prawdziwie utalentowanych artystów. W ostatnich latach swego panowania wiele podróżował po Helladzie, przywracając do życia stare igrzyska i odwiedzając miejsca święte, a w roku 66 oficjalnie uznał całą tamtą krainę za wolną, co jej mieszkańcy przyjęli ze szczerym entuzjazmem; miałby więc wszelkie prawo oczekiwać, że obecnie spotka się u nich z radosnym przyjęciem i otrzyma wszystko, czego tylko zażąda.

Dobrze było tak gwarzyć i politykować w tawernach nad Tybrem, spokojnie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, lecz chytry i małoduszni Greczynowie wcale nie zamierzali ryzykować. Nie spieszyli z pomocą. Nie odważyli się na żaden gest przychylności ani ci wierzący, że to naprawdę pojawił się tamten cesarz, ani też ci niezbyt ufni, skłonni jednak mniemać, że piękne by to było i korzystne, gdyby Neron znowu objął rzą-

dy. Oczywiście niczego nie zrobili najliczniejsi, od początku uważający owego człowieka po prostu za samozwance i oszusta. Owszem, zdołał on zebrać garść zbiegłych niewolników i zwykłych łotrzyków, ale byli to ludzie, którzy i tak nie mieli nic do stracenia, on zaś obiecywał im złote góry, gdy tylko znowu zasiądzie na tronie. Zawładnął marnym statkiem i śmiało popłynął przez Morze Egejskie gdzieś w nieznanne. Burza jednak rychło zagnała go ku wyspie Cytнос w archipelagu Cyklad. Tam zatrzymał się z konieczności na czas dłuższy. Przystań leżała na ważnym szlaku morskim, łączącym Helladę z wybrzeżami Azji Mniejszej, toteż okręty zawijały do niej dość często, choć zimowa pora żegludze nie sprzyjała. Podróżowało zwłaszcza sporo żołnierzy, urlopowanych z Syrii, Palestyny i Egiptu na okres chłódów i deszczów, kiedy z reguły nie prowadzono żadnych działań wojennych. Otóż ów Neron — bo jakże inaczej go nazywać? — wyłapywał ich i zmuszał, by wstępowali do jego straży przybocznej; kto odmawiał, ginął bez śladu. Łupił też kupców, a silnych niewolników spośród ich służby zagarniał i uzbrajał.

Z pewnością niewiele brakowało, by spotkał saraozwańca lub w porę usłyszał o jego pojawieniu się Tytus. W lutym powracał on z Koryntu na Wschód. Powracał zaś dlatego, że właśnie w Koryncie dowiedział się o zamordowaniu Galby. Tego Galby, któremu miał złożyć gratulacje jako nowemu cesarzowi w imieniu swego ojca Wespazjana i legionów tłumiących powstanie w Judei! Skoro wszakże Galba padł ugodzony mieczami pretorianów, a na tronie zasiadł nowy władca, Othon, misja stała się nieaktualna. Zresztą Tytus skwapliwie skorzystał z tej okazji przerwania podróży do Rzymu. Chętnie pożeglował znowu ku Syrii i Palesty-

nie, tam bowiem czekała nań królowa Berenika. Romans tych dwojga nie był tajemnicą i wielu współczesnych wprost powiadało, że właśnie uczucie, a nie sprawy polityczne, skłoniło młodego człowieka do zmiany planów. Jednakże na szczęście dla siebie — czy też raczej dla samozwańca? — Tytus obrał drogę nie przez archipelag wysp Morza Egejskiego, lecz dalszą i okólną, wiodącą wzdłuż wybrzeży greckich i ma-łozjatyckich. Kiedy więc rzekomy Neron usadawiał się na Cytнос, rzymski arystokrata, który nieraz widywał z bliska Nerona prawdziwego, był już gdzieś na Wschodzie, zmierzając ku Cyprowi.

Przypadkowo natomiast znalazł się na Cytнос centurion Sisenna. Jechał on jako oficjalny wysłannik legionów syryjskich do pretorianów w Rzymie. Wyprawiono go natychmiast po otrzymaniu wieści o zamachu w stolicy. Miał przekazać wyrazy uznania za obalenie Galby; wiózł też cenny dar, dobrze ukryty w tłumokach. Samozwaniec odniósłby duży sukces, gdyby zdołał przeciągnąć tego oficera na swoją stronę. Zdawał sobie z tego sprawę i nie szczędził wysiłków, by tamtego przekonać, że stoi rzeczywiście przed Neronem. Roztropny Sisenna udał, że wierzy we wszystko — i w stosownej chwili zbiegł z wyspy, nie zapominając o bagażu. Odtąd szeroko rozpowiadał o niezwyklej przygodzie, z pewnością jeszcze ją ubarwiając. Właśnie dzięki temu sprawa nabrała rozgłosu w Italii, wywołując wiele sprzecznych emocji. Nim jednak władze zdołały powziąć jakąś decyzję, niebezpieczeństwo zgasło równie nagle, jak się pojawiło. A stało się to tym sposobem:

Jeszcze Galba mianował nowego namiestnika Galacji i Pamfilii, dwóch krain w Azji Mniejszej; został nim Kalpurniusz Asprenas. Objąwszy rządy Othon no-

minąć j i tej nie odwołał. Asprenas ruszył w lutym ku swym prowincjom drogą morską; dla eskorty przydano mu dwa okręty z bazy floty wojennej w Zatoce Neapolitańskiej, w Misenum. Jednakże namiestnik minął się z Sisenną; rozkazał zarzucić kotwicę u 'brzegów Cytnos nie zwracając żadnej uwagi na mały statek w przystani i nie wiedząc nic o przebywającym tam sa-mozwańcu. Ten zaś, gdy tylko mu doniesiono, co to za okręty, zaprosił potajemnie obu kapitanów do siebie. Wyjawiał im, kim jest naprawdę, jakie spotkały go nieszcześcia i jak przemyślnie zdołał ujsć w Rzymie niechybnej śmierci, pozorując samobójstwo. Żałośnie opłakiwał straszliwą przemianę swego losu, wskutek której utracił wszystko — władzę, bogactwa, nawet imię! Pozostał wszakże osobą tą samą, prawdziwym Neronem, jedynym legalnym panem Imperium. Obecnie otwiera się przed nim i przed całym cesarstwem, tak umęczonym ostatnimi wojnami i przewrotami, nadzieja nowej, tym razem szczęsnej odmiany. Stać się to może właśnie dzięki przybyciu okrętów:

— Odwołując się do niezłomnej wierności, jaką flota misenacka zawsze mi okazywała w lepszych czasach, proszę was obecnie tylko o to, abyście pomogli mi dostać się do Syrii lub Egiptu. Wszystko potoczy się inaczej, gdy tylko tam stanę. Niewielkie ryzyko, a czeka was nagroda, o jakiej nawet marzyć nie śmiecie!

Zdumiewa, skąd ów człowiek wiedział, że marynarze i żołnierze floty misenackiej byli istotnie szczególnie przychylni Neronowi, który w ostatnich miesiącach swego panowania, gdy zewsząd nadchodziły wieści o buntach, zamierzał właśnie z nich uformować nowy legion. Oczywiście jakieś pogłoski mogły dotrzeć do samozwańca przypadkowo,, trudno jednak całkowicie

wykluczyć inne przypuszczenia, nawet to najbardziej nieprawdopodobne. Nasuwa się również pytanie, jaki był cel żeglugi ku odległym krainom południowym? Czy rzekomy Neron spodziewał się, że ich ludność i stojące tam legiony przejdą od razu na jego stronę? A może chciał uciec jeszcze dalej, poza granice Imperium, do Fartów, Etiopii, Indii? Taki plan byłby wcale realny.

Kapitanowie uważnie wysłuchali dramatycznej opowieści, przyjęli do wiadomości piękne obietnice, po czym odparli życzliwie, że wpieryw muszą się porozumieć ze swoimi ludźmi; wrócą natychmiast, gdy tylko wybadają ich nastroje. Poszli jednak nie do załóg, lecz wprost do namiestnika. Asprenas nie zwłóczył ni chwili; nie tracił czasu na pertraktacje i sprawdzanie, kto zacz podaje się za Nerona. Załogi okrętów, posłuszne jego rozkazom i pobudzone nadzieją nagrody, zniemacka uderzyły na „cesarski” statek. Samozwańca zabito od razu, chyba jeszcze w toku utarczki. Jego odciętą głowę Asprenas zabrał z sobą do Azji i dopiero stamtąd odesłał ją do Rzymu, gdzie wreszcie zaczęto dochodzić i badać, kim był naprawdę Neron z Cytnos. Snuto różne domysły, wymieniano imiona zbiegłych niewolników lub wyzwolenców, a ślady zdawały się prowadzić to ku Italii, to ku krainom nad Morzem Czarnym. Może zresztą ślad był tylko jeden — kogoś, kto uciekając znad Tybru oparł się aż w Azji Mniejszej? Wnet jednak doszło w samej Italii do przewrotu tak gwałtownego i krwawego, że ludziom, porwanym wirem wydarzeń, bunt na wysepce Morza Egejskiego wydać się musiał czymś wręcz śmiesznie błahym. Toteż śledztwo przerwano i nikt już oficjalnie przez czas długi nie wracał do tamtej sprawy.

„A WIESZ, W APOKALIPSIE
CO ZNACZY BESTYA?”

Lecz lud o Neronie nie zapomniał. Nawet głowa człowieka zabitego na Cytnos nie położyła kresu uporczywym pogłoskom, że prawdziwy Neron żyje i jeszcze powróci. W dziesięć lat później pojawił się na Wschodzie nowy samozwaniec, a po dalszych dziesięciu — a więc już w dwadzieścia lat po 'łożeniu porfirowego sarkofagu w grobowcu Domicjuszów! — jeszcze jeden. Czy trzeba lepszego dowodu, że właśnie ten cesarz cieszył się wśród mas ludności Imperium popularnością niekłamana? Nikt przecież nie wpadłby na pomysł, by ryzykując życie podawać się za Nerona, gdyby nie miał nadziei, że zyska poparcie w różnych krainach i warstwach. Żaden inny cesarz w ciągu pięciu wieków istnienia Imperium na Zachodzie nie zmar-twychwstawał tyle razy. Imię żadnego nie wywoływało tyle oczekiwania u jednych, a lęku u innych. Bo oczywiście nie wszyscy podzielali uczucie rzewnej tęsknoty do miłych, Neronowych czasów. Bardzo wielu w samym Rzymie i w prowincjach wspominało tamto panowanie ze szczerym przerażeniem. Ci przyjmowali wciąż ponawiane wieści o powrocie tyrana-matkobój-cy z taką zgrozą, że musiało to prowadzić do powstania trwałych urazów, kompleksów i psychoz. Trwałych do tego stopnia, że wryły się na wieki w świadomości europejskiej; głównie dzięki tajemniczej księdze z tamtych czasów.

W swym obecnym kształcie Apokalipsa, czyli Objawienie św. Jana, pochodzi, jak się najpowszechniej przyjmuje, z okresu panowania cesarza Domicjana,

a więc ze schyłku wieku pierwszego i z tych lat, gdy pojawił się trzeci Neron samozwaniec. Niemalø wszakże badaczy podziela pogląd, że przynajmniej niektóre partie Objawienia są starsze i powstały jeszcze pod koniec rządów samego Nerona lub wnet po jego śmierci, kiedy głośno było o człowieku z wyspy Cytnos. Niezależnie zaś od owych przypuszczeń jest oczywiste, że pismo poczęte w pierwszych pokoleniach chrześcijan musi zawierać jakieś wzmianki o prześladowcy. Toteż każdy, kto napotyka pod koniec rozdziału XIII słowa: „To jest mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę bestii przeliczy; liczba to bowiem człowieka. A liczba jego sześćset sześćdziesiąt sześć” — zadaje sobie pytanie, czy nie odnoszą się one właśnie do Nerona i czy nie zaszyfrowano w ten sposób jego imienia? Lecz jeszcze ważniejsze pod tym względem wydaje się inne miejsce. Chodzi mianowicie o rozdział XVII, w którym Rzym ukazany jest pod postacią niewiasty siedzącej na bestii szkarłatnej, bestii pełnej imion bluźnierczych, a mającej siedem głów i dziesięć rogów:

„I przyszedł jeden z aniołów, mających siedem czasz, i odezwał się do mnie, mówiąc:

— Chodź, ukazę ci sad nad Wielką Nierządnicą, która siedzi nad wielu wodami, a z którą królowie ziemi nierządu się dopuścili, a mieszkańcy ziemi się upili winem jej nierządu!

I zaniósł mnie w stanie zachwycenia na pustynie. Tam ujrzałem Niewiastę siedzącą na Bestii szkarłatnej, pełnej imion bluźnierczych, siedem głów i dziesięć rogów mającej. A Niewiasta była odziana w purpurę i szkarłat, cała zdobna w złoto, drogi kamień i perły, miała w swej ręce złoty puchar pełen obrzydliwości i brudów swego nierządu. A na jej czole wypisane imię-tajemnica: «Wielki Babilon. Macierz nierząd-

nic i obrzydliwości ziemi». I ujrzałem Niewiastę pijaną krwią świętych i krwią świadków Jezusa”.

Łatwo odgadnąć, że ostatnie zdanie mówi o prześladowaniach; na pewno tych za Nerona, a może i tych za Domicjana. Ten jednak, kto miał widzenie, jeszcze nie pojmował wszystkiego.

„I rzekł do mnie anioł:

— Czemu się zdumiałeś? Ja ci powiem tajemnicę Niewiasty i Bestii, która ją nosi, a ma siedem głów i dziesięć rogów. Bestia, którą widziałeś, była, a nie ma jej, i ma wyjść z Czeluści, i zdaża na zagładę. A mieszkańcy ziemi będą się zdumiewać — ci, których imię nie jest zapisane w księdze życia od założenia świata — spoglądając na Bestię, iż była i nie ma jej, a ma przybyć. Tu trzeba zrozumienia, o mający mądrość! Siedem głów to jest siedem gór tam, gdzie siedzi na nich Niewiasta. I siedmiu jest królów: pięciu upadło, jeden istnieje, inny jeszcze nie przyszedł, a kiedy przyjdzie, ma na krótko pozostać”.

Czy Bestia, która była, lecz obecnie istnieje i nie istnieje zarazem, wyszedłszy bowiem z otchłani podąży ku swej zgubie, to ów wciąż zmartwychwstający Neron? I czy on też jest tym szóstym królem, władającym aktualnie po pięciu, którzy już upadli? Na to by wyszło, jeśli liczyć, jak czyni wielu komentatorów, od Cezara włącznie. Prawda, że ten formalnie cesarzem nie był, rządził bowiem tylko na mocy swych uprawnień dyktatorskich, jednakże mieszkańcom prowincji — a tam powstawała Apokalipsa — ta różnica wydawać się musiała zgoła nieistotna; wiedzieli oni, że Cezar mógł decydować o wszystkim jak każdy jedynowładca, po śmierci zaliczony został w poczet bogów, a wszyscy panujący później nosili jego nazwisko w swej pełnej tytulaturze — aż po Nerona włącznie,

który w tym porządku jest szósty, a zarazem ostatni, zamyka bowiem dynastię julijsko-klaudyjską. Dalszy ciąg prorocstwa umacnia to przypuszczenie, chodzi bowiem o typowe „vaticinium ex eventu”, czyli o rzekome wieszczenie już po fakcie. Kimże mianowicie jest ten, który „jeszcze nie przyszedł, a kiedy przyjdzie, ma na krótko pozostać”? To oczywiście Galba; władał on tylko sześć miesięcy. W takim razie tę partię Objawienia zredagowano już po jego śmierci w dniu 15 stycznia roku 69, a więc za panowania Otho-na — i najprawdopodobniej pod wpływem wieści o pojawieniu się Nerona na Wschodzie, a więc w lutym lub marcu.

Lecz niezależnie od tego, jak będzie się rozumiało owe identyfikacje i wyliczenia, jedno wydaje się pewne: Neron, pierwszy prześladowca, stanowi ważny, a może nawet zasadniczy element wizji apokaliptycznej jako prawzór wszelkich Antychrystów. Gdy powstawało Objawienie, tylko stosunkowo nieliczne grupy ludzi, rozproszone po różnych miastach Imperium, myślały o tym cesarzu z taką nienawiścią i z takim lękiem słuchały pogłosek o jego powrocie. Dla wielu, może nawet dla większości, powtórzyć to trzeba raz jeszcze, był on postacią albo obojętną, albo nawet wręcz sympatyczną. W miarę jednak jak gromadki wyznawców Chrystusa rosły w liczbę i znaczenie, straszliwy obraz, zaklęty w słowach Apokalipsy, zawładnął wyobraźnią zbiorową na zawsze i całkowicie.



PATRZĄC NA RZYM Z MONTE PINCIO

Grobowiec Domicjuszów na Wzgórzu Ogrodów — dziś zowie się ono Monte Pincio — z biegiem wieków popadł w ruinę. Jego ozdoby i marmury, a nawet głazy, rozwleczono w różne strony. Z fundamentów nie pozostało ani śladu. Zaginął gdzieś porfirowy sarkofag, w którym spoczywały prochy Nerona. A nie jest bez znaczenia, że sarkofag był porfirowy! Ten ciemnoczerwony kamień sprowadzano nad Tybr aż z Egiptu; wprawdzie już za Klaudiusza zaczęto rzeźbić zeń posągi, lecz dopiero za Nerona porfir znalazł szersze zastosowanie w wystroju pałaców, zwłaszcza przy budowie Złotego Domu. Słusznie więc porfir stał się trumną władcy, który wielce go sobie upodobał; może wyboru dokonała Akte? Natomiast biały jak śnieg marmur ołtarza znad sarkofagu zdobi dziś zapewne któryś z rzymskich kościołów.

Lecz jeszcze w średniowieczu dobrze pamiętano, gdzie stał grobowiec i czyje spoczywały tam szczątki: bestii apokaliptycznej. Mieszkańcy domostw okolicznych pokazywali stare, ogromne drzewo — był to orzech — wyrosłe tuż obok ruin; skarżyli się, że bytują w nim złośliwe demony. Dlatego to pod koniec wieku XI papież Paschalis II rozkazał je ściąć; aby zaś na zawsze przegnać stamtąd ponure moce i wspomnienia, zbudował u podnóża wzgórza kościół zwany Santa Maria del Popolo. W drugiej połowie wieku XV papież Sykstus IV wzniósł go od nowa, i to w postaci znacznie okazalszej, trzynawowej, przydając mu kopułę. Wnętrze stopniowo wzbogaciło się rzeźbami i malowidłami wielu znakomitych artystów, wśród nich

także Rafaela i jego uczniów. Właśnie ten kościół uchodzi za jeden z najpiękniejszych zabytków budownictwa czysto renesansowego w samym Rzymie.

Ktokolwiek staje dziś na terasie wzgórza Pincio, podziwia rozległą panoramę miasta cesarzy i papieży. U swych stóp ma wielki, architektonicznie bardzo zdobny owal Piazza del Popolo (nazwa pochodzi od wspomnianego kościoła) z iglicą egipskiego obelisku pośrodku. Przecina ów plac prosta, długa ulica, w starożytności zwana Via Flaminia i wybiegająca już poza granice Rzymu dawnego; obecnie jej odcinek od centrum miasta nosi miano Corso, w miejscu zaś, gdzie dotyka ona placu, po obu stronach symetrycznie zbudowano niewielkie kościółki kopułowe, oba pod wezwaniem Marii — In Monte Santo i Dei Miracoli. Natomiast patrzący ma w dole tuż niemal przed sobą trzeci kościół w tym rejonie, jego kopułę, dach i dzwonnice; jest to właśnie Santa Maria del Popolo.

Gdy zaś wzrok podnieść, widać w oddali majestatyczną i nawet stąd ogromną kopułę bazyliki Świętego Piotra. Wypada uświadomić sobie, że wspaniały monument Domicjuszów, w którym pochowano Nerona, stał bardzo blisko miejsca, gdzie obecnie rozpościera się plac terasy; tradycja zaś utrzymuje, że kości apostoła Piotra, ukrzyżowanego z rozkazu Nerona i pochowanego tuż przy dawnej ulicy podmiejskiej Via Cornelia, spoczywają ponoć dokładnie pod kopułą tamtej bazyliki. W linii prostej dzieli te dwa groby przestrzeń niewielka.

NAUKA O SYZYGIACH

A właśnie sam Piotr tak nauczał mnie, Klemensa, oraz kilku swych bliskich, zebranych przy nim przed laty w dalekiej Cezarei nadmorskiej:

— Ten świat został tak zbudowany, że istnieją w nim pary zjawisk, rzeczy i pojęć, a także osób, przeciwne sobie, lecz zarazem wzajem związane i jakby zależne. Grecy zowią pary tego rodzaju syzygiami, czyli współpołączonymi. Takimi są, by podać przykłady najprostsze i najoczywistsze, dzień i noc, światłość i ogień, słońce i księżyc, życie i śmierć, wiedza i niewiedza. Otóż spośród wszystkich bytów tylko człowiek wyposażony został w zdolność dokonywania wyboru pomiędzy tym, co w danej syzygii słuszne, a co niesłuszne, pomiędzy prawdą a pozorem, pięknem a szpetotą. Jednakże, by wybór, a więc i zasługa, nie stały się zbyt łatwe, właśnie człowiekowi te współpołączenia jawią się w takiej postaci, że ich człon niższy, znikomy, złudny, przesłania tamten wielki, doniosły, rzeczywisty. Tak więc mamy stale przed oczyma, cenimy i uważamy za jedynie konkretny ten oto świat doczesny i przemijający, natomiast za ledwie potrafiemy myśleć o wieczności, która nie ma żadnych granic; podobnie też nasza niewiedza zawsze poprzedza prawdziwą mądrość. Przechodząc zaś do osób i badając, jak wśród nich działa prawo syzygii, trzeba przede wszystkim stwierdzić, że najuchwytniejsze ono w przypadku nosicieli ducha proroczego. Chwila bowiem obecna jest niby matka, która daje życie dzieciom, natomiast wieczność przyjmuje je jak ojciec. Stąd też mamy dwa rodzaje proroków. Istnieją mianowicie wróżowie **tego**

świata, a wieszczą oni fałszywie; powstają jednak w porządku czasowym zawsze przed prorokami prawdy, rzeczywiście patrzącymi wprost w przyszłość, albowiem już zostali przyjęci przez ojca i są jego synami prawymi. Gdybyż wszyscy o tym wiedzieli! Nikt wówczas nie dałby się zwieść Szymonowi Magowi. Temu, który powoduje obecnie wiele zamieszania, a naprawdę jest tylko pomocnikiem bóstwa lewej ręki, słabego i złego!

Syzygie bowiem powoływano do bytu w ten sposób, że najpierw powstawała zawsze ta będąca po prawicy i silniejsza, a potem dopiero lewa i słaba; niebo zostało stworzone przed ziemią. Lecz w świecie ludzkim jest odwrotnie. Słabszy człon syzygii pojawia się <A^T czasie przed mocnym; toteż spośród synów Adama pierwszy był niesprawiedliwy Kain, Abel zaś drugi. Można przytoczyć wiele przykładów owej reguły, zwłaszcza wśród proroków i patriarchów. Pamiętając o tym łatwo ustalić, że Szymon, który pierwszy poszedł do pogan jako rzekomy prorok, jest tylko ciemnością przed światłem, niewiedzą przed mądrością, chorobą przed ozdrowieniem. Składa fałszywe świadectwo, bo tak być musi. Kiedy zaś zbliżać się będzie koniec tego świata, tak samo najpierw zjawi się Antychryst, który zwiedzie wielu, a po nim dopiero Mesjasz. Komu nauka o syzygiach obca, temu trudno pojąć, kim naprawdę jest mój poprzednik Szymon. Toteż mnóstwo ludzi uczciwych mu ufa, choć nikt go nie zna. Miłują go, choć on nienawidzi wszystkich. Przyjmują jak przyjaciela, choć w istocie jest przysięgłym wrogiem każdego. Witają niby zbawcę, lecz on śmierć przynosi. Widzą w nim światłość, a on niszczy jak ogień!

Ośmieliłem się zapytać, jakim to sposobem zdołano

rozpoznać, ku czemu zmierzają zdumiewające praktyki Szymona. Na co Piotr odpowiedział:

— Żyje niedaleko stąd, w Tyrze, mieście fenickim, pewna niewiasta imieniem Justa, kananejka. Ma ona córkę Berenikę, która jako mała dziewczynka przed kilkunastu laty ciężko chorowała, opętana przez demony. Toteż gdy Pan przybył w tamte strony, Justa szła za nim krok w krok rozpaczliwie błagając, by ulitował się i uzdrowił córeczkę. On jednak długo odmawiał, wciąż powtarzając, że nie wolno psom rzucać chleba przeznaczonego dla dzieci. Aż wreszcie matka krzyknęła:

— Przecież i psy jedzą resztki, które spadną ze stołu!

I stało się wnet potem, że Berenika powróciła do zdrowia. Wówczas obie kobiety ze wzdrgnięciem odeszły od bogów, którym dotychczas służyły, i całym sercem przyjęły prawa Zakonu. Mąż Justy, poganin, natychmiast wypędził je z domu, ona zaś, pragnąc okazać się komuś pomocną, a w przyszłości uzyskać męską opiekę, kupiła dwóch małych chłopców, porwanych gdzieś w stronach dalekich i wystawionych na sprzedaż przez handlarza niewolników; byli to bracia rodzeni, i nawet bliźniacy, na co wskazywało choćby tylko ich uderzające podobieństwo do siebie. Wychowała obu jak najstaranniej, miłując jak własnych synów i pragnąc, by prawdziwie takimi się stali. Otóż gdy chłopcy ci podrosli i mogli już swobodnie wędrować, przystali na pewien czas do Szymona Maga, o którym głośno było wtedy w Samarii, Galilei, Fenicji. Należeli do jego uczniów najbliższych i najzaufańszych jako młodzieńcy pojętni i usłużni. Przejrzeli wszystkie sprawy czarnoksiężnika i przejęci zgrozą natychmiast

go porzucili. Obecnie są tutaj z nami i chętnie opowiedzą ci wszystko, czego byli świadkami naoczniymi.

Mówiąc te słowa wskazał ręką na Akwilę i Niketasa.

To, co z ich ust usłyszeliśmy, było zaiste zdumiewające, wręcz niewiarogodne. Mówili najpierw o ojcu i matce Szymona, który rodem jest z Samarii. Następnie o tym, gdzie czarnoksiężnik się kształcił i w jaki sposób doszedł do znaczenia wśród uczniów Dozyteusza. Przedstawili dokładnie podstępny, -dzięki którym zdołał strącić swego mistrza, zająć jego miejsce i zdobyć kobietę imieniem Helenę lub Selene. Bracia zapewniali, że Szymon istotnie potrafi dokonywać niemal cudów. Posłuszne mu posągi poruszają się jak żywe. On sam bezpiecznie stąpa, ba, tarza się po rozżarzonych węglach, a kiedy chce, lekko polatuje w powietrzu. Kamienie w chleb zamienia, a sam przybiera postać różnych zwierząt, staje się wężem równie łatwo, jak i kozłem. Technieniem woli otwiera drzwi mocno zamknięte, kruszy żelazne kajdany, a ciężkim przedmiotom w domu każe unosić się w górę, by swobodnie bujały pod stropem niby zeschnięte liście na wodzie.

Co miałem sądzić o tym wszystkim?

CZERWIEN I BIEL

Trudniej czy też łatwiej odpowiedzieć po tylu wiekach na pytanie Klemensa? Oczywiście najprościej byłoby przyjąć obojętnie lub z pobłażliwym uśmiechem dziwaczną opowieść o rzekomych prawach syzygii i niezwykłych cudach Szymona Maga. Można twierdzić, że w przypadku pierwszym mamy do czynienia z plodem naiwnego filozofowania, w drugim natomiast prezentuje się z całą jaskrawością prymitywna, trwóż-

na wiara w grpżne moce czarnej magii, wiara tak typowa dla pewnych epok i umysłowości! Czy warto więc badać tego rodzaju twory ani lotne, ani oryginalne, ani nawet artystycznie udane? Mogą one interesować co najwyżej jako świadectwo swego czasu, ukazują bowiem mentalność ludzi, wśród których rodziła się nowa religia. A świadectwo jest autentyczne, wypada to przypomnieć; tekst podany w rozdziale poprzednim powtarza wypowiedzi i myśli zawarte w drugiej księdze starochrześcijańskiej powieści „Homilie”. Jak była o tym już mowa w „Ennoi”, najstarsze jej warstwy sięgają może nawet wieku pierwszego, lecz wersje zachowane są znacznie późniejsze. Jedna z nich, grecka, to właśnie „Homilie”, czyli „Kazania”, druga zaś, łacińska, zwie się „Recognitiones”, czyli „Rozpoznanie”. Obie ujmują się zwykle wspólnym mianem „Klementyn”. Wzięło się to stąd, że bohaterem, a zarazem narratorem powieści jest Rzymianin Klemens, syn Faustu-sa. Utracił on za młodu całą najbliższą rodzinę; najpierw zaginęła matka, Matydia, gdy pod wpływem tajemniczej wróżby wybrała się w daleką podróż na Wschód wraz z braćmi Klemensa, bliźniakami; nieco później przepadł bez wieści usiłujący ich odnaleźć Fau-stus. Wreszcie i Klemens wyjechał z Italii; czynił to co prawda nie dla swej rodziny, nie wierzył bowiem, by tamci jeszcze żyli. lecz dla cudzoziemca imieniem Barnaba; spotkał go przypadkowo w Rzymie i tak się zachwycił jego naukami, że postanowił żeglować aż do Palestyny, gdy Barnaba tam powrócił. Zetknęli się ponownie w Cezarei. Tam też Klemens poznał samego Piotra i został wciągnięty w wielki spór z Szymonem Magiem. Od tego momentu głównym celem powieści staje się przedstawienie poglądów apostoła na różne kwestie filozoficzno-religijne; a poglądy te w wielu

punktach odbiegają daleko od głównego nurtu nauk Kościoła i zdradzają wyraźnie, że dzieło powstawało w środowisku chrześcijan judaizujących oraz gno-styków.

Tak więc „Klementyny”, choć miejscami pozornie naiwne, należą do najciekawszych zabytków ze świata religii antycznych. Pewne ich elementy wiążą się z bardzo starymi wierzeniami i systemami, a inne znowu stały się materiałem legend, które żyją i oddziałują do dziś poprzez wielkie arcydzieła literatury.

A więc przede wszystkim sprawa owych syzygii, czyli współpołączeń! Wyraz, przypomnijmy, występował w języku greckim od czasów pradawnych, określając czy to małżonków, czy też zwierzęta pod wspólnym jarzmem, czy wreszcie wszelkie pary osób, przedmiotów i pojęć; chodziło jednak zawsze o pary członów identycznych lub podobnych. Ciekawa zmiana dokonała się dopiero w terminologii astronomicznej; w niej wyraz oznaczał dwie gwiazdy⁷, związane ze sobą i zarazem przeciwstawne pod tym względem, że kiedy jedna pojawia się na niebie, druga równocześnie zachodzi. Piotr mógłby doskonale powołać się na ów przykład w swym wywodzie o szeregach syzygii. Gdzie jednak szukać źródeł doktryny? Kto pierwszy wpadł na pomysł, by strukturę bytów rozpatrywać właśnie w takich kategoriach? Szukając greckiego rodowodu cofnąć by się trzeba o kilka wieków wstecz, bo aż do Heraklita i E.T.pedoklesa. Pierwszy z nich wskazywał, że zmienność wszystkiego jest wynikiem nieustannego konfliktu sił przeciwstawnych, poddanych wszakże jednemu prawu. Drugi mówił o ró'wnie odwiecznej walce miłości i sporu; oddziałując na cztery podstawowe elementy powodują one powstawanie i upadek wszelkich bytów czasowych. Istnieją jednak oczy--

wiste różnice pomiędzy tymi starogreckimi koncepcjami a istotą prawa syzygii, to bowiem kładzie nacisk na współzależność i sprzężenie obu członów każdej pary. Niezależnie zaś od tego, jak będziemy rzecz rozumieć, można wskazać jeszcze jedno, i to nie greckie, źródło doktryny. Była nią religia irańska, konsekwentnie tłumaczająca wszystkie procesy kosmiczne i psychiczne w kategoriach dualizmu, a więc zmagania się dwóch wrogich sobie, lecz wzajem sprzężonych czynników dobra i zła, światła i ciemności, porządku i chaosu. Wierzenia irańskie w różnych formach rozprzestrzeniały się szeroko w świecie starożytnym; wystarczy przypomnieć choćby tylko kult Mitry, tak znany w epoce cesarstwa rzymskiego. W Judei przejmowano pewne koncepcje rodem z Iranu już chyba od czasów niewoli babilońskiej i panowania perskiego nad Palestyną. Bardzo uchwytnie zaznaczył się wpływ irański na poglądy sekty tak zwanych esseńczyków, mających swe prawie klasztorne osiedla nad Morzem Martwym. Wśród pism sekty, odkrytych przed dwudziestu kilku laty w pieczarach GJumran, zachował się również traktat przedstawiający przyszłą wojnę synów światłości z synami ciemności; wizja ta i jej stylistyka są z ducha irańskie. Podobnie ma się rzecz z wiarą w hierarchie aniołów i demonów, która zakorzeniła się mocno zarówno wśród esseńczyków, jak też i ogółu Żydów. Pogląd, że przynajmniej niektóre nauki „Klementyn” powstały pod wpływem religii Iranu, podbudować można, zdaniem pewnych badaczy, różnymi obserwacjami. I tak Piotr nazwał Szymona pomocnikiem bóstwa lewej ręki; to obrazowe powiedzenie wiąże się ponoć także z symboliką wierzeń irańskich. Albo też: typowy przykład syzygii winna oczywiście stanowić para mężczyzna — kobieta; „Homilie” rzeczywiście ją

wymieniają, zaznaczając przy tym wyraźnie, że pierwiastek żeński to zło i występki, co znowu odpowiadać ma wyobrażeniom irańskim. Oto słowa trzeciej księgi „Homilii”:

Co męskie, jest całe prawdą, a co żeńskie, całe błędem. Co zaś z tej dwójcy zrodzone, jest w części błędem, w części prawdą. Żeńskość okrywa swą krwią niby ogniem czerwonym białe nasienie męskie, krzepiąc w ten sposób obcą podporą własną słabość. Raduje się doczesnym kwiatem ciała i przez krótkotrwałą rozkosz niszczy siłę pierwiastka rozumowego; pociąga tłum ku grzesznej pożądlivosti i wskutek tego odbiera mu pięknego oblubieńca, jaki oczekiwali wielu w przyszłości. Każdy bowiem człowiek podobny jest do oblubienicy, której umysł rozjaśni się, gdy zapłodni go białe słowo prawdziwego proroka.

Mógłby ktoś rzec, że podobnie pogardliwe sądy czy to o lewicy, czy też o pierwiastku żeńskim spotykamy również w innych kręgach kulturowych i w różnych wierzeniach. Zapewne; chodzi wszakże o stopień i konsekwencję tak ujemnego wartościowania oraz o samą frazeologię. Zwróćmy na przykład uwagę, jak silnie skontrastowano w cytowanym fragmencie biel i czerwień; ta pierwsza jest męska, czysta, twórcza, prorocza, druga natomiast to symbol żeńskości, pożądania, krwi, niszczącego ognia.

SYROFENICJANKA JUSTA

Lecz słowa tak ostrego potępienia wszystkiego, co żeńskie, znajdziemy jedynie w teoretycznych partiach i wywodach „Homilii”, a zwłaszcza w owych dziwacznych spekulacjach na temat syzygii; natomiast w to-

ku powieści mówi się o występujących lub wspomnianych kobietach poważnie i z szacunkiem. Oto więc pobożna Justa i jej córka Berenikal Pierwsza z nich to postać dobrze znana z Ewangelii. Jest to bowiem owa niewiasta z Tyru, poganka, która zdołała uprosić Pana, by uzdrowił dziewczynkę, jej dziecko. Opowieść *tę* cytuje się często, i to właśnie w najuczestniejszych traktatach o początkach chrześcijaństwa. Zwraca mianowicie uwagę surowa, wręcz pogardliwa odprawa, z jaką początkowo spotkała się u Pana błagalnica. W połączeniu z innymi tego rodzaju scenami i wypowiedziami wydaje się to sugerować, że w pierwszym okresie „dobra nowina” była przeznaczona wyłącznie dla prawowiernych Żydów. Tylko oni znajdują uznanie jako ukochane dzieci, godne cudów i miłosierdzia, wszyscy zaś obcy to psy, które muszą się zadowolić w najlepszym razie resztkami z pańskiego stołu. Jednakże ani Marek (rozdz. 7), ani też Mateusz (rozdz. 15) — a tylko ci dwaj przytaczają opowieść — nie podają w ogóle imion matki lub córki. Pierwszy z nich nazywa kobietę z Tyru Hellenką, co w tym przypadku określa nie tyle jej narodowość, co pogaństwo, a dopiero w dalszych słowach wskazuje dokładnie pochodzenie etniczne: „z rodu Syrofenicjanka”. Natomiast Mateusz ogranicza się do stwierdzenia, że chodziło o Kananejkę, co w ówczesnym rozumieniu oznaczało mieszkańca Palestyny nie będącego Żydem, a więc w zasadzie poganina. Otóż „Homilie” wiernie powtarzają wszystkie owe nazwy, lecz podają także imiona obu kobiet! Powstaje oczywiście pytanie, czy autor powieści opierał się na jakiejś tradycji, bogatszej od tej, którą zachowały Ewangelie, czy też zmyślił imiona zwyczajem wielu pisarzy, nie tylko starożytnych; przydają oni chętnie konkretnych cech dawnym legendom, czerpiąc całą

swą wiedzę wyłącznie z fantazji. W tym przypadku nie można wykluczyć ani jednej, ani też drugiej możliwości. W każdym razie zastanawia wybór i zestawienie owych imion; bo nawet jeśli je zmyślono, to chyba niezupełnie dowolnie i nie bez głębszej intencji.

Pierwsze z nich, Justa, jest oczywiście pochodzenia łacińskiego. Znaczą Prawa, Sprawiedliwa. Często spotykane jako przydomek rodowy Rzymian, może dziwić u Syrofenicjanki, zapewne nawet nie znającej języka panów świata. Przypomnijmy jednak, że w wieku I i II występowało wśród Żydów lub ich sympatyków, i to w różnych krainach, było bowiem próbą oddania w języku łacińskim hebrajskiego imienia Sadok, o tym samym mniej więcej znaczeniu. Popularność imienia bądź przydomka potwierdzają zarówno teksty literackie, jak i napisy.

I tak za Nerona oraz jego następców zwał się Justusem pewien Żyd w Galilei, a więc w krainie graniczącej z ziemiami Tyru. Był to człowiek zamożny i wpływowy, a przy tym wykształcony w naukach helleńskich. Odegrał nieco dwuznaczną rolę w początkach powstania przeciw Rzymianom, wyszedł jednak cało z wszelkich opresji dzięki niezmiennej opiece, jaką otaczał go pan ziem nad jeziorem Genezaret, król Agryppa II. W wiele lat później tenże Justus opublikował po grecku historię wojny żydowskiej. Rzecz niestety nie zachowała się do naszych czasów. Wiadomo wszakże, iż polemizował w niej z wcześniejszym dziełem na tenże sam temat i że bardzo krytycznie oceniał postawę, działalność powstańców oraz prawdomówność jego autora; był nim Józef Flawiusz, przywódca wojsk żydowskich na terenie Galilei, pojmany przez Rzymian do niewoli w niezbyt jasnych okolicznościach po zdobyciu miasta Jotapata. Józef, boleśnie dotknięty na-

pastliwymi — a może po prostu rzetelnymi? — wywodami swego krajana, ogłosił zamiast odpowiedzi autobiografię. Usprawiedliwia w niej, a nawet wręcz wychwala swe czyny wojenne, nie pomija natomiast żadnej okoliczności, by wyrazić się o Justusie w sposób możliwie niepocholebny. Lecz te kwestie są dla nas obecnie mniej istotne. Ważny jest fakt, pozornie drobny, że w I wieku występowało to imię na ziemiach północnej Palestyny, a nosił je ktoś nie będący Rzymianinem rodowitym. Dla ówczesnej popularności imienia znamienne jest i to, że sam Józef Flawiusz dał je swemu synowi; imię wroga!

W pismach Nowego Testamentu Justus występuje jako przydomek trzech osób, a mianowicie niejakiego Barsabbasza w Jerozolimie, Titiusa w Koryncie i wreszcie Jezusa, który dzielnie pomagał uwięzionemu apostołowi Pawłowi. Wszyscy trzej byli Żydami z pochodzenia lub też ludźmi żydostwu bliskimi, a więc tak zwanymi prozelitami.

Choć kwestie te wydać się mogą mało istotne, należało o nich wspomnieć, by uprzytomnić, że powieść starochrześcijańska, z której czerpiemy sporo materiału, oddaje dobrze klimat i zwyczaje epoki nawet w drugorzędnych sprawach, nawet w szczegółach.

DWIE LUB TRZY BERENIKI

.Lecz znacznie ciekawsze i szersze refleksje nasuwa imię córki Justy, podane w „Homiliach”: imię Be-renika. W latach, w których rozgrywa się akcja owej powieści, nosiła je piękna kobieta, sławna nie tylko w granicach Palestyny, ale i w samym Rzymie; była bowiem prawnuczką Heroda Wielkiego, siostrą i niemal

żoną króla Agryppy II, później zaś miała się stać umiłowaną Tytusa. Zdumiewa, że właśnie jej imię, niewiasty doprawdy nieświątobliwej (choć przykładowie nabożnej), upodobała sobie legenda chrześcijańska! Dała je opętanej przez demony córce Justy w Tyrze. Obdarzyła nim również pewną dorosłą kobietę, o której nagłym uzdrowieniu z przewlekłego cierpienia Ewangelie wprowadzie mówią, imię wszakże przemilczają. Mateusz, Marek i Łukasz podają relację zgodną, różniąc się tylko w szczegółach nieistotnych. Oto jak rzecz przedstawia Łukasz w rozdz. 8:

„Gdy Jezus szedł, powstał ścisk wokół. A była niewiasta cierpiąca na płynięcie krwi od lat dwunastu; wydała na lekarzy cały swój majątek, lecz nikt nie zdołał jej uleczyć. Podeszłszy z tyłu dotknęła frędzli jego szaty, płynięcie zaś krwi ustało natychmiast, I rzekł Jezus:

— Któż to mnie dotknął?

A kiedy wszyscy przeczyli temu, Piotr rzekł:

— Nauczycielu, to tłum cię otacza i naciska! Lecz

Jezus rzekł:

— Dotknął mnie ktoś, poznałem bowiem, że moc ze mnie wyszła!

Widząc zaś owa niewiasta, że się nie ukryje, podeszła bliżej i upadłszy przed nim opowiedziała w obliczu całego ludu, dlaczego dotknęła i jak została uleczona natychmiast. On zaś rzekł jej:

— Córko, wiara twoja uzdrowiła cię. Odejdź w pokój.

Opowieść zawiera elementy znamienne dla świata wyobrażeń i mentalności ludzi tamtych czasów. Moc czynienia cudów uważa się za rodzaj energii, zamkniętej w pewnych osobach, tak że nosiciel czuje natychmiast jej ubytek. Podobne tłumaczenia powtarzają

się w starożytności często. Nas wszakże interesuje to, czego w opowieści nie ma. Nie ma zaś mowy o tym, gdzie rzecz się działa, skąd pochodziła kobieta, jakie było jej imię. Tym piękniejsze pole otwierało się przed legendą!

Daleko na północ od jeziora Genezaret, w pobliżu źródeł Jordanu, leżało w pięknej okolicy na pół helleńskie miasto; zwano je Cezareą Filipową, w odróżnieniu od innej, nadmorskiej. Właśnie tam pokazywano w wieku IV, a pewnie i wcześniej, dom owej kobiety. Tuż przed jego bramą stały dwie figury z brązu. Euze-biusz, biskup niezbyt odległej Cezarei nadmorskiej, oglądał je na własne oczy w początkach wieku. Podaje taki opis w księdze VII swego dzieła „Historia kościelna”:

„Na wysokim kamieniu znajduje się spiżowy posąg niewiasty klęczącej i wyciągającej ręce przed siebie. Naprzeciw niej stoi posąg także ze spiżu. Ten przedstawia wyprostowanego mężczyznę; ma on na sobie płaszcz szeroki, pięknie zarzucony, i wyciąga rękę ku kobiecie. U jego stóp zdaje się wyrastać z samej kolumny jakaś niezwykła roślina; pnie się w górę aż do samego rąbka spiżowego płaszcza. Twierdzą, że wyobraża zioło lecznicze, skuteczne przeciw wszelkim chorobom.”

Lecz chrześcijaństwo jeszcze w początkach wieku IV oficjalnie nie uznawało kultu żadnych posągów i obrazów. Co więcej, wielu wyznawców nowej religii uważało, że sporządzanie podobizn jakiegokolwiek istoty żywej — nie mówiąc już o samym Panu! — jest ciężkim grzechem, gwałci bowiem drugie przykazanie. Powiada ono przecież wyraźnie: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co

jest w wodach pod ziemią; nie będziesz się kłaniał przed nimi i nie będziesz im służył.” Pomny tych słów biskup zaraz w zdaniu następnym próbuje usprawiedliwić zaskakujący fakt, że figura w Cezarei uchodziła w oczach tamtejszych chrześcijan za wyobrażenie Pana:

„Nic to dziwnego, że ci, co kiedyś byli poganami, wykonali te przedmioty doznawszy dobrodziejstw od Zbawiciela naszego. Wiemy przecież, że zachowały się także malowane portrety Pawła i Piotra, a nawet samego Chrystusa! Wydaje się mianowicie, że ludzie w dawnych czasach zwykli nie dość ostrożnie czcić ich tym sposobem jako zbawców, podtrzymując swój poprzedni obyczaj pogański.”¹

Zdanie nader interesujące dla historyka religii i kultury! Uczony dzisiejszy charakteryzuje to zjawisko podobnie, choć nieco innymi słowy: chrześcijaństwo w ciągu wieków stopniowo przejmowało to, co pierwotnie samo uważało za istotną cechę pogańskości; chcąc nie chcąc ustępowało przed potężną presją tradycji prastarej, powszechnej, drogą sercu ludu.

W przypadku posągów z Cezarei Filipowej mamy do czynienia z czymś jeszcze znamiennejszym i w swej wymowie niemal symbolicznym. Oto, jak dziś zgodnie przypuszczają chyba wszyscy badacze, chodziło tam o pogańskie w istocie figury wotywno; przedstawiały najprawdopodobniej boga lekarzy Asklepio-sa i jakąś kobietę, przypisującą swe uzdrowienie jego łasce. Tego rodzaju nabożne, a często i bardzo kosztowne dowody kornej wdzięczności — posągi, płaskorzeźby, napisy — wystawiano powszechnie i przez wiele wieków ku czci różnych bóstw we wszystkich krainach starożytnego świata, a tysiące ich dotrwało do naszych czasów; sam zaś obyczaj przeżył nawet śmierć

pogaństwa. Tak więc chrześcijańska legenda oplotła się wokół dawnych, obcych podobizn, dając im tylko nowe imiona i własną interpretację — ku chwale założyciela nowej religii. Stać się to mogło tym łatwiej, że grecki wyraz „soter”, tak często pojawiający się na dedykacyjnych napisach darów i pomników świątynnych, oznaczał w terminologii kultów pogańskich zbawcę, dobroczyńcę, uzdrowiciela, w chrześcijańskiej zaś — Zbawiciela.

W Cezarei Filipowej wpływy pogańskie były, jak się rzekło, wyjątkowo silne. I to zarówno wśród ludności miasta, jak też na dworze władcy, który miał tu swoją rezydencję przez lat kilkadziesiąt, bo od połowy wieku pierwszego aż po sam jego schyłek. Mowa oczywiście o królu Agryppie II. Rozbudował on miasto wspaniale, a ku czci Nerona, któremu tak wiele zawdzięczał, nazwał je oficjalnie Neroniadą. Tutaj to latem roku 67 gościł przez dni dwadzieścia Wespazjan, naczelną dowódca wojsk rzymskich tłumiących powstanie w Judei. Przebywał tam wówczas również syn jego Tytus; romans z siostrą Agryppy, Bereniką, kobietą równie pobożną, co i namiętą, zaczął się rozwijać, jak wolno przypuszczać, właśnie w tamtych dniach, i w Cezarei.

Istnieje pewna legenda, zapisana w tak zwanych Aktach Piłata, czyli w Ewangelii Nikodema; pismo to pochodzi z wieku IV. Otóż legenda utrzymywała, że w czasie procesu Chrystusa przed trybunałem Poncjusza Piłata zjawiała się niewiasta imieniem Bereniką (w wersji łacińskiej: Weronika). Nie mogąc się dostać bliżej, krzyczała z daleka:

— Cierpiałam na krwawienie, ale dotknęłam rąbka jego szaty i to, co trwało lat dwanaście, ustało natychmiast!

Lecz Żydzi odpowiedzieli:

— Według naszego prawa nie wolno dopuszczać kobiety jako świadka!

Odmierna wersja legendy przyznawała teź Bere-nice — zważmy to dobrze! — godność księżęcą; co prawda miała włączyć nie Cezareą Filipową, lecz Ede-są, położoną dalej na północy; to przemieszczenie łatwo wyjaśnić, albowiem w owych czasach Edesa należała do głównych ośrodków chrześcijaństwa na Bliskim Wschodzie. A według opowieści jeszcze późniejszej, pochodzącej zapewne z wieku VI, w ręku Bereniki znalazł się cuda czyniący portret Chrystusa; dowiedział się o tym ciężko chory cesarz Tyberiusz i rozkazał przywieźć obraz do Italii; gdy tylko go ujrzał, wyzdrowiał, nawrócił się i przyjął chrzest, Piłata zaś ukarał. I wreszcie już w średniowieczu wyrosła z owych prastarych elementów powszechnie znana legenda o Weronice, która przyłożyła swą chustę do skrwawionej głowy Chrystusa prowadzonego na Golgotę; rysy twarzy, utrwalone na płótnie, zachować się miały na wieki. Wtedy też dopiero pojawiła się naiwna, ludowa etymologia imienia Weroniki, które w rzeczywistości jest tylko drobnym przekształceniem formy pierwotnej, Bereniką lub Beroni-ka. Tymczasem wywód domorosłych uczonych głosił, że imię składa się z dwóch wyrazów, łacińskiego i greckiego, a mianowicie „verus” i „eikon”, co znaczy razem: prawdziwa podobizna.²

Zachowały się trzy obrazy Hieronima Boscha, przedstawiające w różny sposób i w rozmaitych układach scenę tę samą: Chrystus niosący swój krzyż. Za najdoskonalszy uchodzi ten, którym obecnie chlubi się muzeum w Gent. Głównym elementem kompozycji są głowy ludzkie, prawie wszystkie karykaturalne lub

znieształcone grymasem; zdaniem wielu właśnie to dzieło, przemyślane w każdym szczególe, stanowi jedną z ostatnich prac mistrza, może nawet ostatnią. W ciżbie twarzy zdeformowanych szpetotą, prostackich, napiętnowanych zwierzęcością, wzrok spotyka tylko dwa oblicza piękne, spokojne, smutne: ciemnowłosego, brodatego mężczyzny pośrodku, dźwigającego krzyż, oraz młodej niewiasty, stojącej nieco z boku. Ma ona niebieski zawój na włosach, z którego zwisają złociste wisiorki, zapewne symbol bogactwa i znaczenia; lecz suknia jest czarna i czarna wstążka przepasuje zawój. Kobieta zamknęła oczy i z pobladłymi wargami, pełna niemej rozpacz, odwraca się od mężczyzny otoczonego przez zbirów, pochylonego pod ciężarem; toteż twarz jej jasna i bardzo pociągła widoczna jest z profilu. Przed sobą trzyma białą chustę z odbitym na niej ciemnym wizerunkiem tego samego oblicza, które widnieje tuż obok. Łączy te dwie — lub trzy — twarze dostojne znamię już tak bliskiej śmierci.

A ktoś lubujący się w fantazjowaniu na temat niezwykłych sprzężeń syzygii mógłby się ich dopatrywać właśnie w związkach i dziejach legendy o niewiastach obdarzonych tym samym imieniem. Dwie rzekome Bereniki, obie uleczone ponoć w sposób cudowny, zrastają się w tradycji późniejszej jak gdyby w jedną postać; ta zaś, przeniesiona z kolei do miasta Bereniki rzeczywistej, przeistacza się w księżniczkę żydowską, prawdziwie żyjącą i sławną w latach narodzin chrześcijaństwa. I wreszcie wbrew czy też na przekór wszystkiemu, co o Berenice historycznej mówili współcześni, Berenika legendy zmierza ku świetlanym wyżynom świętości. Potomność więc okazała jej łaskę szczególną! Ta sama potomność, która ina-

czej potraktowała pamięć o Neronie. Cesarz, na którego grobie długo składano kwiaty; władca przez wielu miłowany i oczekiwany, toteż trzykrotnie zmartwychwstający, przybrał w oczach pokoleń późniejszych postać bestii apokaliptycznej. Lecz i w tym, rzecz by można, objawiło się prawo syzygii. Lub też kara wymierzona przez bogów — późno, ale sprawiedliwie.

KIEDY KARZA BOGOWIE?

Linęło już ponad dwadzieścia lat od śmierci Nerona. Pewnego dnia czterech mężczyzn przechadzało się w portyku delfickiej świątyni Apollona, żywo rozprawiając. Jednym z nich był Plutarch, drugim jego brat, trzecim zięć, czwartym zaś bliski przyjaciel rodziny. Nie ukrywali swego wzburzenia. Dotknęła ich boleśnie arogancja epikurejczyka, z którym dopiero co się rozstali. Oświadczył on krótko i autorytatywnie, że z całą oczywistością nie było i nie ma żadnej opatrności bożej, skoro różnym zbrodniarzom tak dobrze się powodzi do końca ich dni na tej ziemi! Co rzekłszy odszedł spokojnie, nawet nie czekając na replikę; dał do zrozumienia, że wszelkie argumenty odrzuca z góry jako nieprzekonywające. Nic dziwnego, że czterej mężczyźni uznali za swój święty obowiązek gruntownie i natychmiast rozpatrzyć ów problem. Stawiał on w trudnej sytuacji i wtedy, i jeszcze przez całe wieki później nie tylko filozofów, teologów i moralistów, lecz także rzesze zwykłych śmiertelników. Ludzie prości i nieuczeni wciąż zadawali sobie samym i innym kłopotliwe pytanie: Jak to się dzieje, jeśli naprawdę istnieją bogowie wszystko wiedzący

i sprawiedliwi, że tylu przestępców unika wszelkiej kary? Ba, codzienne doświadczenie pokazuje naocznie, że właśnie jednostki najbezwzględniejsze, gardzące prawem boskim i ludzkim, zbierają zawsze obfite plony swej podłości w postaci bogactw, władzy i sławy! Rozmówcy potraktowali zadanie, przed którym stanęli, bardzo poważnie. Skoro zabrakło przeciwnika, sami usiłowali odtworzyć jego argumentację i wykazać jej ewentualne słabe punkty. Nie pomijali przy tym żadnej trudności związanej z tym lub tamtym stanowiskiem. Postępowali więc w tak drażliwej sprawie możliwie bezstronnie, choć osobiście byli ludźmi głęboko wierzącymi w moc, dobroć i opatrność bogów nieśmiertelnych. Przebieg dyskusji Plutarch zreferował dokładnie w filozoficznym traktacie zwanym najczęściej „O późnej pomście bożej”, choć tytuł pełny brzmi „O tych, których bogowie ukarali późno”, co trafniej oddaje przedmiot rozprawy. Do jakiej wszakże doprowadziła ona konkluzji ostatecznej? Tego Plutarch nie podaje wyraźnie. Nie twierdzi nawet, że taka, a nie inna była zgodna opinia wszystkich uczestników rozmowy. Mimo to każdy czytelnik łatwo odgadnie, że ukryta jest ona w pewnej opowieści; Plutarch przytacza ją pod sam koniec dyskusji, zaznaczając, że on z kolei usłyszał rzecz od jednego z przyjaciół.

Mowa o podróży człowieka pozornie zmarłego w zaświatach i o tym, co tam widział. Chwył ten wydaje się dziś łatwy i wręcz naiwny, powtarzał się bowiem nazbyt często w twórczości literackiej i parareligijnej "różnych epok. Opowieść wszakże godna jest bacznej uwagi, i to z kilku względów. Przede wszystkim pewne jej partie stanowią niemal arcydzieło wizjonerskiej wyobraźni. Co przypomina zarazem, ile jeszcze tkwi

w zabytkach kultury antycznej wartości albo nie docenianych, albo zbyt mało znanych, albo też po prostu źle odczytywanych. Podziwiamy od wieków wciąż te same aspekty i twory starożytnego świata, a pozostawiamy prawie że poza polem widzenia rozległe rejony jego nieokiełzanej fantastyki, chorobliwych urojeń i lęków, marzeń fascynujących i barwnych. Dlaczego tak się dzieje? Chyba z tego powodu, że owe dziedziny, dzieła i obrazy są z gruntu odmienne od tego, co zwykło się kojarzyć z samą nazwą cywilizacji klasycznej. A więc z pojęciami ładu, umiaru, racjonalizmu, śnieżnej bieli chłodnego marmuru.

Co równie ważne, opowieść Plutarchowa znakomicie uzmysławia, ba, pozwala wręcz namacalnie uchwycić pewien etap kształtowania się koncepcji, pomysłów, wyobrażeń, które wrosły mocno w system europejskich pojęć i rojeń religijnych. Toteż czytając tę rzecz wnikliwie można z jednej strony wyszukiwać w niej wątki, motywy znacznie wcześniejsze — platońskie, orfickie, staro- i nowopitagorejskie — z drugiej zaś co krok odkrywać, że owocowały one w świadomości późniejszych pokoleń (nawet jeśli te nie znały owej relacji bezpośrednio!) dziełami sztuki o rzadkiej piękności. Jakimi, domyśli się bez trudu każdy, kto wysłucha słów Plutarcha — czy też Tespezjosa.

TESPEZJOS W ZAŚWIATACH

Niejaki Tespezjos z miasta Soloj w Cylicji żył początkowo tak rozrzutnie, że w krótkim czasie zmarnował cały majątek; gdy się opamiętał, było już za późno. Odtąd nie gardził żadnym sposobem, by znowu stanąć na nogach; gotów był wszystko uczynić dla

zysku. Nic dziwnego, że wnet zebrał sporo nie tyle grosza, ile zlej sławy. Najwięcej szkody wyrządziła jego reputacji odpowiedź przyniesiona z wyroczni herosa Amfilocha. Tespezjos za czyimś pośrednictwem zwrócił się do niej z zapytaniem, czy będzie mu się lepiej wiodło przez resztę życia. Amfilochos odrzekł: „Będziesz żył lepiej dopiero wtedy, kiedy umrzesz!” Wszyscy zrozumieli te słowa oczywiście tak, że tylko śmierć może pomóc Tespezjosowi, albowiem za życia nic już nie zdoła go poprawić. I stało się, że po pewnym czasie zmarł wskutek wypadku: runął skądś wprost na kark i wyzionął ducha, choć żadnej rany nie odniósł.

Po trzech dniach, gdy wszystko już przygotowano do pogrzebu, pozorny nieboszczyk nagle sam się ocknął i powstał z mar. Potem, powróciwszy do sił, zmienił całkowicie swój tryb życia i sposób postępowania. Jego krajanie nie potrafiliby odtąd pokazać nikogo, kto by rzetelniej prowadził wspólne interesy, pobożniej służył bogom, surowiej traktował wrogów, wierniej miłował przyjaciół. Nic dziwnego, że wielu koniecznie chciało poznać przyczynę tak niezwyklej przemiany charakteru; twierdzono bowiem powszechnie, że gwałtowne przestawienie w psychice nie mogło dokonać się przypadkowo. Wreszcie, ulegając prośbom i namowom, sam Tespezjos przedstawił swym najbliższym całą prawdę:

— W momencie, w którym mój umysł oderwał się od 'Ciała, znalazłem się skutkiem strasznego wstrząsu w takim stanie, w jakim byłby sternik, raptownie wyrzucony ze statku wprost w głębinę morza. Wnet jednak uniosłem się nieco ku górze. Miałem przy tym wrażenie, że oddycham całym sobą, a rozglądałem się na wszystkie strony bez żadnego wysiłku, jak gdyby

to sama dusza rozwarła się szeroko niby jedno wielkie oko. Nie dostrzegłem wszakże ani jednego z tych przedmiotów, które otaczały mnie poprzednio. Byłem naprawdę w zupełnie innym świecie. Widziałem gwiazdy ogromne, oddzielone od siebie niezmiernymi przestrzeniami, a jaśniejące blaskiem o tak zdumiewająco intensywnej barwie i o takim natężeniu, że mogłem unosić się po jego promieniach lekko, szybko i we wszystkich kierunkach, niby okręt po falach spokojnego morza.

Ujrzałem też dusze zmarłych wstępujące z dołu ku górze. Przypominały bańki ogniste, gdy rozstępowało się przed nimi powietrze; potem ich powłoczki łagodnie pękały, a z wnętrza występowały kształty człeko-podobne, choć niewielkie. Ale nie wszystkie dusze poruszały się w swej drodze tak samo. Jedne wyskakiwały z zadziwiającą szybkością i zmierzały prosto *vi* niebo niby strzały. Inne znowu kręciły się w koło jak wrzeciona, to nieco się chyląc, to znowu podnosząc, wykonując przy tym niepewne ruchy po spirali dziwnie pogmatwanej; obroty ich ustawały dopiero po długim czasie, a i to bardzo powoli.

Większości dusz nie potrafiłem rozpoznać. Spostrzegłem jednak dwie lub trzy postaci jakby znajome, podszedłem więc ku nim i pozdrowiłem uprzejmie. Nie dosłyszały moich słów lub nie rozumiały. Czyniły wrażenie istot zupełnie nieprzytomnych, bezrozumnych i straszliwie przerażonych. Uciekały przed wszelkim dotknięciem, a nawet spojrzeniem. Najpierw krążyły samotnie, ale po chwili spotkały inne, znajdujące się w takim samym stanie; splotły się z nimi mocno i dopiero wtedy wszystkie razem zaczęły się miotać w różnych kierunkach, wydając przy tym niepojęte dźwięki; były to przeraźliwe wołania, przemie-

szane z zawodzeniami i jękiem. Inne natomiast dusze — widziałem je bardzo wyraźnie — szybowwały wysoko w górze, po przezystej światłości sklepienia. Bił od nich blask. Stroniły od tamtych, czyniących zamieszanie, chętnie natomiast zbliżały się wzajem ku sobie, pełne życzliwości. Odniosłem wrażenie, że oznajmniają smutek kurcząc się i malejąc, radość zaś i powitanie przez to, że się rozszerzają niby kwiat, co płatki rozkłada.

Wtedy to właśnie przystąpiła do mnie dusza jednego z mych krewnych, któremu jednak nie znał dobrze, zmarł bowiem jeszcze za mych lat chłopięcych, i rzekła:

— Nie dziw się i nie lękaj. Nie przekroczyłeś jeszcze progu śmierci prawdziwej. To tylko umysł twój przybył tu na skutek boskiego zrządzenia, lecz pozostałe władze duszy wciąż tkwią mocno zakotwiczone w ciele. Sam możesz łatwo przekonać się o tym, bo dusze naprawdę zmarłych nie rzucają cienia!

Gdym to usłyszał, zdołałem się skupić wielkim wysiłkiem woli. Rozglądając się wokół stwierdziłem, że jest rzeczywiście tak, jak tamten mówił. Tylko mnie towarzyszyła stale i wszędzie jakaś linia cienista i delikatna, podczas gdy tamte dusze otaczał blask, wnętrza zaś miały przejrzyste. Co prawda, gdym badał je dłużej i uważniej, zacząłem dostrzegać bardzo istotne wśród nich różnice. Jedne jaśniały światłem łagodnym, stałym i równomiernym jak to, którym promienieje księżyc w pełni. Przez inne znowu przebiegały jak gdyby blizny, znamiona, szramy. Niektóre dusze, całe w cętkach i wręcz niesamowite, były naznaczone czarnym, ohydny piętrem żmij. A jeszcze inne miały głębokie pęknięcia, sięgające niemal do ich wnętrza.

Mój krewny objaśniał:

— Najwyższą mścicielką zła wszelakiego ustanowiono Adrasteję, córkę Zeusa i Przeznaczenia. Żaden zbrodniarz, żaden przestępca nie jest ani tak wielki i możny, ani też tak mały i niepozorny, by zdołał jej ujść podstępem lub siłą. Niezlomnie strzegą tego i ściśle wykonują wyroki trzy boginie, podległe Adra-stei. Pierwsza z nich, Pojne, czyli Kaźń, chwyta niektórych złoczyńców jeszcze za ich życia w ciałach i karze właśnie poprzez ciała. Karze jednak nazbyt łagodnie i pozostawia jeszcze wiele, co trzeba oczyścić później. Tych natomiast, w których zło jest mocno zakorzenione, wymagają więc skuteczniejszego leczenia, ich duch opiekuńczy przekazuje po śmierci w ręce bogini Dike, Sprawiedliwości. Odtrąca ona zupełnie nieuleczalnych. Tych znowu ściga trzecia, naj-sroższa spośród bogiń, Erynia, czyli Pomsta. Skazani miotają się i uciekają w panice na ośle. Ona jednak dopadnie każdego i wtrąci w przepaść. A strach tę czeluść ujrzyć choćby z daleka, strach nawet mówić o niej!

Dalej mówił tak:

— Kara, jaką wymierza się winowajcom za ich życia, przypomina pewien obyczaj barbarzyński. Persowie mianowicie zdzierają z osób skazanych ich szaty, tiary, ozdoby, a potem biczują tylko te martwe przedmioty, podczas gdy właściciele stoją obok i tylko się przypatrują tej niby to egzekucji. Ale płaczą przy tyra, jęczą i błagają o litość zupełnie tak, jak gdyby to dręczono w sposób nieludzki ich samych! Podobnie więc owe cierpienia zadawane poprzez majętność lub ciało nie powodują w duszy bólu bezpośredniego i nie docierają do korzeni zła. W zasadzie poruszają one tylko nasze wyobrażenia, powierzchowne doznania,

łatwe do oszukania zmysły. Ktokolwiek jednak przychodzi tutaj ze świata żywych jeszcze nie w pełni ukarany i nie oczyszczony, tego chwyta, jak już wspomniałem, bogini Dike. Dusza obnażona i zupełnie naga nigdzie się nie wśliznie, nigdzie nie ukryje, niczym nie osłoni swej podłości. Widać ją zewsząd, oglądają ją wszyscy i w całej jej szpetocie. Dike pokazuje ją najpierw rodzicom, jeśli ci byli uczciwi. Potem także potomstwu. Jedni więc i drudzy mogą dokładnie stwierdzić, jaka jest wstrętna, jak niegodna ich krwi i rodu. Jeśli rodzice i potomstwo też byli źli, dusza musi oglądać, w jaki sposób karze się tamtych, one zaś jednocześnie też widzą jej męki. Podlega zaś torturom bardzo długim i wymyślnym. Każdą przywarę, każdy ślad przestępstwa usuwa się za pomocą katuszy. A te o tyle przewyższają swoją intensywnością tamte męki fizyczne, zadawane za życia, o ile jawa jest wyrazistsza od snu — choćby od snu najbardziej koszmarnego.

Blizny, pęknięcia i jady, pozostawione przez różne namiętności, u jednych są mniej trwałe, u innych znowu głęboko zakorzenione. Spójrz tylko na owe barwy dusz, barwy tak rozmaite, tak przemieszane! Co ciemne w nich i brudnawe, świadczy o tym, że człowiek ten za życia postępował nieszlachetnie, grzesząc zwłaszcza chciwością i małostkowością. Kolor krwistoczerwony i ognisty to relikty okrucieństwa, intryganc-twa, złośliwości. Gdzie szaroniebieski, tam jeszcze niecałkowicie usunięto łatwe uleganie rozkoszom. Nieżyczliwość natomiast oraz zawieszają plamy ciemno-fioletowe i sine. Tak więc tam na dole wszelka złość barwi w inny sposób, a dusza przekształca się pod wpływem swych pożądań i namiętności, z kolei zaś ona sama wywiera wpływ na wygląd ciała. Tutaj na-

tomiast przychodzi kres cierpień dopiero wtedy, gdy po pełnym oczyszczeniu dusza zaczyna jaśnieć blaskiem spokojnym i jednolitym. Zdarzają się wszakże w trakcie leczenia nawroty pasji i namiętności. Odżywają dawne pragnienia, co zawsze łączy się z gwałtownymi konwulsjami i miotaniem się. Owe schorzenia zwykle gasną szybko, czasem jednak prowadzą do stanu długotrwałych podrażnień. Wreszcie, po odbyciu kar wielokrotnych, pewne dusze osiągają doskonałość. Lecz są i takie, które ciągnie z powrotem w dół, w ciała istot żywych, nieusuwalny ciężar ich głupoty, lenistwa, pożądliwości. Czas najwyższy, byś i to ujrzał na własne oczy!

Co powiedziawszy zaczął prowadzić mnie gdzieś w tajemniczą dal przestrzeni bez granic.

GROTA BACHUSA I KRATER ZWIDÓW

l romienie światła unosiły nas niby skrzydła lekko i szybko, prosto ku celowi. W pewnym jednak momencie znaleźliśmy się w pobliżu jamy rozległej i głębokiej — i tu nagle jak gdyby rozwiała się siła, która dotąd podtrzymywała nas tak niezawodnie. Spostrzegłem, że także inne dusze doznają właśnie w tym miejscu czegoś podobnego. Zbierały się w liczne stada niby ptaki. Krążyły tu i tam, zawsze jednak wzdłuż brzegów jamy, żadnej zaś nie stało odwagi, by przelecieć wprost z jednej krawędzi na drugą. A przecież wewnątrz owej rozpadliny niczym nie przerażało! Przeciwnie, jak wnet zrozumiałem, było prawdziwie obezwładniające, ale tylko i wyłącznie swym boskim urokiem. Przypominało groty Bachusowe, zdobne zielenią i kwieciami wszelakim. Lekki i łagodny podmuch niósł

z sobą woń rozkoszną. Niby wino odurzał każdego, kto choćby raz tylko nim odetchnął. Toteż dusze pijane rozkoszą weseliły się beztrasko i jawnie okazywały swą radość. Wszędzie panował nastrój iście ba-chiczny, wszędzie królowały muzy zabawy. Mój przewodnik rzekł:

— Właśnie tędy wyszedł z mroków podziemia bóg Dionizos. Stąd rozpoczął swoją drogę ku słonecznym przybytkom bogów olimpijskich. Później wyprowadził w ten sam sposób swoją matkę, Semele. Miejsce to nazywa się Lethe, Zapomnienie.

Nie pozwolił jednak, byśmy pozostali w tym dziwnym miejscu rozkoszy dłużej, choć bardzo tego chciałem. Odciągnął mnie siłą, pouczając zarazem:

— Rozkosz sprawia, że pierwiastek umysłowy zanika i marnieje, krzepnie natomiast i sił nabiera wszystko, co w duszy ludzkiej nierozumne i związane z materia. Z kolei odradza się też pamięć ciała oraz powstaje pragnienie, by znowu rozpocząć życie na ziemi!

Ruszyliśmy więc dalej drogą promienną i przebyliśmy jej tyle co poprzednio. Wtedy to ujrzałem coś, co z dużej odległości wydało mi się ogromnym naczyniem do mieszania wina, kraterem. Wpadały doń kolorowe strumienie. Jeden z nich był bielszy od piany morskiej lub śniegu, inny przypominał purpurową wstęgę tęczy. Wszystkie barwiły się odmiennie, a każdy świecił blaskiem sobie tylko właściwym — gdy się patrzyło z daleka. Lecz gdyśmy bliżej podeszli, naczynie okazało się głębokim otworem, a barwy strumieni dziwnie ściemniały i blask ich przygasł. Prócz bieli. Spozrzegłem natomiast trzy demony, siedzące w ten sposób, że tworzyły rodzaj trójkąta. Mieszały

bezustannie potoki płynów tak, by wpływały w pewnych proporcjach. Przewodnik objaśniał:

— Aż do tego oto miejsca doszedł Orfeusz, gdy poszukiwał cienia swej żony. Źle jednak zapamiętał to wszystko, co tu ujrzał! Toteż zaniósł ludziom fałszywe opowieści. Między innymi i tę, że wyrocznię w Delfach Apollon dzieli z boginią Nocy. A przecież pan światłości nie ma żadnej z Nocą wspólnoty, mieć nie może! Tutaj znajduje się tylko wróżebny przybytek Nocy i Księżyca. Nie istnieje on nigdzie na powierzchni ziemi i nie ma też swej stałej siedziby. Mimo to wciąż jest obecny wśród ludzi! Jakim sposobem, pytasz? W postaci mar i zwidów! Tu oto, jak sam widzisz, powstają i stąd się rozpraszają na wszystkie strony marzenia senne. Zawierają wprawdzie jakąś cząstkę prostoty i prawdy, owszem, lecz przetykana jest ona złudną różnobarwnością.

Potem dodał:

— Nie wiem, czy potrafisz dostrzec stąd delficką wyrocznię Apollona, bo więz twojej duszy nie pozwoli ci wznieść się nieco ku górze. Nić wciąż jest ucepiona ciała, wcale się nie rozluźnia, trzyma cię mocno!

Mimo to usiłował podprowadzić mnie bliżej i pokazać światło wytryskające z trójnoga. Twierdził, że promień przechodzi przez łono bogini Temidy i opiera się aż o Parnas w Delfach. Otóż ja ujrzeć tego wszystkiego nie mogłem, bo blask oślepił mnie całkowicie. Przechodząc jednak obok usłyszałem ostry głos kobiety. Wieścił on wierszem miarowym różne sprawy. Przepowiedział także, tak mi się zdawało, kiedy życie zakończę. Ktoś rzekł:

— To głos Sybilli. Wróżka śpiewa, unoszona wciąż wokół na tarczy księżycowej!

Pragnąłem usłyszeć jeszcze coś więcej, lecz potężny pęd O'brotu odrzucił mnie do tyłu niby uderzenie ogromnej fali morskiej. Dotarli do mych uszu tylko jakieś krótkie słowa. O górze zwanej Wezuwiuszem. O pożodze, która zagrozi niedługo miastu Puteoli. A także krótki wiersz o cesarzu. Tym, który właśnie wtedy panował: „Dobry on, lecz nagle zachoruje i tak •straci wszystko!”

INTERPRETACJE

W stępna część opowieści Tespezjosa można by porównać do panoramicznego obrazu pędzla mistrza-fantasty; obrazu, stanowiącego przede wszystkim swobodne studium kompozycji kolorystycznych i kształtów przedziwnych. Mówi bowiem ona o nagłym przebudzeniu się na innym świecie; o wspaniałości gwiazd, które nagle stały się bliskie; o wyglądzie i drogach dusz odzianych w różne postacie i jaśniejących światłem rozmaitym. W części drugiej stajemy się najpierw uczestnikami lotu po przestworze fal promienistych, a potem krążymy nad jamą, która okazuje się wdzięczną grotą Bachusową. Ta partia utworu jest jako pomysł chyba jeszcze niezwyklejsza cd części pierwszej. Łączy mianowicie opis uroczego miejsca — a cała starożytność lubowała się w cienistych i chłodnych ogrodach skalnych, gdzie wśród soczystej, bujnej zieleni tryskają krystalicznie czyste źródła! — oraz zabawną wizję dusz-ptaków. Te zlatują się tam wielkimi stadami, ale po to tylko, by bezradnie snuć się wokół krawędzi; upaja je bowiem niby mocne wino sama woń odurzająca.

Jednakże artystycznie najświetniejsza jest część trzecia. Jawi się w niej ów rzekomy krater bezmierny. Brzmi urywany, lecz ostry i donośny głos Sybilli. Opis jest ciągłym ruchem, nieustannym mienieniem się barw i blasków, metamorfozą obrazów, które wręcz zachodzą na siebie i przeistaczają się w toku samej narracji w kształty coraz inne, niespodziewane. A dzieje się to niejako na oczach patrzącego, czy też raczej w wyobraźni każdego czytelnika, który pragnie iść wiernie za słowami relacji. Nie ma tu żadnego elementu, który by utrzymywał swą tożsamość. Opis mówi o snach i sam jest jak senne widzenie: nieuchwytny, wieloznaczny, pełen dziwnej, pozornie przypadkowej symboliki. Oczywiście dziś nie jesteśmy w stanie ogarnąć i pojąć wszystkich powiązań, całej treści każdej wypowiedzi. I tak na przykład tylko się domyślamy, że tu i ówdzie pobrzmiewa ukryta polemika z naukami sekty nowych orfików. Nieco łatwiej nam zrozumieć aluzje do starych mitów; tych, które głosiły, że jeszcze przed Temidą i przed Apollonem wyrocznia w Delfach władała bogini Nocy. Odgadujemy jednak, bo udowodnić tego obecnie nikt już nie potrafi, że istnieje jeszcze wiele ukrytych odniesień i znaczeń każdego obrazu, niemal każdego słowa tej części wizji.

Lecz oto pomysł rzadkiej oryginalności! Tespezjos opisuje dokładnie i plastycznie otwór, do którego wpadają różnokolorowe strumienie, przewodnik zaś natychmiast poucza i jego, i nas zarazem, że tego miejsca, tej wyroczni, naprawdę nigdzie nie ma, w żadnym ze światów; krater bowiem, w którym mieszają się strumienie, sam jest tylko zwidem i zwidy z siebie wysyła! Gdybyśmy musieli wyobrazić sobie w jakimś kształcie konkretnym źródło snów, powinno ono

właśnie tak wyglądać; lecz istnieje tylko w naszych sercach i myślach. Mimo to, powiada tenże sam obraz, należy dawać wiarę marzeniom sennym, a przynajmniej pewnej ich części. Biel bowiem oznacza prawdę i prostotę, różnorodność natomiast złudę. Otóż gdy patrzemy z daleka (jak początkowo Tespezjos), to jest gdy nie rozpatrujemy i nie analizujemy języka snów naszych, zwidy nocne wydają się efektowną, lecz bezsensowną plątaniną rozmaitych elementów. Dopiero podszedłszy bliżej, to jest zastanowiwszy się nad wymową widzeń, spostrzeżemy, że przygasają złudne kolory i blaski, pozostaje natomiast to, co istotnie ważne: biel prawdy. Tę zaś pozwoli nam wykryć i zrozumieć tłumacz snów, onejrokryta.

Czymże zaś jest ów otwór, który patrzącemu z daleka przypomina wielkie naczynie do mieszania wina, zwane przez Greków kraterem? Otóż — choć zabrzmi to zaskakująco — chodzi z pewnością o cień księżyca! Rozumieć to należy tak:

Cała podróż Tespezjosa odbywa się na pograniczu sfery podksiężycowej z niebem empieryjskim, czyli gwiezdny i eteryczny, tam bowiem właśnie, a nie w mrokach podziemia, bytują — jakkolwiek w różnych rejonach — dusze zmarłych. Dlatego to słyszeliśmy na początku opowieści, że gwiazdy wydały się przebudzonemu większe, a zarazem oddzielone od siebie ogromnymi przestrzeniami. Dusze wstępują z dołu, czyli z ziemi, a pędząc ku górze przez powietrze mają kształt kul, czy też baniek ognistych. Z kolei zaś grota bachiczna to cień, jaki ziemia rzuca w niebo. Cień ten jest symbolem i obrazem rozkoszy cielesnych, które powodują, że odurzona nimi dusza traci swą lekkość i chyli się w dół, ku nowym narodzinom. Chodzi w tym przypadku o doktrynę pitagorejską; tę, która

nauczała, że dusza ludzka może wędrować z jednego ciała w inne.

Z kolei czwarty obraz Tespezjowego widzenia. Dominuje w nim groza. Jest to wierny odpowiednik tego, co w tyle wieków później ujrzy Dante, oglądając piekło i czyściec. I podobnie jak to będzie w średniowieczu, opisy tortur potępieńców cechuje prymitywny sadyzm.

OSTATNI KRĄG

^wróciliśmy się następnie ku tym, którzy kary cierpią. Najpierw był to widok tylko przykry i żaloszny, w miarę jednak, jak szliśmy dalej i dalej, stawał się potworny. Spotykałem tam mianowicie, wcale się tego nie spodziewając, wielu serdecznych przyjaciół, znajomych i krewnych. Znosili nieustanne męczarnie i bóle straszliwe, żaląc się, jęcząc przeraźliwie i płacząc. Aż wreszcie, o zgrozo, ujrzałem swego ojca! Dobywał się z jakiejś przepastnej szczeliny i rozpaczliwie ręce ku mnie wyciągał, a cały pokryty był ranami i wrzodami. Ci, co go pilnowali, nie pozwolili, by milczał. Musiał wyznać, dlaczego tak cierpi. Popełnił mianowicie ohydny zbrodnię wobec gości, którzy na czas jakiś zatrzymali się w jego domu. Zwiedziawszy się, że mają złoto przy sobie, otruł ich wszystkich. Za życia zdołał to zręcznie ukryć, tu jednak rzecz się wydała natychmiast, bo ł była wiadoma od początku. Powiedział mi również, że część kary już odcierpiał, a teraz wiodą go na dalsze męki. Przerażony i wstrząśnięty nie ośmieliłem się błagać o litość dla ojca. Odwróciłem się i chciałem uciekać dokądkolwiek.

Lecz nie ujrzałem już swego przewodnika, tak łagodnego i tak mi bliskiego! Pojawiły się jakieś demony, straszne na wejrzenie, i zaczęły gnać mnie wciąż naprzód; musiałem przebyć całą drogę, którą ktoś chyba umyślnie mi wyznaczył.

Widziałem tam, że ci, których od razu, to jest jeszcze za życia, rozpoznano i ukarano jako przestępców, tu już nie znoszą męczarni tak długich i srogich, poddaje się bowiem torturom tylko nierozumną, uczuciową część duszy. Natomiast ci, którzy przeszli przez całe swe ziemskie bytowanie ciesząc się pozorem i opinią zacności, musieli obecnie pracować wywracać wnętrza swych dusz, obnażając je nie bez bólu. Demony obdzierały niektórych ze skóry, pokazując, że pod jej gładkością są straszliwie owrzodzeni, albowiem ich zło tkwiło głęboko we władczej i rozumnej warstwie duszy. Widziałem także potępieńców splecionych ściśle po dwóch lub trzech i wzajem się kąsających niby żmije, pamiętne tego zła i tej nienawiści, którymi tak hojnie przedtem się darzyły.

Są tam również trzy jeziora. Jedno kipi wrzątkiem złota, od drugiego wionie chłód ołowiowy, trzecie pełne jest roztopionego żelaza. Stały nad nimi demony i niby kowale brały przy pomocy narzędzi dusze, kolejno je zanurzając w owych cieczach. Byli to ci, których pchnęła do wszelakich niegodziwości nienasycona chciwość. Działo się więc tak, że kiedy dusza grzesznika zaczynała już gorzeć w płynnym złocie, zanurzano ją nagle ^ topieli ołowiu, a gdy się tam ostudziła i okrzepla w mroźnej siności, szła równie niespodziewanie do ostrego żaru roztopionego żelaza, gdzie natychmiast czerniała i kurczyła się tak straszliwie, że aż zmieniała swą postać; wtedy znowu wrzucano ją raptownie do jeziora złocistego kruszcu.

Powtarzało się to bez końca, bez przerwy i bez zmiłowania.

Lecz chyba najsrożej dręczono dusze święcie przekonane, że już są wolne i bezpieczne, bo swoje odcierpiały; właśnie te, spokojnie polatujące, chwymano z nienacka i poddawano torturom na nowo! Chodziło zaś w tym przypadku o takich zbrodniarzy, których winy i kary dziedziczyło ich potomstwo. Gdy więc dusza któregoś z potomnych, już męczona za grzechy przodka, spotykała sprawcę swych nieszczęść, rzucała się nań z wściekłością i nieustępliwie ścigała wśród potwornych krzyków; ten oczywiście uciekał i usiłował się kryć przed napastnikiem, zaraz jednak nadlatywały stróżujące demony i brały go z powrotem na katusze; on zaś, wiedząc dobrze, co go tam czeka, był przeraźliwie ze strachu. Byli i tacy, przy których zwisały dziesiątki dusz potomstwa niby roje pszczoł lub stada nietoperzy, piszcząc i sycząc z zapamiętałej nienawiści,

Ujrzałem wreszcie miejsce, gdzie sposobiono pewne dusze do powtórnych narodzin. I tym zajmowały się demony, przypominające swą krzątaniną pilnych rzemieślników. Miały one trudną pracę: musiały tak zmieniać i modelować dusze, by te mogły wejść w ciała różnych zwierząt. Posługiwały się więc przy swej żmudnej robocie rozmaitymi narzędziami, albowiem ze względu na odmienną naturę i kształty ciał trzeba było te części dusz spajać i łączyć, inne znowu wygładzać, piłować lub zupełnie usuwać; krótko mówiąc, przystosowywano tu całość do nowych warunków bytowania.

Właśnie tam ujrzałem duszę Nerona, straszliwie umęczoną. Przebijano ją na wylot gwoździemi wymowanymi wprost z ognia. Miała doznać wielkiej

przemiany, postanowiono bowiem — tak mnie ktoś objaśnił — że już niedługo urodzi się w postaci żmii; takiej, która wydostaje się na świat przeżerając łono swej matki; w ten sposób i on sam raz jeszcze stanie się matkobójcą, i z kolei padnie ofiarą swego potomstwa! Lecz w tejże chwili nagle zajaśniało światło oślepiające i rozległ się potężny głos, mówiący te słowa:

— Uczynicie zeń inne, łagodniejsze stworzenie! To, którego głos słyhać przy błotach i stawach. Neron odcierpiał już za swoje zbrodnie, a należy się mu przecież jakaś nagroda od bogów, albowiem obdarzył wolnością lud najlepszy i najpobożniejszy spośród wszystkich, nad którymi władał!

Wszystko to tak widziałem i aż do tego momentu. Właśnie bowiem chciałem odwrócić się do tyłu, gdym zdrętwiał z przerażenia. Oto niespodziewanie ujęła mnie za rękę jakaś niewiasta, piękna i wysoka, a słowa, które przy tym wypowiadała, przejmowały grozą:

— Podejdz no tutaj bliżej, abyś wszystko zapamiętał lepiej!

Jednocześnie przysunęła ku mej twarzy długą, żarzącą się trzcinę; taką samą, jakiej używają artyści malarze, gdy pragną utrwalić swe obrazy. Przeszkodziła jej wszakże druga kobieta — i w tejże chwili porwał mnie gwałtowny podmuch wichru. Odczułem silne szarpnięcie, jak gdyby ktoś nagle rozluźnił napiętą linę. Runąłem z wysoka znowu w swoje ciało i otworzyłem oczy. Leżałem na marach i niemal już w grobie.

UWAGI O KRĘGU OSTATNIM

Tylko Hieronim Bosch byłby godnym ilustratorem tej części Tespezjosowej opowieści, bo tylko on jeden spośród wszystkich mistrzów malarstwa wędrował tymi samymi drogami i widział sceny męczarni poczęte w podobnie sadystycznej wyobraźni; co zaś ujrzał, uwiecznił w ponurych i groteskowych zarazem wizjach siedmiu grzechów śmiertelnych, ogrodu rozkoszy, pochodu wozu żniwnego, a nade wszystko piekła i sądu ostatecznego. Starożytny pisarz i artysta ze schyłku średniowiecza odznaczali się z całą oczywistością imaginacją nie tylko bujną, lecz i dziwnie zbieżną. Łatwo odgadnąć, jak sugestywnie pokazałby Bosch to, o czym Tespezjos wspomina zaledwie w kilku słowach, dających jednak wiele do myślenia: warsztat demonów-rzemieślników, w którym przy pomocy różnych narzędzi przerabia się dusze ludzkie tak, by mogły wejść w ciała zwierzęce! Obaj też mieli bardzo zbliżone swoiste poczucie humoru. Oto Tespezjos (a może po prostu Plutarch?) kończy makabryczny przegląd tortur akcentem niemal dowcipnym: tyran i matkobójcą, mający stać się żmiją, niespodziewanie zostaje w pewnym sensie ulaskawiony: urodzi się ponownie, owszem, ale jako żaba poczciwie kumkająca w kałużach! Bo oczywiście tak należy rozumieć słowa o łagodnym stworzeniu, którego głos rozlega się przy błotach i stawach. A kryje się w tej zmianie wyroku, rzecz to zrozumiała dla każdego, także przejrzysta, złośliwa aluzja do pieśniarskich ambicji i publicznych występów cesarza-aktora. Lecz zaraz w zdaniu następnym humorystyczny pomysł

znajduje swe wcale poważne uzasadnienie: wypada ulitować się nad zbrodniarzem, albowiem to on obdarował wolnością Hellenów, lud wybrany i umiłowany przez bogów. A więc dobra o Neronie pamięć utrzymywała się w Grecji jeszcze przez długie lata po jego śmierci; pamięć tak dobra i tak powszechna, że nawet ci, którzy doskonale wiedzieli, jakich dopuścił się przestępstw, i szczerze je potępiali, skłonni byli sąd swój nieco łagodzić.

I jeszcze jedno uderza w relacji Tespezjosa. Spotkał on idąc przez różne rejony dusz tysiące, a wśród nich wielu swych znajomych. Wymienia wszakże po imieniu tylko jedną historyczną postać — właśnie Nerona. Różnica to zdumiewająca, jeśli porównać inne opowieści o tym, co widziano w zaświatach. Ileż to cieni mężczyzn i kobiet sławnych w przeszłości przewinęło się przed Odyseuszem, gdy wywoływał zmarłych! Ile ujrzał Eneasza, kiedy zstąpił do podziemi! Ile miał Dante zobaczyć! Praktyka to w pełni zrozumiała i usprawiedliwiona. Któż by i dziś nie posłuchał chętnie, jak wiedzie się tam niedawnym znakomitościom i jakie katusze wreszcie cierpią tyrani, których dopiero co kornie wysławiali wszyscy? Tespezjos więc, dobywający z mroku zaświatów tylko i jedynie Nerona, okazuje powściągliwość doprawdy zaskakującą. Czym ją wyjaśnić? Powody mogły być różne, lecz przyczyna eksponowania właśnie tego, a nie innego cesarza, wydaje się oczywista: imię jego nabrało szczególnego rozgłosu w czasach, gdy powstawała opowieść. Z kolei zaś wyjaśnienie tego faktu jest chyba proste i już nam znane: występowanie Neronów samozwańców. Traktat „O tych, których bogowie ukarali późno” Plutarch pisał na pewno już po samozwańcu drugim; pojawił się on, jak pamiętamy, w dziesięć lat po owym

człowieku zabitym na wyspie Cytnos. A datę dziwnej przygody Tespezjosa możemy określić bardzo dokładnie; niemal tak samo, jak i tej podróży, którą pewien poeta średniowieczny miał rozpocząć, gdy straciwszy prostą ścieżkę znalazł się w lesie ciemnym.

CESARZ I INTELEKTUALIŚCI

I espezjos oglądał świat zmarłych okiem swej duszy oczywiście już po śmierci Nerona, czyli po czerwcu roku 68, lecz jeszcze przed wybuchem Wezuwiusza. Sybilla bowiem dopiero zapowiada ten kataklizm; rozpętał się on, jak wiadomo, w dniach 24—26 sierpnia roku 79. Lecz w ramach owych lat jedenastu datę wizji można ustalić jeszcze ściślej. Należy tylko dojść, kim jest ów cesarz, właśnie panujący, o którym wieszczka mówi: „Dobry on, lecz nagle zachoruje i tak straci wszystko!” Otóż od czerwca roku 68 po sierpień 79 Rzymem władało aż pięciu imperatorów: Galba, Othon, Wite-liusz, Wespazjan, Tytus. Z tych pięciu tylko dwaj ostatni zmarli śmiercią naturalną, to jest nie od ostrza żelaza, lecz skutkiem choroby. Wespazjana wszakże ani Plutarch, ani żaden Grek, ani też żaden ówczesny intelektualista nie nazwałby panem prawdziwie dobrym (wbrew opinii, którą zyskał on sobie u późniejszych historyków!), a to z dwóch istotnych powodów. Po pierwsze miano mu za złe, że odebrał Helladzie to, co dał jej Neron — wolność. Właśnie ten wspaniałomyślny akt Neronowy, ogłoszony przezeń osobiście i uroczyście w czasie igrzysk istmijskich roku 66, miał z kolei sprawić, że głos niebiański rożka-

zał wszczepić duszą matkobójcy w ciało nie żmii, lecz żaby; choć wolno przypuszczać, że sam tyran, gdyby wybór od niego zależał, wolałby stać się jadowitym, groźnym gadem niż płochliwą i bezbronną mieszkanką błotnistych rozlewisk. Wespazjan anulował Nero-nowe nadanie w cztery lata później, to jest w roku 70, ku niezmiernemu i nie ukrywanemu rozgoryczeniu mieszkańców Hellady. Cesarz motywował swe posunięcie tym, że w miastach tamtej krainy doszło do małostkowych, gorszących waśni pomiędzy różnymi ugrupowaniami, gdy tylko zabrakło rzymskiego nadzoru. Zapewne nie był to argument zmyślony. Najistotniejszą wszakże przyczynę cofnięcia łaski stanowiły ponad wszelką wątpliwość względy finansowe oraz obawa, by swobody przyznane Helladzie nie zachęciły ludności innych prowincji do wysuwania żądań podobnych.

Ile oburzenia wywołał ten krok, dowodzi najlepiej reakcja Apoloniusza z Tyany. Mędrzec najpierw całym sercem popierał Wespazjana i toczył z nim długie rozmowy w samych początkach jego władzy, to jest na przełomie roku 69 i 70 w Aleksandrii; tak przynajmniej utrzymuje tradycja. Gdy jednak dowiedział się, że Helladzie dar jej zabrano, nigdy już nie chciał spotkać się z cesarzem osobiście, a w listach doń pisał wprost:

„Helladę uczyniłeś niewolnicą. Wydaje Ci się, że posiadasz więcej od Kserksesa, a nie rozumiesz, że w istocie masz mniej od Nerona; bo ten potrafił zrzec się nawet tego, co już miał w ręku!”

Albo też:

-,Skoro Hellenowie tak Ci niemili, że obróciłeś ich w niewolników, choć cieszyli się swobodą, po cóż Ci moja obecność — też Hellena?”

I wreszcie:

To prawda, że Neron wyzwolił Hellenów dla zabawy, lecz Ty nie dla żartu nałożyłeś im jarzmo!”³

Był jeszcze inny powód, który sprawiał, że Wespazjan nie mógł cieszyć się sympatią ówczesnych pisarzy i myślicieli. Oto w pierwszym okresie swego panowania rozkazał on, by filozofowie opuścili stolicę, a dwóch z nich, na j opornie j szych i najkrzykliwszych, zesłał na wyspy prawie bezludne. Posunięcie, niewątpliwie surowe i bardzo krytykowane, nie wynikało jednak — trzeba to powiedzieć — z kaprysu złośliwego, podejrzliwego tyra. W praktyce bowiem chodziło nie o wszystkich filozofów, lecz o szczególny ich rodzaj, a mianowicie o krążących wśród ludu sa-mozwańczych kaznodziejów spod znaku radykalnego stoicyzmu i cynizmu. Ku uciesze gawiedzi krytykowali oni wręcz napastliwie zasady ustroju monarchicznego, bez obsłonek celując we władzę i autorytet cesarza. Sławili natomiast pełną i niczym nie skrepowaną wolność jednostki oraz społeczeństwa jako dobro najwyższe; przezornie jednak nie określali bliżej, jak owa wolność miałaby wyglądać w praktyce. Mucjan, przyjaciel Wespazjana, chyba najmożniejszy po nim człowiek w Imperium, a zarazem prawdziwy arystokrata o dużej kulturze, także literackiej, bardzo plastycznie charakteryzował wygląd i sposób bycia owych namiętnych wrogów aktualnego porządku politycznego:

— Wszyscy oni pełni po czubek głowy hałaśliwego samochwalstwa. Wystarczy, że jeden z drugim brodę zapuści, brwi dumnie nastroszy, płaszczyk zarzuci na ramiona, sandały zzuje i zacznie boso spacerować, a zaraz będzie wołał o sobie: Otom ja — mądry, odważny, sprawiedliwy! Każdy z nich obnosi swoją pry-

chająca pychę, choć, jak to powiadają, aniby czytać, ani pływać nie potrafił. Na wszystkich innych patrzy z góry. Człowieka szlachetnie urodzonego nazywa mięczakiem, plebejusza małodusznym, przystojnego mężczyznę pięknišem, a kogoś niezbyt urodziwego poczwiiną; bogacz to oczywiście żarłok nienasycony, a biedak ma usposobienie niewolnika!⁴

Co prawda sam Wespazjan niewiele sobie robił z aroganckich zaczepk owych obrońców swobód obywatelskich. Jednemu z nich powiedział wprost:

— Robisz wszystko, co możesz, żebym cię zabił. Ale wiedz, że ja jeszcze nie zatłukłem żadnego psa tylko za to, że mnie obszczekiwał!

A więc roztropny 'cesarz wiedział, że każdy ruch opozycyjny, nawet pozerski i śmieszny, może przerodzić się w groźną siłę z chwilą, gdy otrzyma swych męczenników, niezłomnych świadków jego prawdy wewnętrznej; kropla krwi stanie się nasieniem, z którego wyrosną zastępy fanatycznych wyznawców, a krwawa poświata legendy otoczy i opromieni początki ruchu. Wystarczy więc — zapewne tak mniemał Wespazjan — pogarda i przepędzenie najkrnąbrniejszych w miejsca odległe, gdzie ich deklamacji przeciw tyranii będą wysłuchiwać tylko fale o brzeg bijące i piskliwe ptactwo nadmorskie.

Wracając wszakże do zasadniczego toku naszych wywodów: skoro jest oczywiste, że Plutarch nigdy by nie nazwał Wespazjana władcą dobrym (a miał mu za złe także pewien czyn bezlitosny), pozostaje tylko Tytus jako jedyny z pięciu cesarzy, zasługujący na tak szczytne miano. Również dalsze słowa Sybilli, podsłuchane przez Tespezjosa, właśnie jego wskazują, mówią bowiem wyraźnie i jakby z naciskiem, że wskutek choroby utraci wszystko. Stwierdzenie to,

włożone w usta wieszczki, stanowi pośrednią polemikę z poglądem, że Tytus zmarł otruty; wierzyło w to wielu. Łatwo odgadnąć powód, który wywoływał takie podejrzenia: cesarz odszedł z życia w sile wieku, bo niewiele przekroczywszy czterdziestkę, i to po krótkim, dwuletnim panowaniu, sama zaś choroba trwała zaledwie kilka dni i miała przebieg gwałtowny.

JAK UMIERAŁ TYTUS

Z początkiem września roku 81 Tytus, pozornie zupełnie zdrow, lecz dziwnie przygnębiony, przyglądał się w którymś z rzymskich cyrków lub teatrów igrzyskom; dworzanie z najbliższego otoczenia zauważyli w pewnym momencie ze zdumieniem, że w jego oczach niespodziewanie i bez żadnego konkretnego powodu pojawiły się łzy. Cesarz złożył bogom ofiarę, lecz zwierzę uciekło sprzed samego ołtarza, co zawsze uchodziło za bardzo złą wróżbę dla osoby ofiarującej: moce wyższe nie chcą niczego przyjąć od błą-galnika, a więc los jego został już przypieczętowany, wyrok nieodwracalny wydano! Rozległ się też nagły grom, nie poprzedzony błyskawicą, i to przy pięknym, jasnym niebie. Nawet sen o takim zjawisku, jak zgodnie powiadali wróżowie, byłby zapowiedzią nieszczęścia wielkiego i niespodziewanego, a cóż dopiero grom bez błyskawicy, usłyszany na jawie!

Wnet potem cesarz, pełen niepokoju i spodziewając się najgorszego, opuścił stolicę. Udawał się w góry, do dawnego kraju Sabinów, skąd ród jego pochodził i gdzie miał swe prywatne majątki. Lecz już w miejscu pierwszego postoju dopadł go po kąpielu

silny atak febry,- tak przynajmniej twierdzi Plutarch w jednym ze swych traktatów. Dalszą podróż odbywał w lektyce. W pewnej chwili rozsunął jej firanki, spojrzął w niebo i jak gdyby skarżąc się komuś wyrzekł słowa, dobrze usłyszane przez idących obok i długo potem komentowane w Rzymie:

— Wydziera mi się życie, choć w niczym nie zawiniłem. Niczego nie mam sobie do wyrzucenia. Może tylko to jedno...

Lecz przerwał i nie zwierzył się nikomu, co miał na myśli.

Zmarł w dniu 13 września w tej samej willi, w której przed dwoma laty odszedł ze świata jego ojciec, Wespazjan. Bezpośrednią przyczyną zgonu była ponoć kuracja, zastosowana z rozkazu cesarskiego brata, Domicjana: okładano śniegiem chorego, który gorzał od wewnętrznego ognia.

Tak można odtworzyć przebieg choroby na podstawie relacji Plutarcha, Swetoniusza, Kasjusza Diona. Lecz krążyła też, jak się rzekło, całkiem odmienna opowieść o przyczynach śmierci młodego cesarza. Wśród tych autorów starożytnych, którzy twierdzą stanowczo, a wbrew Tespejzjosowej Sybilli, że Tytus został otruty, znajduje się też biograf Apoloniusza z Tyany, Filostrat. Opowiada on nawet, że to właśnie Apoloniusz wprost przepowiedział przyszłemu władcy taką śmierć i wskazał rodzaj trucizny. Rozmowa toczyć się miała w mieście Tarsus i tylko w cztery oczy, treść więc jej mogła być znana wyłącznie z późniejszej relacji samego Apoloniusza; źródło w tym przypadku co najmniej podejrzane. Biograf mędrca z Tyany, zawsze dbały o wstawienie swego bohatera, wydumał sobie, iż rzecz miała taki przebieg: Gdy tylko zostali sami, Tytus zaczął prosić, prawie

z zażenowaniem i bardzo okrężnie, czy mógłby zapytać o coś bardzo dlań istotnego. Apoloniusz odpowiedział natychmiast:

— Pytaj śmiało. I tym śmielej, im sprawa jest ważniejsza!

Na co Tytus:

— Chodzi o moje życie. Chciałbym wiedzieć, przed kim powinienem mieć się na baczności. Pytam o to, choć doskonale rozumiem, że muszę się wydać tchórzem mizernym!

Lecz Apoloniusz wstrząsnął głową i odpowiedział poważnie:

— Nie, jesteś po prostu człowiekiem roztropnym i ostrożnym, jak przystało na kogoś, kto z konieczności uczestniczy w niebezpieczeństwach wielkiej polityki.

Mówiąc to starzec wznosił oczy ku słońcu i poprzysiągł na jego boskość niebiańską, że sam zamierzał tę kwestię poruszyć, nawet gdyby nie został zapytany. Dodał następnie:

— Bogowie przykazali mi surowo, abym ostrzegł cię w porę. Rzecz w tym, że za życia ojca powinieneś lękać się szczególnie tych osób, które są najbardziej wrogie wam obu.

Tytus uśmiechnął się i odparł:

— To oczywiste i łatwe. A po jego śmierci?

— Strzeż się swoich najbliższych!

— Ale w jaki sposób?

— Pamiętaj o Odyseuszu! Wiesz chyba, że i jego śmierć przyszła z morza.⁵

Gdyby potraktować to porównanie dosłownie, Tytus winien by pilnie baczyć, aby ktoś z przyjaciół lub członków rodziny nie ranił go ością ryby morskiej zwanej trygonem; jeden bowiem z mitów o Odyse-

uszu opowiadał, że zginął on właśnie w ten sposób. Wszelako, jak powszechnie wiadomo, okoliczności przedwczesnej śmierci Tytusa przedstawiały się odmiennie i z całą pewnością nie odniósł on najmniejszej rany, nawet zadraśnięcia. Jakże więc rozumieć słowa Apoloniusza? Otóż biograf wywodzi w dalszej części swej relacji, że cesarza otruto przy pomocy jadu stworzenia zwanego zajęcem morskim. Jest to ślimak mający cztery czułki na głowie; dwa z nich, zawsze wyprostowane, przypominają słuchy zajęcia, i stąd nazwa zwierzęcia. Jedyną jego bronią, a raczej osłoną jest wydzielina — sina, czerwona lub fioletowa — którą w razie niebezpieczeństwa wypuszcza natychmiast i tak obficie, że otacza się mętną cieczą niby chmurą. Wydzielina jest istotnie trująca, choć nie tak silnie, jak utrzymywali starożytni. Twierdzili mianowicie, że nawet jej zapach powoduje u kobiet przy nadziei wymioty, wzdęcia, poronienia; a jak groźne byłoby spożycie samego ślimaka! Jedyne stworzenie — tak powiadano — które zjada go stosunkowo bezkarnie, to ryba zwana po łacinie „mullus”, bardzo smaczna i poszukiwana; lecz i ona marnieje po takim pokarmie. Człowiek natomiast po spożyciu zajęcia morskiego — przytaczamy wciąż opinie antyczne — zaczyna cuchnąć rybą, co jest pierwszą oznaką zatrucia; albowiem jad ten sprowadza śmierć nie od razu, lecz powoli i stopniowo, nawet po wielu dniach, co niezmiernie utrudnia wykrycie sprawcy zbrodni. Toteż właśnie tym jadem, jak szeptano, posługiwał się Neron, aby usuwać ludzi najbardziej mu nienawistnych, a których nie chciał zabijać w sposób jawny.

Lecz wszystko to było tylko domysłem, a raczej czczą fantazją. Biograf Apoloniusza wymyślił ostrze-

żenie znając już pogłoski o przyczynach śmierci Tytusa i dając im wiarę; różnił się w tym od Plutarcha, który z kolei posłużył się autorytetem Sybilli, by zaznaczyć, że tamte wieści to tylko plotki i zmyślenia: cesarz zmarł wprawdzie nagle, lecz w sposób naturalny.

Tytus wstąpił na tron w dniu 24 czerwca roku 79. Wybuch Wezuwiusza pogrzebał Pompeję pod koniec sierpnia tegoż roku. Wynika stąd, że Tespejnos oglądał zaświaty w lipcu lub sierpniu, w jedenaście lat po śmierci Nerona, który tyleż lat musiał cierpieć, by wreszcie dla dalszej, może i sroższej kary, odrodzić się w ciele żaby.

APOLONIUSZ I LEW

(jrdyby bowiem Neron nie popełnił zbrodni tak odrażających, czekałaby go może pokuta w postaci nowego żywota na ziemi, wszelako w ciele znacznie szlachetniejszym od tego, które mu ostatecznie przypadło w udziale. Tak wierzyli ci i owi; taki też wniosek wynika z opowieści Apoloniusza o niezwyklej przygodzie, jaka ponoć spotkała go w Egipcie. Oto słowa mędrca:

Był pewien żebrak, który oprowadzał po całym kraju nad Nilem dużego lwa, i to wiodąc go na postronku, niby psa najmarniejszego. A zwierzę, choć z pozoru bardzo groźny, łąsił się pokornie nie tylko do niego, lecz do każdego, kto ośmielił się zbliżyć. Wędrował więc ów człeczyna po wsiach i miastach zbierając datki, a miał prawo wstępu nawet do najczcigodniejszych świątyń; kapłani bowiem uważali, że jego

lew jest pod każdym względem czysty. Rzeczywiście, nie zlizywał on nigdy krwi zwierząt zabijanych w ofierze bogom przy ołtarzu. Nigdy też nie rzucał się na ich mięso, gdy po ceremonii obdzierano je ze skóry i ćwiartowano. Jadał zwykle chleb, ciastka miodowe, suszone owoce; mięso również, lecz wyłącznie gotowane. Co najdziwniejsze, nie gardził też winem, gdy mu nalano je do miski. Ale nie upijał się nigdy! Można by rzec, że zna swoją miarę.

Otóż zdarzyło się, że pewnego razu siedział w jednej ze świątyń, cały pogrążony w medytacjach, jak to jest moim zwyczajem. Niespodziewanie posłyszałem zgiełk i śmiechy, a po chwili wszedł do środka ów przewodnik ze swoim zwierzem, otoczony jak zawsze tłumem ciekawskich. I oto lew, gdy tylko mnie ujrzał, wyrwał się swemu panu, podbiegł i położył ciężki łeb na moich kolanach. Skomlił żałośnie i łasił się. Przysiągłbyś, że prosi o coś, jak nigdy dotychczas. Ludzie zebrani wokół zaczęli śmiać się głośno i dogadywać:

— Ależ natrętny! Żebrze o jałmużnę! Dobrze wytresowany!

Lecz ja spojrzałem uważnie w oczy zwierzęcia, zastanowiłem się i rzekłem po chwili stanowczo:

— Nieprawda. Jesteście w wielkim błędzie. Lew prosi, ale nie o jałmużnę. Chce, abym was pouczył, że jest w nim zamknięta rozumna dusza człowiecza. I to nie byle kogo! Oto leży przed wami jako zwierz czworonogi sam faraon Amazis, władca Egiptu, niegdyś królujący w swym stołecznym mieście Sais!

A on, gdy tylko usłyszał te słowa moje, zaryczał żałośnie i płaczkliwie, padłszy brzuchem na ziemię. Z oczu płynęły mu łzy prawdziwe. Ja zaś głaszcząc łagodnie łeb kudłaty rzekłem do tych, co stali przy nas ciasnym kręgiem, wręcz porażeni zdumieniem:

— Koniecznie musimy posłać go do świątyni w Leontopolis. Skoro bowiem z woli bogów król ludzi przybrał tę oto postać króla zwierząt, hańbą by to było dla nas, gdybyśmy pozwolili mu dalej zbierać jałmużnę dla żebraka; teraz, kiedy już znamy jego przeszłość i imię!

Wnet też, gdy tylko wieść się rozeszła o niezwykłym odkryciu, zebrali się kapłani. Uczcili godnie faraona sprzed wieków, który powrócił tak nieoczekiwanie. Złożyli mu należne ofiary, przystroili go barwnymi wstęgami i wieńcami kwieciami, a potem procesjonalnie prowadzili przez cały kraj. Przy wtórce muzyki fletów śpiewali uroczyste hymny ku chwale bogów, lew zaś kroczył dumnie i poważnie, jak przystało na prawdziwego władcę, który przywykł do holdów.⁶

METAMORFOZY AMAZISA

Opowiastka ta, jak zresztą wszystkie zebrane w biografii Apoloniusza, służy głównie wsławieniu nadprzyrodzonych umiejętności mędrców. W tym przypadku chodzi oczywiście o jego dar jasnowidzenia oraz rozumienia mowy zwierząt. Nam rzecz wydaje się naiwna, wręcz śmieszna. A przecież jest ona nie tylko autentycznym świadectwem wierzeń tamtej epoki! Są też inne powody, dla których warto poświęcić jej nieco uwagi. Można mianowicie wykazać, że opowieść zbudowana starannie z pewnych elementów historycznych.

A więc przede wszystkim: kim był faraon Amazis? Poprawna forma tego imienia brzmiała w języku sta-

roegipskim mniej więcej Jahmose i znaczyła „Zrodzony przez Księżyc”. Człowiek ów żył w wieku VI przed naszą erą. Pochodził z rodziny bardzo ubogiej, służąc jednak w wojsku doszedł stopniowo do tak wysokich godności, że zdołał wydrzeć tron prawowitemu faraonowi. Był nim Apries. Rebeliant najpierw uwięził go, a potem zgładził — i uczcił wspaniałym pogrzebem. Odtąd wszakże Amazis panował sprawiedliwie przez lat ponad czterdzieści, a w pamięci swego ludu pozostał jako ostatni rzeczywiście wybitny władca przed podbojem tego kraju przez Persów. Również Grecy mówili o nim z szacunkiem jeszcze w kilka pokoleń później. Bo też doznali właśnie od tego faraona wiele dobrego! Kupcy helleńscy założyli z łaski Amazisa pierwszą stałą kolonię w delcie Nilu, miasto Naukratis. Do świątyń w Grecji właściwej płynęły z Egiptu dary liczne i bogate. Odbudowujący się wówczas przybytek Apollona w Delfach — ten sam, gdzie w siedem wieków później Plutarch miał opowiadać swym przyjaciółom o widzeniu Tespe-zjosa — otrzymał aż tysiąc talentów srebra, sumę ogromną. Powiadano powszechnie, że wszystko to działo się za sprawą umiłowanej żony Amazisa, z pochodzenia Greczynki. W istocie jednak faraon realizował tym sposobem pewne cele polityczne.

Grecki historyk Herodot, który zwiedzał Egipt mniej więcej w osiemdziesiąt lat po jego śmierci, gdy cały kraj już podbili i zajęli na stałe Persowie, mógł zapisać z żywej jeszcze tradycji ustnej sporo interesujących opowieści o „Zrodzonym przez Księżyc”. Dwie z nich warto przytoczyć, doskonale bowiem charakteryzują człowieka. Myśli zaś w nich zawarte, choć dziś wydać się muszą banalne, mają przecież swój sens zawsze aktualny.

Amazis nie mógł się szczycić znakomitymi przodkami, toteż wielu dostojników z rodów starych i możnych okazywało mu swą wyższość, i to nawet wtedy, gdy już włożył na swą głowę podwójną koronę, symbol panowania nad obu częściami Egiptu. On jednak okazywał przykładną cierpliwość, słusznie przewidując, że wszelkie kary wywołałyby tylko falę nienawiści, a przyczyn pogardy i tak by nie usunęły. Znalazł wreszcie sposób, by upokorzyć tych, co mu uwłaczali. Rozkazał potajemnie przetopić złotą misę, w której obmywano nogi gości pałacowych, następnie zaś z kruszcu tego wykonać figurę jednego z bogów; ustawił ją w takim miejscu, że wszyscy przechodzący musieli jawnie cześć okazywać podobnie. Po pewnym czasie zebrał tam swych prześmiewców i rzekł wskazując na posąg:

— Wiedźcie, że zrobiono go z tej samej miski, do której przedtem każdy z was mógł napluć, nie mówiąc już o czyns gorszym. Teraz kłaniacie się kornie przed tymże kruszczem! Pamiętajcie jednak, że podobnej przemiany i ja doznałem. Kiedyś byłem zwykłym, prostym człowiekiem. Obecnie bogowie uczynili ranie władcą, a waszym obowiązkiem jest służyć mi i składać hołdy!

Zajęciom państwowym Amazis poświęcał tylko przedpołudnia, natomiast resztę czasu przeznaczał na ucztę, zabawy, przyjemności. Niektórzy przyjaciele mieli mu to za złe. Twierdzili uparcie, że faraon, bóg wcielony, powinien stale zachowywać się dostojnie. Odpowiedział im na to:

— Pamiętajcie, że łuk napina się tylko wtedy, gdy trzeba go użyć. Potem rozluźnia się go natychmiast. Wie przecież każdy, że cięciwa, jeśliby napiąć ją i tak pozostawić, wnet będzie do niczego!⁷

Amazis więc musiał wejść w ciało zwierzęce, by odpokutować za to, że podniósł bunt przeciw władcy prawowitemu, pozbawiając go tronu i życia. Aby zaś zapłacić za dawną pychę, za uczty i zabawy, obecnie zarabiał na życie swoje i żebraka, wiedziony na postronku ku ucieście gawiedzi. Lecz ponieważ tenże Amazis okazał się panem dbałym o dobro poddanych, pozwolono mu łaskawie przybrać postać najszlachetniejszego z czworonogów. Spotkał też wreszcie na swej drodze zbawcę, który rozpoznał go, uwolnił od dalszej tułaczki, kazał zaprowadzić do Leontopolis.

W naszym języku najlepiej by oddać to greckie miano nazwą Lwigród. Wzięło się ono stąd, że z dawna odbierał tam cześć egipski bóg, przedstawiany w postaci króla zwierząt. Lecz w delcie Nilu były aż dwa miasta związane od prawieków z kultem lwa i wobec tego noszące imię to samo; o którym z nich mowa w opowieści? Tę wątpliwość można rozstrzygnąć bez trudu: w danym przypadku chodzi z całą pewnością o Leontopolis większe; było ono zarazem stolicą powiatu, zajmującego mniej więcej środek delty. Co uzasadnia identyfikację?

W tamtejszej świątyni królował lew zwany przez Greków Mijzis lub Mios; obie te formy są zniekształceniem egipskiego imienia Mahes, jakie nosił pan przybytku. Dotychczas nie przeprowadzono w owej miejscowości żadnych wykopalisk systematycznych, znaleziono wszakże przy różnych okazjach sporo drobnych przedmiotów, a wśród nich również kultowe wyobrażenia bóstwa. Są to przeważnie małe posążki człowieka o lwim łbie, na którym spoczywa krąg tarczy słonecznej, Mios bowiem uchodził, jak zresztą lwy w ogóle, za szczególną postać boga Re. Pewien papirusowy tekst grecki nazywa pana Leonto-

polis światłem, ogniem, płomieniem, grozą i błyskawicą, władcą ciemności i wichury. Zawsze też trzymano w świątynnym okręgu lwa żywego; gdy zdechł, jego starannie spreparowaną mumię składano do grobowca, w którym spoczywali wszyscy poprzednicy, utożsamiani z Ozyrysem. Natychmiast też rozpoczynano po całym kraju poszukiwanie lwa następcy, spełniającego pewne tradycyjnie przestrzegane warunki co do postaci, maści, owłosienia. Wszystko więc działo się podobnie jak z innym, znacznie jednak sławniej-szym świętym zwierzęciem; mowa oczywiście o byku Apisie z miasta Memfis. Otóż właśnie imiona boga w Leontopolis wyjaśniają, jaką drogą powstała opowieść, że Apoloniusz odkrył w lwim wcieleniu faraona Amazisa: dla ucha greckiego owe trzy nazwy — Mios, Mijzis, Mahes — brzmiały bardzo podobnie, a zarazem przypominały imię wciąż popularnego władcy. Jest też oczywiste, że opis uroczystego odprowadzania lwa do świątyni to po prostu wzięty z życia obraz procesji, która wśród śpiewów i modłów wiodła nowo odnalezionego Miosa do Leontopolis.

Tak więc biografia Apoloniusza nawet w tych partiach, które chciałoby się uznać tylko za mniej lub więcej zabawne zmyślenie, jest źródłem bardzo interesującym, bo dobrze osadzonym w swej epoce i opartym na faktach konkretnych. Toteż choć rozpatrywanie anegdoty odwiodło nas od głównego nurtu opowieści, rzecz tę wypadało poruszyć, o mędrca bowiem z Tyany jeszcze będzie tu mowa. A także by pokazać, jak złośliwie fantazjowano w pierwszym wieku cesarstwa, każąc duszom zmarłych władców wcielać się w różne postaci. Faraon-lew łąsi się dla ciastka i chętnie, lecz umiarkowanie chłepce wino z miseczki. Cesarz-zbrodniarz, lecz zarazem artysta,

zostanie zabą. Groteskowość pomysłów wcale nie ustępuje obrazowi, który w wiele wieków później pewien poeta chmurnej północy nakreślił w kilku wierszach:

Ten migający wkoło oomy rój skrzydlaty
 Za życia gasił każdy promyczek oświaty,
 Za to po strasznym sądzie ciemność ich zagarnie;
 Tymczasem z potępioną błakając się duszą,
 Chociaż nie lubią światła, w światło lecieć muszą.
 To są dla ciemnych duchów najsrozsze męczarnie!
 Patrzaj, ów motyl, strojny barwionymi szaty,
 Był jakiś królik albo pan bogaty,
 I wielkim skrzydeł roztworem
 Zaciemniał miasta, powiaty.

I co następuje dalej, a co zna każdy Polak.

Do spraw zaś, od których odeszliśmy pozornie bardzo daleko, powrócimy drogą przez drugie Leonto-polis egipskie.

EGIPSKA ŚWIĄTYNIA ONIASA

I uż przy wschodniej odnodze Nilu leżała miejscowość i świątynia, w której cześć odbierał nie lew jeden, lecz para zwierząt, symbolizująca bóstwa Szu i Tefnet, brata i siostrę, stanowiących zarazem małżeństwo,- były to dzieci Atuma, wielkiego pana pobliskiego Heliopolis. Lwią parę zwano też Rutii. Wierzono, że władza niebiańską barką Poranku i Wieczoru; zmarły musi się z nią utożsamić przy pomocy szczególnych modlitw i dopiero wtedy może swobodnie T,~:: d r o v; a ć po przostwcrech nad zier-^ia. T

o

w czasach staroegipskich, za faraonów. Później świątynia podupadła. Około roku 160 p.n.e. król egipski Ptolemeusz VI przekazał tę okolicę cudzoziemcowi imieniem Onias. Był to Żyd, potomek znakomitego rodu arcykapłanów. Uciekł z Judei, kiedy syryjski król Antioch, wówczas tam władający, oddał pieczę nad świątynią jerozolimską innemu rodowi, bardziej uległemu jego woli. Ptolemeusz, od dawna niechętny Antiochowi, przyjął wygnańca życzliwie. Ten zaś, wdzięczając się za gościnę, wystąpił wkrótce z planem niezwykłym:

Skoro Antioch zbezczescił przybytek jerozolimski, należy wznieść właśnie na egipskiej ziemi nową świątynię żydowską. W ten sposób Ptolemeusz zjedna sobie wszystkich Żydów, nienawidzących tamtego króla. Wolno się nawet spodziewać, że wielu z nich opuści ojczyznę i osiedli się nad Nilem, aby tu spokojnie i zgodnie z Prawem służyć Panu!

Król uznał, że plan jest politycznie sensowny i nadał Oniasowi ziemię właśnie w Leontopolis. Przystąpiono natychmiast do prac budowlanych, mając przy tym oczywiście poparcie przynajmniej części tak licznej w Egipcie kolonii żydowskiej. Samą świątynię wzniesiono w kształcie wieży, wysokiej na łokci 60. Ustawiono też ołtarz na wzór jerozolimskiego dla składania ofiar ze zwierząt. Sporządzono wspaniałe szaty liturgiczne. Nie było tylko siedmioramien-nego świecznika, który tam, w Jerozolimie, stał we wnętrzu przybytku; tu światło rzucała wielka lampa, kuta ze złota, zawieszona na złotym łańcuchu. Cały obwód otoczono murem z cegły palonej, a tylko bramie dano oprawę z ciosów kamiennych, na wzór świątyń egipskich. Utrzymywano budynek i sprawowano

kult dzięki dochodom z ziemi uprawnej, również przydzielonej przez łaskawego króla.

Założenie świątyni było oczywiście pogwałceniem prastarej tradycji, utrzymującej, że prawowite ofiary wolno składać wyłącznie w jednym miejscu, a poza Jerozolimą mogą istnieć tylko domy modlitwy. Zrozumiałe, iż Żydzi z Judei niechętnie i podejrzliwie patrzyli na nowy ośrodek kultu, który w pewnych okolicznościach groziłby nawet rozłamem religijnym, zatarciem się poczucia jedności, a także — uszczupleniem dochodów, płynących do Jerozolimy z wszystkich krain, gdzie zamieszkiwali wychodźcy. Nie spełniły się nadzieje Oniasa i króla, nie było mowy o masowej emigracji i osiedlaniu się w Leontopolis. Zresztą Judea wywalczyła sobie wkrótce pełną niezależność polityczną od władców syryjskich i potrafiła utrzymać ją przez lat kilkadziesiąt, bo aż do czasów rzymskich. Mimo to kolonia w Leontopolis żyła jeszcze przez wiele pokoleń, a pamięć o niej przetrwała do dziś dnia w arabskiej nazwie tej okolicy: Tell el Je-hudijeh. Pozostał też materialny ślad żydowskiego osadnictwa w postaci licznych nagrobków; obecnie znajdują się one przeważnie w muzeach Kairu i Aleksandrii, a nawet Luwru i Leningradu.

Napisy nagrobkowe są w języku greckim, imiona zaś zmarłych częściowo greckie: Arystobul, Aleksander, Onezymos, Glaukias, Teodora, Arsynoe, Demas, Nikanor, Hilarion, Filip, Dozyteos, Nikomedes, Elpis — częściowo judejskie: Jakub, Józef, Judasz, Samuel, Jezus, Natan, Onias, Barchias, Rachelis, Joannes, Eleazar (czyli Łazarz), Sabbatajos, Sambajos — i wreszcie formalnie greckie, lecz w istocie judejskie: Salamis (Salome), Marin (Maria), Irena (tłumaczone z Salome, czyli Pokój).

Oto typowe epitafia z Leontopolis:

„Eleazar, zacny, wszystkim miły, lat 30; drugi rok Cezara, 20 Mehir”.

Według naszej rachuby czasu oznacza to, że Łazarz zmarł w dniu 14 lutego roku 28 p.n.e.; Cezar bowiem to Oktawian, późniejszy cesarz August.

Inne, uszkodzone na początku, brzmi wymowniej:

„Ty, która miłowałaś twych braci, która miłowałaś twe dzieci, wszystkim przyjazna, zacna, żegnaj! Oby ziemia lekka Ci była! Miała lat około 45; rok 19, który jest także rokiem 3, 5 Pachon.”

Podwójna datacja roczna pozwala ustalić, że kobieta zmarła w roku 35 p.n.e., w dniu 30 kwietnia, za panowania sławnej królowej Kleopatry VII, ostatniej władczyni Egiptu z dynastii Ptolemeuszów, wówczas umiłowanej Antoniusza.

Zachowało się także kilka napisów dłuższych:

„Płacz nade mną, przechodniu, dziewczyną już dojrzałą. Żyłam przedtem rozkosznie we wspaniałych komnatach. Miałam już przygotowaną całą wyprawę ślubną, lecz zmarłam przedwcześnie; zamiast łożnicy małżeńskiej czekał na mnie ten oto grób ponury. Gdy rozległ się stukot kołatek weselnych, obwieścił wszystkim, by moją śmierć oplakiwali. Niby różę w ogrodzie pełnym rosy nagle zabrał mnie Hades i odszedł. Przechodniu, żyłam lat dwadzieścia.”

Początek i koniec napisu ujęty został w formę wiersza, inny natomiast jest cały wierszowany:

„Przechodniu, jestem Jezus, syn Famejosa. Zstąpiłem do Hadesu mając lat 60. Oplakujcie wszyscy mnie, którym nagle odszedł do przepaści wieków, aby odąd mieszkać w ciemności. Płacz ł ty, Dozy-teuszu! Powinieneś wylewać łzy najboleńsze nad grobem moim, boś ty moim dzieckiem, skórom zmarł

bezpomtomnie. Wszyscy wokół oplakujcie Jezusa nie-
szczęsnego!"⁸

Zespół owych epitafiów z małego osiedla w delcie Nilu najlepiej pokazuje, jak silnej hellenizacji ulegli Żydzi egipscy, i to nie tylko ci mieszkający w stolicy kraju, w samej Aleksandrii. Oto skromni koloniści w prowincjonalnym miasteczku posługują się językiem greckim na co dzień i noszą greckie imiona, żegnając zaś swych najbliższych usiłują naśladować piękną poezję greckich napisów grobowych — co prawda raczej nieudolnie. O tym wszystkim należało tu przypomnieć, zjawisko to bowiem pozwoli właściwiej zrozumieć pewne sprawy, z którymi jeszcze się zetkniemy.

Jakież jednak los spotkał świątynie Oniasa w dawnym Leontopolis i skupionych wokół niej wyznawców?

OSTATNIA TWIERDZA I OSTATNIA ŚWIĄTYNIA

jak powszechnie wiadomo, Tytus zdobył i zniszczył ogniem (lub też pozwolił, by zniszczono) świątynię przy-
bytek jerozolimski pod koniec sierpnia roku 70; co-
dziennie ofiary na tamtejszym ołtarzu składano nawet
wtedy, gdy wokół już rozlegał się szcęk oręża i płynęła
krew ludzka. Lecz jeszcze po utracie stolicy i o-środka
kultu powstańcy stawiali opór przez czas jakiś, mieli
bowiem w swym ręku trzy twierdze na południu kraju.
Jako ostatnia z nich padła prawie niedostępna Masada,
skalne dzieło króla Heroda Wielkiego nad Morzem
Martwym. Stało się to dopiero w roku 73, i to po długim
oblężeniu.

Rzymianie, którymi dowodził wtedy namiestnik Flawiusz Silwa, opasali masyw góry łańcuchem wałów i umocnień, lecz wnet się zwiędzieli, że nie wezmą głodem obrońców, mających nieprzebrane zapasy żywności w składach i wody w cysternach. Wielkie ilości zboża, oliwy, wina i daktyli pochodziły ponoć jeszcze z czasów samego Heroda, a więc sprzed prawie stu lat, a dochowały się znakomicie dzięki suchemu i czystemu powietrzu pustynnej wyniosłości. Powiadano też, że tamten władca rozkazał je tu gromadzić, a warownie wciąż umacniać i rozbudowywać, aby mieć pewne schronienie przed dwoma niebezpieczeństwami, które groziły mu nieustannie: z jednej strony obawiał się swego ludu, dla którego był tyranem, z drugiej zaś knowań egipskiej królowej Kleopatry, która wcale nie ukrywała, że pragnie przyłączyć włości Herodowe, i żądała tego usilnie od Antoniusza. W taki więc sposób wydarzenia polityczne sprzed wieku sprzyjały obrońcom ostatniego skrawka wolnej Judei! Oblegający musieli wreszcie rozpocząć niezmiernie uciążliwe prace, sypiąc wysokie rampy ziemne i mozolnie podsuwając maszyny stroma ścieżką od strony zachodniej. W dniu 1 maja udało się skruszyć potężnymi uderzeniami tarana mur na jednym odcinku, lecz obrońcy natychmiast wzniesli w wyrwie barykadę drewnianą. Legioniści usiłowali ją podpalić, lecz początkowo przeszkadzał temu wiatr przeciwny; dopiero gdy zmienił on kierunek, belki zajęły się ogniem od żagwi i strzał płomienistych. Tymczasem zapadła noc, Siłwa więc przesunął szturm ostateczny na dzień następny. Lecz w dniu tym, ku wielkiemu zdziwieniu legionistów, murów nikt nie bronił i głucha cisza zalegała nad nimi. Osłonięte tarczami kohorty wkroczyły ostrożnie na przestronny dzie-

dziniec twierdzy i milcząc stanęły jak wryte; ujrzały widok, który przeraził nawet najtwardszych. Wszędzie leżały stopy trupów — mężczyzn, kobiet i dzieci — jeszcze ciepłe i krwią ociekające, choć nigdzie nie było śladów walki. Po chwili wyszły z podziemnego ukrycia w kanale dwie kobiety, wiodąc pięcioro maleństw. Tylko one przeżyły tragedię ostatniej nocy Masady i tylko one mogły opowiedzieć, co stało się wówczas:

Powstańcy, przekonani o beznadziejności położenia i znikąd nie widzący ratunku, a rozpaleni fanatycznym przemówieniem wodza Eleazara, zdecydowali, że nikt z nich żywy nie dostanie się w ręce zdobywców. Mężczyźni najpierw zabili kobiety i dzieci, potem zaś wylosowali spośród siebie dziesięciu. Ci położyli trupem wszystkich pozostałych, co działo się szybko i sprawnie, każdy bowiem po kolei bez oporu kładł szyję pod cios miecza. Następnie owych dziesięciu losem wyznaczyło jednego, który ich zabił, a w końcu popełnił samobójstwo.

Wszystkich zwłok naliczono dziewięćset sześćdziesiąt. Odtąd Masada pozostała martwa i opuszczona na wieki. Lecz aż po dni nasze przetrwały w skalnym pustkowiu wyraźne szczątki nie tylko murów i budynków twierdzy, ale także ślady rzymskich umocnień, ramp i obozów.

Nieprzypadkowo ta sama wiosna roku 73 przyniosła zagładę ostatniej placówce zbrojnego oporu na ziemiach Judei oraz ostatniej świątyni żydowskiej, gdzie jeszcze składano ofiary; była nią ta w egipskim Leontopolis. A oto jak doszło do tego:

Nim jeszcze Rzymianie w pełni zawładnęli Judea, sporo powstańców zdołało opuścić jej granice i zbiec do Aleksandrii. Nie brakło wśród nich ekstremistów,

tak zwanych sykariuszy, czyli sztyletników; usuwali oni swych przeciwników mordując ich skrytobójczo. Fanatycy ci usiłowali doprowadzić w metropolii egipskiej do antyrzymskich rozruchów, a nawet do powstania. Głosili, że wojna ma tu szansę nie mniejsze niż przedtem w Palestynie, skoro w samej Aleksandrii mieszka kilkaset tysięcy Żydów, w całym zaś kraju nad Nilem ponoć aż milion! Istotnie, było to obecnie największe skupisko Żydów w świecie rzymskim. Jego wszakże starszyzna zorientowała się w porę, czym grożą owe knowania: pchną całą tutejszą społeczność w odmet katastrofy, która już pochłonęła Ju-deę. Wystąpiono więc bardzo zdecydowanie i zdołano powstrzymać bieg wydarzeń tuż przed przepaścią. Sześciuset wicherzycieli ujęto od razu i wydano ich w ręce Rzymian. Podobny los spotkał nieco później także tych, którym w początkach zamieszania udało się uciec z miasta i dotrzeć na południowe kresy Egiptu. Józef Flawiusz, z zasady bardzo niechętny polityce ekstremistów, albowiem ich uważał za właściwych sprawców nieszczęść swego ludu, w tym przypadku nie tai szacunku, a nawet podziwu dla postawy, jaką wykazywali w czasie przesłuchań, kiedy to chciano ich zmusić do złożenia dowodu lojalności wobec rzymskiej władzy. Historyk pisze w księdze VII „Wojny”:

„Ich upór, ich szaleństwo — a może ktoś nazwie to siłą ducha? — wywołały powszechnie wrażenie ogromne. Albowiem żadnego z nich nie skruszyły ani też do wyznania nie doprowadziły tortury i męki, które po to im zadawano, aby uznali cesarza za swego pana. Przetrwali wszystko. Nic nie mogło złamać ich przekonania, silniejszego od wszelkiego przymusu. Wydawało się niemal, że dusze ich rozkosz widzą

w cierpieniach, a ciała zupełnie nie odczuwają katuszy tortur i żaru ognia. Najbardziej wszakże zdumiewali mali chłopcy; bo i z nich żadnego nie można było przymusić, aby cesarza nazwał swym panem! Taka to moc ducha dzierżyła władzę nad ich wątłym ciałem!"⁹

Działo się to w roku 71 lub 72. Ówczesny prefekt Egiptu, Juliusz Lupus — był to, jak się wydaje, syn tego oficera pretorianów, który zabił żonę Kaliguli i jego córeczkę, za co został skazany na ścięcie przez Klaudiusza — natychmiast powiadomił Rzym o zaburzeniach w swej prowincji i wkrótce otrzymał odpowiedź: cesarz Wespazjan rozkazał zająć świątynię w Leontopolis i położyć kres tamtejszemu kultowi. Łatwo przejrzeć, czym powodował się władca, wydając takie polecenie! Obawiał się mianowicie, by świątynia Oniasa, jedyne wówczas miejsce, w którym Żydzi mogli składać ofiary swemu Bogu, nie przejęła tradycji religijnych i politycznych zniszczonego przybytku jerozolimskiego; mogłaby stać się nowym ośrodkiem ży-dostwa nie tylko nad Nilem, lecz i w całym świecie. Zgodnie z rozkazem Lupus udał się osobiście do Leontopolis i zabrał stamtąd niektóre sprzęty liturgiczne, uniemożliwiając w ten sposób, jak sądził, dalsze sprawowanie kultu; świątynię zamknął. Zmarł wkrótce potem, wiosną roku 73. Jego następcą został Paulinus, który znowu musiał się zająć sprawą Leontopolis; widocznie jakieś nabożeństwa wciąż tam odprawiano. Nowy prefekt potraktował rzecz poważnie i surowo. Nie szczędząc ostrych pogroźek zmusił kapłanów, by wydali mu wszystkie sprzęty, szaty i skarby, a bramy świątyni zabił na głucho; nie pozwolił nikomu nawet zbliżyć się do budynku. Józef Flawiusz, piszący w kilkanaście lat później, twierdzi, że miej-

scowość wnet opustoszała całkowicie. Do naszych czasów dotrwały tylko — jako jedyny dowód, że istniał tam niegdyś przybytek Jahwe — wspomniane już napisy grobowe i sama nazwa miejsca. Lecz może konieczne było zniszczenie nawet tej namiastki prawdziwej świątyni, by okazało się w pełni i ku nauce wszystkich ludów, o ile ważniejsza od na j świetnie jszych budowli i najdoskonalszej organizacji jest dla każdego narodu jego więź psychiczna; niewidoczna wprawdzie, nieuchwytna i dlatego też często lekceważona, ale stanowiąca o odrębności, niezniszczalna i nieśmiertelna.

Tego wszakże nie potrafiłby chyba pojąć żaden Rzymianin tamtej epoki. Patrzył z dumą na swoją stolicę, ogromną i coraz wspanialszą. Wergiliusz mówił o niej w swych dźwięcznych wierszach, że przerasta wszystkie inne miasta podobnie jak strzelisty cyprys, górujący nad marnymi krzewinami. Z rzymskiego Pałatynu włada cesarz, jeden i tylko jeden. Ma on u swego boku dostoyny senat, rozkazuje nieustraszonym legionom, sprawnym urzędnikom, bogatym prowincjom. I jakże by mogło istnieć to Imperium bez siedziby władcy, bez oręża żołnierzy, bez czujnej, niezawodnej administracji, bez pomników chwały?

Pod koniec zimy roku 69 Sisenna, który tak szczęśliwie umknął z rąk samozwańczego Nerona na wyspie Cytnos, zbliżał się ku stolicy nad Tybrem pełen ufnej radości. Ujrzy miejsca dla każdego Rzymianina najświeższe, stanie przed samym cesarzem, otrzyma z pewnością miłą sercu nagrodę! Otrzyma ją nie tylko za trudy i niebezpieczeństwa, którym zdołał sprostać tak umiejętnie, ale i za to, że uratował i przywozi jakże cenny obecnie symbol braterskiej zgody i jedności działania dwóch armii Imperium.

IDĄC W ŚLADY NERONA

oisenna wjeżdżał do Rzymu zapewne z początkiem marca; wjeżdżał jednak nie przez Via Flaminia, lecz którąś z dróg od południa, bowiem jego okręt przybił do brzegów Italii w Brundizjum, w Ostii lub gdzieś w Zatoce Neapolitańskiej — jak wszystkie statki przybywające ze Wschodu. I choć oficer w pierwszych dniach swego pobytu w stolicy chyba nawet nie miał sposobności, by spojrzeć na grobowiec Do-micjuszów, musiał szybko się zorientować, że kult władcy, który tam spoczywa, rozwija się pięknie i jawnie. Nowy cesarz, Othon, wyraźnie pragnął, by go uważano za spadkobiercę i kontynuatora rządów Ne-ronowych.

Gdy wieczorem dnia 15 stycznia, po zamordowaniu Galby, pretorianie i lud w radosnym pochodzie odprowadzali Othona na Palatyn — a skrwawione zwłoki leżały jeszcze tu i ówdzie na Forum — niespodziewanie z różnych stron rozległy się okrzyki, najpierw pojedyncze i jakby nieśmiałe, potem ochoczo podjęte przez tłum i powtarzane wielokrotnie:

— Salve Otho Nero! Imperator Otho Nero!

To samo działo się dni następnych, cesarz zaś usiłował udawać, że w ogóle nie słyszy owych gromkich aklamacji. Może dlatego — zapytuje Tacyt — że bał się zabronić tego rodzaju manifestacji, a wstydził się je pochwalać? Co więcej, podobno w swych pierwszych urzędowych listach do namiestników prowincji, w których donosił o przejęciu władzy, właśnie tak się podpisywał: Otho Nero. Każdy mieszkaniec stolicy mógł też stwierdzić na własne oczy, że w wielu domach prywatnych znowu pojawiają się portrety i po-

sagi Nerona, za panowania Galby usunięte, ukryte lub obalone. Nowy cesarz spowodował również, że senat specjalną uchwałą oficjalnie zezwolił ustawić ponownie w miejscach publicznych posagi Sabiny Poppei, żony Nerona. Argumentacja była prosta: przed czterema laty, po tragicznej śmierci tej kobiety, senat konsekrował ją, to jest zaliczył w poczet bóstw; potem nie zaszło nic, co by kazało anulować tamtą uchwałę, Poppei więc przysługuje nadal tytuł „diva”, czyli boska, i winna ona odbierać cześć należną. Podejrzewano jednak powszechnie, że Othon uczynił tak pamiętny swej miłości sprzed lat do pięknej kobiety, zabranej mu właśnie przez Nerona. Jeszcze znamien-niejsze były inne posunięcia:

Wyzwoleńcom i zarządcom tamtego cesarza przywrócono ich dawne stanowiska. Jednym z doradców Othona w sprawach polityki wewnętrznej został senator Galeriusz Trachalus. Przed rokiem piastował on z łaski Nerona konsulat, a obecnie jako znakomity mówca układał publiczne oracje, z jakimi występował nowy pan Imperium. Znamienny był sam fakt, że to ktoś postronny przygotowywał wystąpienia oficjalne władcy. I w tym przejawiało się naśladowanie Nerona. Oto bowiem co pisze Tacyt o tym ostatnim:

„Zaznaczali ludzie starsi, co to dość mają czasu, żeby dawne czasy z terażniejszymi porównywać, że ze wszystkich, którzy do panowania doszli, pierwszy Neron cudzej potrzebował wymowy. Albowiem dyktator Cezar współzawodniczył z największymi mówcami, a August posiadał godną władcy łatwą i płynną wymowę. Tyberiusz znał także sztukę, którą się słowa odważa, raz pełen siły w swych myślach, to znowu umyślnie dwuznaczny. Nawet u Gajusza Cezara rozstrój umysłu nie wypaczył siły wymowy. Również

w Klaudiuszu, ilekroć rozprawiał o czymś, co wprzód obmyślił, nie wyczuwano braku wytworności." ¹⁰

Wśród pierwszych dokumentów, jakie Othon podpisał, znalazła się dotacja 50 milionów sesterców na wykończenie budowy Złotego Domu. Ten wspaniały pałac był umiłowanym dziełem Neronowym, toteż oszczędny Galba przerwał natychmiast wszelkie prace nad jego wystrojem.

I wreszcie, co również skomentowano odpowiednio, Othon wcale się nie krył z zamiarem poślubienia Sta-tilii Messaliny, ostatniej żony Nerona. On sam byłby już piątym z kolei jej mężem.

Oczywiście obecny pan Rzymu czynił to wszystko powodowany nie bezinteresowną sympatią do człowieka, który przez dziesięć lat trzymał go z dala od stolicy, lecz z pobudek wcale racjonalnych. Pragnął okazać społeczeństwu, zwłaszcza w samej stolicy, że odcina się stanowczo od polityki Galby. Chciał też obrócić na swoją korzyść ewidentne przywiązanie, jakim dość powszechnie darzono ostatniego przedstawiciela dynastii, która panowała przecież prawie wiek. Tacyt, liczący wówczas lat chyba piętnaście, może już przebywający stale w Rzymie, potwierdza to przypuszczenie. Powiada mianowicie: „Wierzono, że zamierza też pamięć Nerona uświetnić, a to w nadziei zjednania sobie pospółstwa”.¹¹ Historyk ten, nie zapominajmy, należał do warstwy senatorskiej i niższe stany darzył nie ukrywaną pogardą.

Rzecz prosta Othon nie mógł posuwać się zbyt daleko. Wiedział doskonale, jak wrody Neronowi byli właśnie senatorzy oraz ekwici. Przedstawiciele głównie tych dwóch stanów padali ofiarą Neronowej podejrzliwości i grabieży, toteż przede wszystkim oni spiskowali przeciw swemu ciemniejszy i wreszcie do-

prowadzili do jego zguby. W obliczu wojny domowej — a każdy dzień przynosił nowe wieści o marszu armii Witeliusza znad Renu na południe — cesarz musiał usilnie zabiegać o przychylność lub przynajmniej neutralność osób wpływowych. Starał się więc okazać, że nie będzie naśladował w życiu prywatnym i publicznym ani bezwzględności Nerona, ani też jego ekstrawagancji. Dobrze rozumiał, że występy w roli pieśniarza i woźnicy zaszkodziły tamtemu nie mniej (a chyba nawet bardziej) od krwawego rozprawienia się z prawdziwymi lub urojonymi spiskowcami. Despota za żadną cenę nie może jawnie przyznawać się do swych słabostek; wybaczy się mu wszelkie okrucieństwa i zbrodnie, lecz nigdy śmieszność, Othon już w Hiszpanii dał się poznać jako administrator sprawny i energiczny, obecnie zaś prowadził mądrą politykę głosząc hasła pokoju wewnętrznego, zgody, współpracy. Podporą jego władzy byli pretorianie, toteż obsypywał ich łaskami i przywilejami; lecz jednocześnie osłonił przed żołnierską żądzą mordu Mariusza Celsusa, który do końca dochował wierności straconej już sprawie Galby. Jeśli nowy cesarz karał kogoś, to tylko i jedynie osoby powszechnie znienawidzone. Do tych należał przede wszystkim Sofoniusz Tygellinus.

TYGELLINUS

Jr refekt pretorianów Nerona, a zarazem jego zły duch w późniejszym okresie rządów, właściwy sprawca wielu zbrodni przypisywanych cesarzowi, wyrósł z mętów społecznych. Swemu władcy zawdzięczał

wszystko, lecz w dniach próby opuścił go i zdradził jeden z pierwszych. Toteż już za Galby podnosiły się z wielu stron żądania, by Tygellinus poniósł zasłużoną karę za to, czego dopuszczał się w czasach Nerono-wych. Wtedy jednak uratował się dzięki wstawiennictwu możnych przyjaciół, którzy mieli swój tajemny udział w różnych jego aferach. W oczach Galby pomogło mu i to, że w porę porzucił tamtą sprawę. Lecz gdy tylko rządy objął Othon, znowu zaczęły rozlegać się wszędzie i przy każdej okazji, na forach, w cyrkach i teatrach, głośne, coraz natarczywsze wołania: Śmierć Tygellinowi! I Othon chętnie cisnął tę obmierzłą kreaturę ludowi na pastwę.

Tygellinus bawił od pewnego czasu u wód Sinues-sy. Miejscowość leżała prawie dwieście mil na południe od Rzymu, u samych granic Kampanii. Leczył się tam, zapewne z podagry, a zarazem wesoło zabawiał. Otaczał go, jak zawsze i wszędzie, rój młodych kobiet, z którymi uprawiał najwymyślniejsze sztuki miłosne. W przystani jednak, jak później uporczywie twierdzono, czekał okręt, każdej chwili gotów do wypłynięcia na morze; miał wywieźć go w nieznane strony wprost z orgii lub może nawet nie przerywając mu uciech. Lecz oficer wysłany przez Othona stanął w bramie domu zupełnie niespodziewanie. Nie było czasu na ucieczkę. Tygellinus sięgnął natychmiast po argumenty, które dotychczas nigdy go nie zawodziły. Ofiarował sumy milionowe, lecz spotkał się z kategoryczną odmową. Rozpustnik jeszcze zwłóczył, jeszcze obłapiał swcje dziewczyny, a wreszcie zabrał się do golenia — i sam podciął sobie gardło brzytwą.

Przed dwoma lub trzema laty tenże Tygellinus w czasie greckiej podróży Nerona odgrywał rolę ojca panny młodej przy niezwyklej ceremonii

Panną młodą był Sporus, z rozkazu władcy, jak się już rzekło, wykastrowany i mający stać się dziewczyną; a wszystko dlatego, że rysy jego twarzy bardzo przypominały Sabinę Poppeę, ukochaną najpierw Othona, potem cesarza, zmarłą niedawno. Ceremonii dokonano zachowując wszelkie zasady prawne, formalnie i uroczyście. Grecy święcili to wydarzenie w podniosłym nastroju, gorąco życząc młodej parze, by bogowie wnet dali jej potomstwo dorodne i szlchetne. Sporusa nazywano odtąd oficjalnie cesarzową i panią. Wprowadzała go w świat kobiecy pani z kręgów najwyższej arystokracji rzymskiej, bogata i wpływowa Kalwia Kryspinilla. Ona to osobiście troszczyła się nawet o stroje i suknie.

KALWIA KRYSPINILLA

^a aką rolę odgrywała Kryspinilla na dworze Nero-nowym? Wyjaśnia to znakomicie i jednoznacznie przydomek dany jej przez Tacyta: „magistra libidi-num”¹², czyli mistrzyni rozkoszy miłosnych. Jest wysoce prawdopodobne, że sportretował ją, wśród wielu innych osób, Petroniusz; uczynił to na kartach swej powieści „Satyrikon”. Rzecz ta, pisana właśnie za panowania Nerona, pełna jest arcyzłościwych, choć dla nas nie zawsze uchwytnych aluzji do różnych postaci, powiązań i wydarzeń w otoczeniu cesarza. Autor przez kilka lat należał do najściślejzego grona przyjaciół władcy jako jego „arbiter elegantiarum”, znał więc doskonale pałacowe stosunki, intrygi i tajemnice. Otóż w jednym z zachowanych fragmentów powieści występuje niejaka Kwartilla. Wypada zwrócić uwagę na

samo podobieństwo jej imienia do tego, które nosiła Neronowa mistrzyni rozkoszy! Demonstruje ona swe doświadczenie i umiejętności w sposób zaskakujący: „W pewnym momencie podeszła do niej Psyche i coś tam szepnęła do ucha. Na co ona:

— Tak, tak, dobrze, żeś mi to przypomniała! Czemu by nie rozdziewiczyć naszej Pannychii, skoro okazja wspaniała?

Zaraz też przyprowadzono dziewczynkę wcale ładną, ale nie wyglądającą na lat więcej niż siedem. Wszyscy zaczęli klaskać i wołać, by zaślubiny odby-iy się bez żadnej zwłoki. Ja zmartwiałem z przerażenia. Zacząłem krzyżeć, że ani Giton, chłopiec niezwykle wstydlivy, nie podoła takiej rozpuszcie, ani że dziewczynka jeszcze nie w tym wieku, by mogła wytrzymać to, co cierpieć musi kobieta.

Lecz Kwartilla ogromnie się oburzyła:

— A więc to tak, to ona niby młodsza, niż bylam ja, kiedym po raz pierwszy miała mężczyznę? Niech mnie Junona znienawidzi, jeśli pamiętam, bym kiedykolwiek była dziewicą! Już jako niemowlę puszczałam się z rówieśnikami. A potem, gdy szły lata, przymierzałam się do większych chłopców, pókim nie doszła do tego oto wieku. Myślę nawet, że właśnie stąd się wzięło znane przysłowie: i byka podniesie, kto cielątko nosił!

Powstałem więc i ja, bardzo się bojąc, by brat aie doznał gorszej krzywdy gdzieś w ukryciu.

A tymczasem Psyche już osłoniła główkę dziewczynki ślubnym welonem czerwonym. Już zwyrodnia-lec ruszył przodem z zapaloną pochodnią. Już ustawiły się w długi szereg pijane kobiety, przyozdobiwszy wprzód małżeńską łożnicę szatą niezbożną. Zerwała się z miejsca także Kwartilla, rozpalona pożądli-

wością tych, co się bawili. Chwyciła Gitona za rękę i wciągnęła go do sypialni. Chłopiec, prawdę mówiąc, wcale się nie bronił. A dziewczynka też nie wyglądała na zasmuconą lub przerażoną tym, że za mąż idzie.

Gdy tylko eboje tam się położyli i drzwi zamknięto* my usiedliśmy przed progiem. Kwartilla pierwsza zapuściła ciekawe oczko przez szczelinę, którą bezczelnie rozszerzyła, i z pożądliwym zainteresowaniem śledziła dziecięce igraszki. Mnie także przyciągnęła ku temu widowisku rączką stanowczą. A ponieważ przy oglądaniu współ nasze twarze z konieczności zbliżały się ku sobie, w każdym momencie, gdy tylko tam nie patrzyła, lekko poruszała wargami i wciąż zasypywała mnie ukradkowymi pocałunkami." ¹³

Z pewnością podobne były praktyki, podobny temperament Kalwii Kryspinilli. Nic dziwnego, że po śmierci Nerona uciekła za morze, do prowincji w Afryce północnej. Podzęgała dowódcę stacjonującego tam legionu do rebelii. Rzekomo zamierzała wstrzymać dostawy zboża do stolicy Imperium, aby w ten sposób ukarać miasto, które zdradziło swego pana. Wkrótce jednak powróciła do Rzymu, jeszcze za Gal-by; widocznie znaleźli się możni ludzie, gwarantujący jej bezpieczeństwo. Gdy rządy objął Othon, natychmiast zaczęto się natarczywie domagać z różnych stron, by rozpustnicę ukarać przykładnie. Cesarz wszakże pozostał głuchy na te żądania. Może dlatego, że wysoko cenil pomysłowość Kryspinilli w zakresie sztuki, którą sam w latach młodzieńczych gorliwie uprawiał? Zresztą nawet teraz, choć na pozór stronił od uciech, pochłonięty sprawami państwa, nie odmawiał sobie pewnych przyjemności. I tak wziął: do swego najbliższego otoczenia właśnie Sporusa, wychowanka — czy też wychowanicę? — Kryspinilli

Czy dlatego, że i jemu chłopiec przypominał Sabinę Poppeę? Lub by również pod tym względem okazać się godnym spadkobiercą Nerona?

PRAWICE POŁĄCZONE, KRÓLESTWO ROZDZIELONE

Szczytne hasła Othcnowych rządów pojawiały się również na mone^{ch}. Każdy, kto brał do ręki denary z jego wizerunkiem, odczytywać musiał pięknie brzmiące słowa, będące wszakże raczej pobożnym życzeniem niż stwierdzeniem stanu rzeczywistego: „?ax Orbis Terrarum” — Pokój Kręgu Ziemi — oraz „Se-curitas Populi Romani” — Bezpieczeństwo Ludu Rzymskiego. Przy czym godzi się zauważyć, że to ostatnie hasło występowało już na niektórych emisjach w czasach Neronowych; przypadek czy też świadoma kontynuacja pewnych posunięć propagandowych? Przyznać trzeba, że cesarz nie szczędził wysiłków, by dumne zapowiedzi stały się faktem. Przede wszystkim pragnął za wszelką cenę uniknąć groźby najgorszej, to jest wojny z Witeliuszem. Słał do niego list za listem. Obiecywał święcie góry złota, nietykalność, zaszczyty, spokojne miejsce pobytu, które tamten sam sobie wybierze, byle tylko złoży! broń i zrzekł się tytułu, przyznanego mu nielegalnie. Witeliusz oczywiście odpowiedział podobnymi żądaniami i obietnicami. Oba] uważali się za prawych cesarzy Rzymu i oba] byli już w istocie więźniami zarówno własnych czynów, jak też wojsk i stronników. Ustąpić, cofnąć się, zrezygnować nie mogli pod żadnym warunkiem; nawet gdyby sarni tego szczerze pragnęli. Nic dziwnego,

że listy obu stawały się coraz ostrzejsze w tonie i twardsze, aż wreszcie doszło do oskarżeń i wyzwisk popolitych. Imperatorzy zarzucali sobie wzajem najbrudniejsze sprawy z życia osobistego, prawdziwe i zmyślane; materiału nie brakowało. Oba] też próbowali skuteczniejszych metod działania, wysyłając skrytobójców. Tych od Othona łatwo rozpoznano wśród żołnierzy w obozie, gdzie wszyscy znali się przynajmniej z twarzy, natomiast Witeliuszowi ukryli się wśród różnojęzycznej ciżby mieszkańców stolicy i spokojnie przeczekali całą zawieruchę, niczego co prawda nie zdoławszy dokonać.

A tymczasem legiony znad Renu ani na dzień nie przerywały marszu na południe. Donoszono o szybkim ich pochodzie ku Alpom i o straszliwych okrucieństwach, jakich dopuszczają się wobec miast i krain opornych. Jeden z wodzów Witeliusza, Cecyna, przeprowadził krwawą pacyfikację ziemi Helwetów, czyli dzisiejszej Szwajcarii. Poszło o to, że tamtejsi mieszkańcy ośmielili się uwięzić delegację armii Renu, spieszącą do legionów nad Dunajem środkowym z wezwaniem, by i one poparły sprawę Witeliusza.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji Rzym, a zwłaszcza dwór Othona, przyjął ze szczególną radością centuriona Sisennę; przybywał on ze Wschodu jako zwiastun prawdziwie dobrej nowiny przed decydującą rozprawą. Oczywiście w stolicy wiadano już wcześniej, że cztery legiony w Syrii, pozostające pod rozkazami Licyniusza Mucjana, oraz trzy legiony w Judei, którymi dowodził Flawiusz Wespazjan, złożyły od razu i bez wahania przysięgę na wierność Othonowi; obecnie jednak otrzymano naoczny, podwójnie cenny dowód lojalnych uczuć pierwszej z tych armii. Sisenna mianowicie przywiózł metalowy rzeźbę, wykonaną za-

pewne ze srebra lub z brązu; przedstawiała dwie dłonie, połączone w mocnym, bratnim uścisku. Był to tradycyjny w Rzymie symbol jedności i zgody, znany nam doskonale dzięki wyobrażeniom na wielu monetach z okresu cesarstwa. Splecione prawice trzymają niekiedy drzewce z orłem legionowym, zwykle zaś towarzyszą im krótkie, lecz wymowne napisy: „Con-cordia exercituum” — Zgoda wojsk, albo też „Fides exercituum” — Wierność wojsk. Nie trzeba chyba zaznaczać, że tę monolityczną jedność armii sławiono w oficjalnej propagandzie — tak dzieje się w każdej epoce — najczęściej i najusilniej właśnie wtedy, gdy rzeczywiste nastroje legionów Imperium przedstawiały się zgoła odmiennie. Lecz obecnie Sisenna przekazywał pretorianom znak, który legioniści w Syrii kalali sporządzać i przysyłać samorzutnie; był to więc autentyczny wyraz ich postawy wobec kohort w stolicy. Znak stwierdzał: aprobujemy wasz wybór i staniemy w jego obronie! Łatwo sobie wyobrazić, do jakich mogłoby dojść komplikacji, gdyby ów symbol braterstwa dostał się w ręce Nerona na wyspie Cyt-nos! Samozwaniec potrafiłby go wyzyskać, rozgłaszając szeroko, że ma za sobą armię Wschodu.

Ceremonia przekazania rzeźby odbyła się, jak wolno przypuszczać, na dziedzińcu koszar pretorianów, niezależnie zaś od niej centurion z pewnością otrzymał posłuchanie u samego cesarza.

Othon liczył wówczas lat trzydzieści siedem. Był wzrostu średniego i dobrze zbudowany; co prawda nogi miał nieco krzywe, lecz gdy ukazywał się publicznie w stolicy, fałdy dostojnej togi nie pozwalały dostrzec nieforemności; gorzej to wyglądało w obozie wojskowym, gdzie zazwyczaj nosiło się tylko krótką tunikę. Natomiast jedynie domownicy i wtajemni-

czeni wiedzieli, że cesarz ma włosy mocno przerzedzone, zawsze bowiem występował przed obcymi w znakomicie dopasowanej peruce. Również jego poprzednik Galba nosił perukę, był jednak starszy o lat prawie czterdzieści. Twarz golił Othon codziennie, i to już od wczesnej młodości, gdy tylko zaczął się sypać pierwszy puszek; nikt nigdy nie widział go z zarostem. By złagodzić podrażnienia skóry, przykładł regularnie maseczki z wilgotnego chleba. Sposób ten zapożyczył od pań ówczesnych, dbających o zachowanie świeżości cery; lecz nawet u nich wyśmiewał tego rodzaju zabiegi kosmetyczne satyryk Ju-wenalis. Przedstawiał złośliwie, jak to żona pokazuje się mężowi niby maskara śmieszna i okropna, bo ma na twarzy chleb grubo nałożony i jeszcze pęczniący, a wonieje przy tym tłustą maścią pomysłu Sabiny Poppei; niechże się lepią do mazi ohydnej stęsknione wargi nieszczęsnego małżonka! Do kochanka pani pójdzie schludna i wykąpana, ale w domu kiedyż zechce wydać się piękną? “ Opowiadano również, że Othon jako pierwszy wśród wytwornych panów zaczął nacierać stopy pachnącymi olejkami; w czym naśladował go przyjaciel z lat młodzieńczych Neron. To wszystko, jak również częste korzystanie z usług lusterka, uważano za dowód wyjątkowej zniewieścia-łości; lecz rychło miało się okazać, że osąd to z gruntu fałszywy.

Centurion, jak łatwo odgadnąć, zapewniał cesarza, że może w pełni liczyć na armię Wschodu, całym sercem stojącą po stronie prawowitego władcy. Nie wyjawiał natomiast, rzecz to chyba oczywista, że legioniści dokonali aktu przysięgi dość obojętnie i jakby machinalnie; po prostu przywykli posłusznie przyjmować wszystkie decyzje podjęte w stolicy i przez

senat. Zresztą w tym wypadku nie mieli żadnego wyboru, za późno bowiem dotarła do nich wiadomość o buncie armii Renu, o obwołaniu cesarzem Witeliusza, o groźbie wojny domowej. Gdyby wojska Syrii i Judei wiedziały o tym wszystkim wcześniej, przed złożeniem przysięgi, zapewne postąpiłyby ostrożniej, zwłócząc i wyczekując, jaki obrót przybiorą sprawy na Zachodzie. A może od razu wysunęłyby swego kandydata do tronu?

PRZYGOTOWANIA WOJENNE

1\ ozmawiając z Sisenną Othon wcale nie musiał udawać, że jest dobrej myśli, bo istotnie patrzył w przyszłość z wielką ufnością. Miał za sobą co najmniej dwie trzecie prowincji i wojsk Imperium! Nie tylko legiony Syrii i Judei, lecz także Egiptu, Afryki północnej, Azji Mniejszej, nade wszystko zaś potężną armię Dunaju. Natomiast po stronie Witeliusza stały jedynie kraje Zachodu: obie nadreńskie Germanie, Galia i Brytania, ostatnio zaś opowiedziały się za nim, choć nie bez pewnych oporów, Hiszpania. Wszystko zależało obecnie od tego, czy uda się w porę ściągnąć wojska z nad Dunaju; stacjonowały one najbliżej i mogłyby skutecznie zagrozić murem swych kohort drogę pracującym naprzód legionom Witeliusza. W samej bowiem Italii Othon miał siły stosunkowo szczupłe: dziewięć kohort pretorianów, kilka kohort tak zwanych miejskich i wreszcie legion nowo utworzony z żołnierzy i załóg floty misenackiej. Ten ostatni zaczęto formować, jak była mowa, już za Nerona, lecz dopiero teraz powstał on oficjalnie, to jest otrzy-

mał swego orła, znaki bojowe i swój numer wraz z nazwą Prima Adiutrix, czyli Pierwszy Pomocniczy. Lecz i te oddziały cesarz musiał podzielić! Wysłał mianowicie okręty wojenne wraz ze sporym zastępem pretorianów ku Galii południowej, dla ratowania jej przed szybkimi postęпами nieprzyjaciela. Lądem natomiast wyprawił do Italii północnej pięć kohort pre-toriańskich, szwadron jazdy i legion I Pomocniczy, a także dwa tysiące gladiatorów. Jednostki te miały obsadzić główne przejścia przez Pad. Donoszono bowiem, że wódz Witeliusza, Cecyna, już przekroczył Alpy; odważył się na to mimo zimowej pory roku! Sam cesarz miał opuścić stolicę w kilkanaście dni później. Pozostawił przy sobie resztę pretorianów, wyborowe oddziały zwiadowców, a także powołanych do służby weteranów oraz tysiące żołnierzy floty. Duch bojowy wśród żołnierzy i oficerów był znakomity. Tego wszakże nie dałoby się powiedzieć o ludności cywilnej w stolicy.

Przygotowania wojenne sprawiły naturalną kolejną rzeczą, że w mieście panowało zdenerwowanie, zamieszanie, niepokój. Rychło też zaczęto odczuwać dotkliwe braki żywnościowe, za czym nieuchronnie poszła fala drożyzny, uderzając zwłaszcza w warstwy uboższe. Po raz pierwszy od wieku groza wojny podchodziła tak blisko stolicy! Wojny w rozumieniu ludu tym absurdalniejszej, że obaj protagoniści, Othon i Witeliusz, byli mu zasadniczo jednakowo obojętni. Któż się nie orientował, że tamtym chodzi nie o dobro państwa, nie o wielkie idee i hasła, lecz po prostu tylko i wyłącznie o władzę? Tym bardziej więc i tym powszechniej żałowano Nerona. Pod względem moralnym terażniejsi rywale z pewnością niewiele byli odeń lepsi, a tamten panował przynajmniej legalnie,

jako prawy spadkobierca i członek rodu cesarskiego, dając za swych rządów całemu Imperium pokój długotrwały i prawie nie zmacony.

Na domiar złego przyszedł też kataklizm, którego nikt nie był w stanie przewidzieć.

POWÓDŹ

ŹNagły i wyjątkowo gwałtowny wylew Tybru ogromnie pogorszył sytuację w stolicy. Rzeka zerwała najstarszy most rzymski, zbudowany przed kilku wiekami z palów drewnianych, łączonych tak przemyślnie, że nie użyto ani jednego gwoźdźca żelaznego. Wody rozlały się szeroko. Sięgnęły terenów, które dotychczas uchodziły za zupełnie bezpieczne, a Tyber przecież nieraz występował z brzegów! Fale wdarły się do wielu domów tak raptownie, że sporo ludzi utonęło, gdy powódź zaskoczyła ich w łózkach lub w ta-wernach. Co gorsza, po ustąpieniu wód zaczęły się zapadać liczne budynki mieszkalne, jako że słabe ich fundamenty uległy podmyciu; winę za to ponosili przede wszystkim chciwi grosza przedsiębiorcy i architekci, którzy wznosili domy mieszkalne dla biedoty lichy i naprędce. Zalane zostały także spichlerze zbożowe, stojące tuż nad rzeką. To jeszcze zaostrzyło drożyznę. Groził głód. Zgodnie z mentalnością epoki powszechnie uważano i głośno mówiono, iż zły to omen dla Othona, rzeka bowiem przerwała właśnie tę drogę, którą miał maszerować na północ; była nią Via Flaminia. A tłumacze snów, od których rojiło się w stolicy, pouczali swych zawsze licznych słuchaczy:

— Wody mętne i wzburzone, we śnie widziane, zapowiadają, że rychło zdarzy się coś niedobrego. Odradzają też jakąkolwiek podróż. Jeśli zaś wdzierają się do domu, oznaczają przemoc nieprzyjacielską. I to taką, która przyniesie ogromną szkodę zarówno samemu budynkowi, jak i jego mieszkańcom. To mówią i tym grożą zwidy nocne. A cóż dopiero, jeśli wylew wydarzył się naprawdę i na jawie, w przeddzień wielkiej wyprawy wojennej, tuż przed wymarszem wodza w pole!

Opowiadano też szeroko o innych znakach wieszczych, rzekomo zapowiadających wypadki groźne i niezwykle. W Etrurii wół przemówił ludzkim głosem. W samym Rzymie lejce wyśliznęły się z rąk spiżowego posagu bogini Zwycięstwa; posąg ten stał na rydwanie w przedświątyni kapitolńskiej. Na wyspie tybrowej posąg boskiego Juliusza Cezara sam, bez pomocy zewnętrznej, obrócił się z zachodu na wschód; a działo się to w dzień pogodny i całkowicie bezwietrzny.

WYMARSZ

W dniu 14 marca cesarz pożegnał się najpierw z senatem. Powierzył dostojnym ojcom opiekę nad państwem w czasie swej nieobecności. Aby zaś zjednać sobie ów stan tak wpływowy, zarządził — właśnie teraz, niemal na wyjeździe! — że majątki wszystkich senatorów, wygnanych przez Nerona, później zaś ułaskawionych za Galby, będą zwrócone prawym właścicielom; oczywiście jeśli nie zostały już sprzedane. Następnie wygłosił przemówienie na wiecu ludu. Rzekł

wszystko to, czego można się było spodziewać w takiej sytuacji. Wywodził więc długo i szeroko, że ma za sobą cały majestat stolicy Imperium oraz zgodne poparcie ludu i senatu. Zganił, rzecz jasna, postawę przeciwników, dał wszakże do zrozumienia, że winę za to, co się stało, ponosi nie tyle samowola legionów nad-reńskich, ile raczej ich ubolewania godna dezorientacja. Słuchano pilnie, zwrócono więc od razu uwagę, że o samym Witeliuszu cesarz nie wspomniał ni słowem! Zapytywano więc, czy wynika to z powściągliwości władcy, czy też raczej osoby, która układała mu orac-ję? Myślano oczywiście o Galeriuszu Trachalusie; podejrzewano, że ten, nie wiedząc jeszcze, jaki będzie ostateczny wynik zmagają, wołał nie zamykać przed sobą pewnych możliwości.

W dniu 15 marca — a więc były to idy! — Othon wreszcie opuścił Rzym. Tacyt poświadcza, iż żegnały cesarza przyjazne i życzące mu zwycięstwa okrzyki tłumów, zgromadzonych wzdłuż ulic; lecz był to lud przywykły od dawna do schlebiana każdemu władcy, toteż wołał głośno i ochoczo, choć ani miłość nie pobudzała go do tego, ani strach nie zmuszał; wystarczała sama rozkosz służalstwa.

Cesarz jechał przez Via Flaminia na północ. Nic sobie nie czynił z wszelakich opowieści o znakach wieszczych. Zlekceważył nawet to, na co musiano mu zwrócić uwagę, jeśli sam o tym nie wiedział. A mianowicie właśnie w dniu 15 marca rozpoczynał się cykl żałobnych obrzędów ku czci Attysa, ukochanego Wielkiej Matki Bogów. Mit bowiem opowiadał, że właśnie w tym dniu Attys, jeszcze jako dziecko, został wyrzucony do trzciny nadrzecznych, gdzie miał zginąć; został wprawdzie uratowany, czciciele jednak bogini, obchodząc co roku pamiątkę niebezpieczeń-

stwa, wnosili procesjonalnie wiązki trzciny do miasta, śpiewając przy tym smętne hymny.

Othon jednak, choć sam należał do wyznawców egipskiej bogini Izydy, wzgardził tą przepowiednią, podobnie jak wszelkimi innymi. Wierzył tylko gwiazdom. Zwłaszcza odkąd znakomity znawca ich układów, astrolog Ptolemeusz Seleukos, niegdyś nadworny doradca Sabiny Poppei, przepowiedział mu przed laty, że przeżyje Nerona; ostatnio zaś tenże Ptolemeusz wyznaczył mu jakże trafnie dzień, w którym zamach na Galbę musi się powieść: 15 stycznia!

Niedaleko za miastem Othon zostawił po prawej ręce Wzgórze Ogrodów i stojący tam grobowiec Domicjuszów z sarkofagiem Nerona. Orszak postępował naprzód, bardzo jednak powoli, albowiem aż do dwudziestego kamienia milowego zalegał drogę muł oraz gruz domów, zniszczonych przez niedawny wylew rzeki.

Wśród patrzących na wymarsz cesarskich oddziałów z pewnością byli też chrześcijanie. Ich gmina, choć jeszcze nieliczna, już się odradzała po Nerono-wym prześladowaniu sprzed pięciu lat. I ona przygotowywała się do obchodu smutnej pamiątki męki Pana. Żyjąc zaś w sercu Imperium, z konieczności, choćby tylko całkowicie biernie, uczestniczyła w wielkich wydarzeniach politycznych. Toteż w owych dniach marcowych musiała wspominać słowa swego Mesjasza: „Jeśli się podzieliło królestwo przeciw sobie, nie może się ostać ono królestwo. I dom jeśli się podzielił, nie może dom ten się ostać!”

Żadne królestwo i żaden dom nie wydawały się wówczas bardziej podzielone od państwa Rzymian.

JAN Z GISCHALI I TYTUS

Lecz to nie Rzym był w owych dniach państwem najgłębiej rozdartym niezgoda i miastem najbardziej zagrożonym przez wody mętne i wzburzone. Sytuacja przedstawiała się przedziwnie. Na Zachodzie, w Italii, dwie armie Imperium zmierzały ku sobie, by zetrzeć się w nieuchronnej już bitwie bratobójczej, jednocześnie zaś na Wschodzie inna armia tegoż Imperium prawdziwie żelaznym i coraz ciaśniejszym kordonem otaczała serce małej krainy; obrońcy zaś owej ziemi zamiast myśleć tylko i jedynie o walce z nieprzyjacielem, w iście opętańczym zaślepieniu wzajem godzili w siebie mieczami, wyniszczając i tak nędzne zasoby, ludzkie i materialne, swej umęczonej ojczyzny. Mowa o Judei.

To prawda, że już latem roku 68 Wespazjan, gdy tylko przyszła wiadomość o śmierci Nerona, przerwał wszelkie działania wojenne i wycofał się do swej głównej bazy, do Cezarei nadmorskiej. Pozostawił jednak stosunkowo niedaleko od Jerozolimy, ośrodka powstania, silne załogi: legion X stacjonował na wschód od tego miasta, w Jerycho, legion zaś V na zachód, w Emaus. Powstańcy utrzymywali w swym ręku obszar przypominający kształtem prostokąt; obejmował on Judeę właściwą, czyli ziemie wokół stolicy, oraz Idumeę, czyli kraj na zachód od Morza Martwego; na brzegu bowiem wschodnim powstańcy mieli jeszcze tylko twierdzę Macherunt.

W samej Jerozolimie faktyczną władzę do wiosny roku 69 sprawował Jan z galilejskiej Gischali, przywódca fanatycznego stronnictwa Żarliwych. Przybył

on tutaj przed półtora rokiem, a wiać jesienią roku 67, w ostatniej chwili uszedłszy podstępem ze swej rodzinnej miejscowości. Wypada cofnąć się i przypomnieć, jak to się stało, wydarzenie bowiem charakteryzuje zarówno samego Jana, jak i jego ówczesnego przeciwnika, Tytusa. Latem i wczesną jesienią roku 67 Wespazjan opanował prawie całą Galileę; w Jotapacie pojmał dowódcę powstańców tamtej krainy, Józefa, który przyjął później przydomek Flawiusza i miał stać się dzie-jopisem wojny. Broniła się jeszcze tylko Gischala, położona u północnych krańców Galilei, gdzie Jan podzegał mieszkańców do walki za wszelką cenę i organizował swe siły z wielką energią. Aby zdusić ostatnie ognisko oporu, wódz pchnął tam swego syna Tytusa z oddziałem tysiąca jeźdźców. Osada, choć otoczona murem, była niewielka i Rzymianie mogliby łatwo ją zdobyć za pierwszym uderzeniem. Tytus jednak pragnął uniknąć niepotrzebnego przelewu krwi. Zdawał sobie sprawę, że większość mieszkańców to , spokojni rolnicy, którzy przyłączyli się do ruchu porwani prądem ogólnego uniesienia albo też pod presją opinii lub nawet strachu; żołnierz zaś, gdy raz wedrze się w mury z bronią w ręku, będzie mordował wszystkich wokół bez miłosierdzia, nie rozróżniając winnych i niewinnych. Rozkazał więc wołać ku obleganym, że daruje im życie i cały dobytek, jeśli ppd-dadzą się od razu; rozumie ich umiłowanie wolności, nie będzie jednak tolerował ślepego uporu, skoro ich sprawa i tak stracona, a cała Galilea już rzymska; sła-biutkie mury nie dadzą żadnej osłony, bo znacznie mocniejsze zdobywano szturmem! Słowa to bardzo znamienne dla postawy Tytusa. W poprzednich walkach dał on już wiele dowodów odwagi i zdecydowa-

nią, lecz miał dość owych ustawicznych rzezi; Józef Flawiusz powiada to wyraźnie na podstawie tego, co sam z jego ust usłyszał lub co wyczytał w pamiętnikach.

Tymczasem powstańcy zabronili mieszkańcom miasteczka jakichkolwiek rozmów z Rzymianami, a na propozycje Tytusa odpowiedział sam Jan, przyjmując je prawie bezwarunkowo:

— Przyznaję, że rady i ostrzeżenia są w pełni słuszne. Przekonały mnie. Poddam się i wszystkich do tego nakłonę prośbą lub groźbą. Proszę tylko o jedno — o zwłokę do jutra. Dziś sabat, a Zakon zabrania nam kategorycznie podejmowania w tym dniu jakichkolwiek prac i czynności.

Tytus znał już zwyczaje żydowskie, uznał więc te racje i rozbił obóz w dość znacznej odległości od miasta; zaufał tamtemu do tego stopnia, że nie rozstawił wokół Gischali nawet posterunków. A tymczasem, gdy tylko noc zapadła, Jan po kryjomu ł w ciszy wyprowadził za mury swych ludzi wraz z ich rodzinami i spiesznie ruszył na południe, ku Jerozolimie. W drodze wszakże okazało się rychło, że kobiety i dzieci bardzo opóźniają pochód. Dowódca więc rozkazał je zostawić, a gdy rozległ się płacz i lament, oświadczył:

— Musimy przede wszystkim ratować siebie samych, mężczyzn zdolnych do walki. Jeśli tu zostaniemy, zginiemy marnie i bez pożytku wszyscy. Natomiast kiedy się znajdziemy w miejscu bezpiecznym, będziemy mogli mścić się na Rzymianach, gdyby ci naprawdę zagarnęli nasze rodziny.

Tak więc mężczyźni biegli naprzód co sił w nogach (koni nie mieli), kobiety zaś z dziećmi pozostały same w pustkowiu i w mroku.

Gdy rankiem dnia następnego Tytus stanął zgodnie

z umową pod murami Gischali, otworzono mu bramy na oścież i błagano o litość. On jednak na razie nie wkroczył do miasta; dowiedziawszy się o ucieczce Jana wysłał w pierw jeźdźców w pościgu. Ci już nie zdołali go dopaść, położyli wszakże trupem wielu za nim idących; zagarnęli też kobiety z dziećmi. Pojrna-nych było łącznie podobno trzy tysiące, lecz licznica ta wydaje się mocno przesadzona — jak zresztą większość podawanych przez Józefa Flawiusza. Młody wódz, choć bardzo dotknięty całą sprawą i zawstydzony, że dał się zwieść w sposób tak prostacki, wstrzymał się od wywierania zemsty na ludności Gischali. Żołnierze przed wejściem do osady zburzyli najpierw kawałek muru obronnego, co wówczas często praktykowano, głównie jako symbol zdobycia. Nie ukarano za pomoc okazaną tamtym nikogo. Co prawda sami mieszkańcy zaproponowali Tytusowi, że wyszukają i wydadzą w jego ręce stronników Jana, jeszcze się ukrywających po domach. Wódz jednak odrzucił tę zdradziecką ofertę, motywując odmowę w sposób, który przynosi mu chwałę (oczywiście jeśli wierzyć relacji Józefa):

— Przewiduje, że gdy tylko zacznie się wylapywać sprawców buntu, wielu wykorzysta to dla swych osobistych celów. Wszelki marny pretekst da okazję do podłej zemsty. Będą mi przyprowadzać ludzi spokojnych i absolutnie niewinnych, abym ich sądził i ka-rah Lepiej więc, aby prawdziwi przestępcy żyli w ustawicznym strachu, niżby razem z nimi mieli ponieść śmierć ci, co nie zasługują nawet na przyganę. Takiej pomyłki sprawiedliwości nie dałoby się naprawić później w żaden sposób. Zresztą może i tamci wreszcie się opamiętają, gdy pojmą, że istotnie wybaczone im dawne zbrodnie?¹⁵

Słowa te, wypowiedziane w czasach tak odległych, zasługują tym bardziej na pamięć, iż w naszej epoce byliśmy świadkami wyznawania i praktykowania zasady diametralnie odmiennej, którą tak można by sformułować:

Lepiej ukarać stu całkowicie niewinnych, niż po-*H*lic, by ukrył się i uratował jeden winowajca!

JAN Z GISCHALI W JEROZOLIMIE

I ymczasem Jan zdołał bez przeszkód dotrzeć z garścią swoich do samej stolicy. Tam rósł szybko w znaczenie jako jeden z przywódców stronnictwa Żarliwych. Szeregi ich składały się przeważnie z chłopstwa, zagnanego do Jerozolimy przez wypadki wojenne, a także z ubogiej młodzieży wiejskiej. Ci zapaleńcy i fanatycy, nie mający nic do stracenia, a pewni swej siły, buńczuczni i krzykliwi, stosowali jawny terror wobec wszystkich podejrzanych o sprzyjanie Rzymianom, o małoduszność i ugodowość. Doprowadzili do uwięzienia, a nawet zamordowania wielu wybitnych osobistości. Pozbawili też możnowładców przywileju, jakim było piastowanie godności arcyka-kapłańskiej, dającej ogromne wpływy. Nawijając do starej tradycji, która głosiła, że arcykapłan winien pochodzić z rodu Sadokidów, sprawili, że nowego zwierzchnika religijnego wyznaczono drogą losowania spośród potomków owego rodu. Los wskazał niejakiego Pinehasa; był to człowiek ubogi, kamieniarz z zawodu, bez wykształcenia. Inny odłam Sadokidów, wywodzący się od Oniasa, władał wówczas świątynią w egipskim Leontopolis. Tak więc u kresu istnienia obu świątyń żydowskich na czele ich stali potomko-

wie Sadoka, który piastował ten najwyższy urząd przed wiekami, w czasach króla Salomona i Dawida. Pinehas miał być ostatnim w dziejach arcykapłanem jerozolimskiego przybytku.

Okazało się wszakże rychło, że arystokracja stołeczna nie jest bezsilna. Jeden z byłych arcykapłanów, Ananos, podburzył lud do zbrojnego wystąpienia przeciw panoszeniu się Żarliwych. Na ulicach i placach doszło do walk wręcz, po obu stronach padło wielu zabitych. Choć Żarliwi stawali dzielnie, wyparto ich na wewnętrzny dziedziniec świątyni; tam otoczyły ich silne stráže, rozstawione na zewnętrznym dziedzińcu kolumnowym. Ananos nie pozwolił ścigać i atakować obłązonych, trzeba by bowiem wylamywać wspaniałą bramę, objaną brązem — zwano ją bramą Nikanora — a święte miejsce skalałaby krew ludzka.

Rzecz ciekawa: w czasie owych walk Jan trzymał się jakby na uboczu, a nawet zdołał wejść do otoczenia Ananosa, ciesząc się tam niejakim zaufaniem i służąc za pośrednika pomiędzy zwaśnionymi stronami; w rzeczywistości jednak pracował tylko dla Żarliwych. Z jego to porady zwrócili się oni o pomoc do mieszkańców Idumei, krainy graniczącej od południa z Judea właściwą. Idumejczycy uchodzili za gorąco przywiązanych do wiary ojców, a jednocześnie mieli złą sławę awanturników, skłonnych nawet do rozboju. Powiadomiono ich, że Ananos i jego stronnicy zdradzają wspólną sprawę i planują wydanie świętego miasta Rzymianom. W dzień lub dwa później Idumejczycy byli już pod murami Jerozolimy. Nie wpuszczono ich jednak, podejrzewając słusznie, że są w zмовie z Żarliwymi. To jeszcze umocniło zastępy zbrojnego chłopstwa w przekonaniu, że wielcy panowie

rzeczywiście knują zdradę, której trzeba się przeciwstawić wszelkim sposobem. Nie dali więc posłuchu nawet słowom byłego arcykapłana Jezusa, który przemawiał do nich stojąc na wieży. Czekali cierpliwie, obozując na polach podmiejskich, póki noc nie zapadła. Wraz z ciemnością przyszła gwałtowna burza; grzniały pioruny i spływały prawdziwe potoki deszczu. Korzystając z huk, czarnego mroku i ulewy Żarliwi, oblężeni w świątyni, przepiłowali zasuwy bram, przebiegli chyłkiem przez opustoszałe ulice i tak samo uporali się z ciężkimi ryglami bram miejskich. Nikt ich nie dostrzegł, nikt nie usłyszał zgrzytu pił i tupotu nóg! Straże spały lub pochowały się w miejsca zaciszne. Wyszedszy na zewnątrz, Żarliwi wprowadzili Idume język ów i przeszli wraz z nimi przez miasto tak samo nie zauważeni. Dopiero znalazłszy się z powrotem w okręgu świątynnym runęli na załogi porozstawiane — a raczej odpoczywające — w portykach kolumnowych wokół pierwszego dziedzińca. Wymordowali łatwo ludzi zaskoczonych, broniących się nieudolnie i bezładnie, przerażonych do tego stopnia, że wielu uciekając przed żelazem wrogów skakało na oślep z wysokich murów i z dachu portyków wprost w przepaść, ponosząc śmierć na miejscu. Potem zdobywcy wzięli się do rzezi i rabunków w samym mieście. Ofiarą padali oczywiście ludzie zamożni. Jako pierwsi zginęli arcykapłani Ananos i Jezus. Zabójcy nie pozwolili nawet pogrzebać ich ciał zmasakrowanych, odartych z odzienia, lecz rzucili je psom i ptactwu na żer. Potem dało głowy wielu innych mężczyzn. Egzekucji dokonywano zwykle w lochach więziennych, i te po straszliwych torturach. Tylko wyjątkowo odprawiano niekiedy komedię sądu. Idumejczycy wszakże rychło zmiarkowali, że zosta-

li podstępnie wciągnięci w ponure rozgrywki dwóch ugrupowań, dyszących nienawiścią ku sobie. Zrozumieli, że ani wina pomordowanych nie była tak oczywista, ani też Żarliwi nie są zupełnie bezinteresowni. Skończyło się na tym, że uwolnili wielu więźniów i opuścili miasto. Żarliwi patrzyli na ten wymarsz rzecz jasna z zadowoleniem: odtąd tylko oni mieli władać Jerozolimą. Rozpoczął się okres systematycznego prześladowania osób znaczniejszych. Rządy faktycznie sprawował Jan z Gischali.

Wydarzenia te rozgrywały się z początkiem roku 68, zimą. Wiosną i latem tegoż roku Wespazjan zajął niektóre okręgi powstańcze w Palestynie. Zamierzał podejść ku samej Jerozolimie. Kiedy jednak poznał dzięki zbiegom sytuację w stolicy Judei, zwolnił tempo działań wojennych. W czasie narad powtarzał swym oficerom, zdziwionym tą opieszałością:

— Tamci sami się wyrzną, a przynajmniej¹ wykrwawią i osłabiają. Właśnie dlatego nie wolno atakować przedwcześnie. Mogłoby przecież stać się i tak, że zaniechają waśni domowych w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa. Zachowajmy więc cierpliwość. Czas pracuje dla nas!

Tymczasem w pierwszych dniach lipca tegoż roku przyszła niespodziewana wiadomość o obaleniu Nerona i o jego samobójstwie. W tej sytuacji Wespazjan uznał za wskazane wstrzymać wszystkie operacje i czekać na rozkazy nowego cesarza, to jest Galby; on i wojsko złożyli natychmiast przysięgę wierności. Wódz powrócił do Cezarei nadmorskiej, lecz pozostawił, jak się rzekło, legion V w Emaus, legion zaś X w Jerycho. Potem nastąpiła jesień, zima zaś roku 69 dowiedziano się, że Galba został zamordowany przez pretorianów, a nowym cesarzem od 15 stycznia jest

Othon. Znowu więc powtarzano słowa tej samej przysięgi, zmieniając tylko imię władcy. Zaczęto też przygotowywać wyprawę na Jerozolimę. Wydawało się, że czas już dojrzał do uderzenia ostatecznego. Dom Judei był, mówiąc językiem biblijnym, rozdzielony jeszcze głębiej niż przedtem. Pojawił się mianowicie w stolicy groźny rywal Jana z Gischali; znacznie groźniejszy od tego, jakim był arcykapłan Ananos przed kilku miesiącami.

SZYMON, SYN GIORY, W MASADZIE I HEBRONIE

A właśnie wiadomość o śmierci Ananosa sprawiła, że ów rywal — był nim Szymon, syn Giory — wyszedł z ukrycia i chwycił za broń, choć nie należał ani do przyjaciół, ani nawet do stronników zamordowanego arcykapłana. Przeciwnie! To Ananos wygnał go z ojczystego miasteczka Akrabeta w Judei północnej, zarzucając mu, że jako przywódca tamtejszych powstańców poczyna sobie zbyt samowolnie. Szymon przeniósł się wówczas wraz ze swymi ludźmi i ich rodzinami do Masady; tej samej Masady, która miała paść w pięć lat później, wiosną roku 73, gdy jej obrońcy legli z własnej ręki. Został potężną twierdzą nad Morzem Martwym już opanowaną przez oddział s-ykariuszy, czyli sztyletników; był to, jak się już powiedziało, chyba najbardziej ekstremistyczny odłam Żarliwych, rozprawiający się ze swymi przeciwnikami politycznymi przy pomocy sztyletu. Pozwolili Szymonowi zająć tylko dolną część, dla siebie zatrzymując fortyfikację górną, zupełnie niedostępną. Przybysz

z Akrabety wnet znalazł pełne uznanie w ich oczach, wyróżniał się bowiem niesłychaną odwagą, pomysłowością, sprytem; wydawał się wręcz stworzony na przywódcę w wojnie podjazdowej, jaką wówczas prowadzono. Sykariusze nie ukrywali, że chętnie przyjęliby go za swego, lecz on odmówił stanowczo. Ba, zarzucił wprost swym gospodarzom, że wyzbyci są prawdziwego ducha bojowego i przedsiębiorczości, trzymają się 'bowiem kurczowo Masady i nie podejmują żadnych dalszych wypraw przeciw okupantowi; lecz on nie zamierza gnuśnieć beczynnie za murami choćby najpotężniejszej twierdzy i przyglądać się obojętnie, jak Rzymianie posuwają się coraz głębiej ku sercu Judei!

Czego też dowiedział, gdy tylko usłyszał, że Ananos zginął. Arcykapłana szanował, dlaczego jednak miałby ustępować Janowi z Gischali, obecnemu panu Jerozolimy? Skoro samozwańcy z Galilei uzurpują sobie rolę przywódców powstania, czemu on miałby pokornie pozostawać z dala od wielkich wydarzeń, zamknięty w górskiej fortecy wśród pustkowi? Czas zamętu sprzyja każdemu, kto śmiały i zdecydowany! Tak więc Szymon opuścił Masadę, poszedł w góry, tam skupił wokół siebie zbiegłych niewolników i wszelką biedotę. Na czele tej zbieraniny zstąpił w uprawne doliny, a potem krążył coraz szerzej i dalej po ziemiach zamieszkałych i bogatych. Łupił bezlitośnie wsie i osady, wszystko oczywiście dla zbożnego celu walki z Rzymianami. Pojawiał się niespodziewanie i na pomocy, w okolicach swej rodzinnej Akrabety, i na południu, w samym sercu Idumei. Skarby i zapasy przechowywał w niedostępnych jaskiniach. Przybywało też ochotników. Byli to młodzi ludzie z różnych okolic i warstw społecznych, znącę-

ni rozgłosem jego sukcesów i przygód, o których opowiadano szeroko po całej Palestynie, oczywiście nie szczędząc barwnych przydatków. Bo też Szymon zdawał się wcieleniem ideału bohatera tak popularnego wśród ludów wszystkich epok: prowadził straceńcze śmiałe akcje, a pozostawał wciąż nieuchwytny i wychodził z każdej opresji bez szwanku; był straszny dla wrogów, surowy dla bogaczy, przyjazny ubogim. Żarliwi wnet zrozumieli, jak niebezpieczny to rywal, toteż wyprawili się znacznym oddziałem, aby rozgromić „bandytę”; tak go nazywali, choć z kolei sami byli piętnowani tymże pogardliwym mianem nie tylko przez Rzymian, lecz także przez Żydów nastawionych zachowawczo lub nawet umiarkowanie — jak na przykład Józef Flawiusz. Biorący udział w wyprawie byli pewni swej przewagi, choć dotychczas mieli do czynienia tylko z trwożliwymi i bezradnymi mieszczuchami w Jerozolimie, których przerażał sam szczepek broni. Wdali się nieopatrznie w walkę w warunkach dla siebie niekorzystnych, doznali ciężkiej porażki i straciwszy sporo ludzi umknęli do Jerozolimy. Lecz Szymon jeszcze się nie zbliżał do jej murów, dobrze rozumiejąc, że siły ma zbyt szczupłe. Postanowił najpierw opanować Idumęę. W pierwszych potyczkach mieszkańcy tej krainy pod wodzą swej starszyny skutecznie odpierali najazdy watah, lecz w dniu decydującego starcia w szeregach obrońców doszło niespodziewanie do rozłamu: część Idumejczyków stanęła od razu po stronie Szymona, reszta zaś uciekła w popłochu, każdy do swej wsi i zagrody. Wkrótce potem zwycięzca opanował miasto Hebron; stamtąd dokonywał łupieżczych wypadów na osiedla wokół.

SZYMON, SYN GIORY, POD JEROZOLIMĄ

Nauczeni doświadczeniem Żarliwi lękali się ponownej bitwy w otwartym polu, przygotowali więc zasadzkę; zdołali jednak pojmać tylko żonę Szymona i jej służbę. Z tą zdobyczą powrócili triumfalnie, przekonani, że „bandyta” natychmiast rozpocznie układy; widocznie było wiadomo, jakim uczuciem darzy on tę kobietę. Stało się inaczej. Szymon wprawdzie podszedł ku miastu, lecz wcale nie po to, by pertraktować.

Józef Flawiusz powiada obrazowo, że wydawał się podobny ranionej bestii drapieżnej. Nie mógł dosięgnąć tego, kto go ugodził, rzucał się więc z wściekłością na każdego napotkanego. Kto tylko wychylał się poza bramy — po warzywa lub drewno na opał, człowiek bezbronny lub nawet starzec bezsilny — natychmiast wpadał w ręce jego ludzi i cierpiał naj-sroższe tortury; Szymon czynił wrażenie kogoś, kto w swym opętaniu i furii chętnie by żarł ciała ofiar. Niektórzy spośród schwytanych wprawdzie wracali do miasta, lecz z obciętymi rękami; mieli zastraszyć lud i sprawić, by odstąpił od Żarliwych lub nawet przeciw nim powstał. Krwawiący posłańcy musieli też powtarzać pogróżki swego kata:

— Szymon złożył przysięgę na Boga żywego, że jeśli nie zwróci się mu żony natychmiast, wędze się na mury i wyrznie wszystkich mieszkańców, nie zważając na wiek i nie badając, kto winien, a kto nie!

Wreszcie osiągnął swoje: wydano mu kobietę. Odstąpił wówczas od miasta i przeniósł się znowu do Idumei, łupiąc ten kraj gruntownie. Wielu Idumejczyków uciekło w przerażeniu do Jerozolimy. Szymon

zaś idąc jak gdyby w pościgu za nimi wkrótce znalazł się po raz wtóry pod murami stolicy. Powrócił też do wypróbowanej metody terroru: wychwytywał, torturował i nawet zabijał tych, co nierozważnie z miasta wychodzili, choćby to byli tylko pracujący w polu. Nie uprawiał jednak owego procederu jedynie z okrucieństwa; Szymon srożył się, chciał bowiem tym sposobem otworzyć sobie bramy Jerozolimy! Przewidywał mianowicie, że ludność, znękana do cna oblężeniem i zastraszona, wreszcie uzna go za swego władcę i wezwie, obalając panowanie Jana, który okazał jawnie, że nie potrafi nikomu zapewnić opieki i bezpieczeństwa. Choć myśl wydawała się szaleńcza, była jednak wcale realna. Tym bardziej że Żarliwi dopuszczali się w mieście przeróżnych występków, a więc pośrednio sami działali na korzyść Szymona. W księdze IV „Wojny żydowskiej” Józef Flawiusz charakteryzuje ostro i wyraziście ówczesne stosunki w Jerozolimie. Z pewnością przesadza, nienawidził bo-biem Jana z całego serca; nie był zresztą naocznym świadkiem wydarzeń, jako że już od lata roku 67 znajdował się w rzymskiej niewoli, pod strażą i w kajdanach, zapewne w Cezarei nadmorskiej. Lecz i tak słowa jego mają swoją wartość, obrazując — choćby nawet w karykaturalnym zniekształceniu I — niewiarogodne zaślepienie, przewrotność i obłęd tamtych dni niezwykłych:

„Żarliwi wewnątrz byli gorsi od wrogów na zewnątrz, od Rzymian i od Szymona. Spośród zaś samych Żarliwych przemyślnością w czynieniu zła wszelkiego i butą wyróżniał się zastęp Galilejczyków. Oni nadali Janowi obecne znaczenie, toteż on odpłacał im pozwalając czynić, co tylko który zapragnął. Ich żądza grabieży była nienasycona; dla zabawy rabowa-

li domy bogate, zabijali mężczyzn i gwałcili kobiety, a to, co zdobyli, wypijali razem z krwią. Jednocześnie zaś, uważając się za nie zagrożonych znikąd, niewieścili skutkiem przesytu: fryzowali włosy, przywdziewali suknie kobiece, oblewali się pachnidłami, a nawet podmałowywali sobie oczy — niby to dla podkreślenia urody! Naśladowali wszakże nie tylko strój, lecz i zachowanie się kobiet. W swej wyuzdanej rozwiązłości wymyślali zakazane rodzaje miłosnych rozkoszy. Chodzili po mieście jak po burdelu, kalając je ohydą swej nieobyczajności. Niewieście mając twarze, prawicą mordowali; stąpając po ulicach drobnym kroczeniem nagle, gdy byli już blisko upatrzonej ofiary, stawali się wojownikami i wyciągając miecze spod chła-mid barwionych przebijali zaskoczonego przechodnia. A mieszkańców Jerozolimy, którzy uciekali spod tyranii Jana, jeszcze krwawiej przyjmował Szymon; kto uszedł przed mordercą wewnątrz murów, ginął z rąk stojącego przed bramami. Odcięto wszelką drogę ucieczki tym, którzy pragnęli zbiec do Rzymian”.¹⁶

Tyle Józef, przedstawiciel warstw zamożnych i arystokratycznych, niegdyś przywódca powstania w Galilei, lecz wówczas już zdecydowanie wierzący i głoszący, że wojna przeciw Rzymianom jest szaleństwem. Ale nie tylko on i ludzie jego pokroju ze zgrozą patrzyli na wydarzenia w stolicy. Mała gmina chrześcijańska, złożona przeważnie z ubogich prostaczków, z pewnością już nieco wcześniej opuściła Jerozolimę i przeniosła się za Jordan do na pół greckiego miasta Pełła. Gdy dochodziły tam wieści o bratobójczych walkach i o grzesznym wyuzdaniu, słuchano ich ze szczerym bólem, lecz i z cichą satysfakcją: miasto, które nie chciało uznać prawdziwego Mesjasza i przyczyniło się do śmierci najpierw samego Jezusa, a przed

kilku laty jego brata Jakuba, grzęźnie w coraz straszliwszych występkach i samowolnie skazuje się na zagładę! Owa garstka judeochrześcijan myślała więc i mówiła o tym na pewno podobnymi słowami, jakimi współcześnie lub tylko nieco później posłużyć się miał autor Apokalipsy, by odmalować grozę, zło i ohydę Rzymu, niewiasty siedzącej na bestii, a przyobleczonej w purpurę i szkarłat, błyszczącej złotem, drogimi kamieniami i perłami, trzymającej w ręku kubek złoty, pełen obrzydliwości i wszeteczeństwa.

JEROZOLIMA, KWIECIEŃ 69

.L/ecz i tak był to dopiero początek nieszczęść miasta. Nieprzejednana nienawiść rodziła nową, jeszcze zacieklejszą nienawiść. Doprawdy, świadkom owych wydarzeń mogło się wydawać, że to duch zamordowanego arcykapłana Ananosa domaga się pomsty!

Idumejczycy, których obecnie wielu przebywało w mieście, żywili ze względów szczepowych niechęć do Galilejczyków, zachowujących się tak dumnie i tak pewnych siebie, jak gdyby byli prawymi tutaj gospodarzami. Wszystkim zaś Żarliwym Idumejczycy nie mogli darować, że przed kilkunastu miesiącami tak perfidnie posłużyli się nimi, by zgładzić Ananosa. Podsycali te nastroje i wzajemną wrogość stali mieszkańcy Jerozolimy, zwłaszcza ludzie bogatsi, a także wszyscy mający już dość ponurej wojny i krwawego obłędu ekstremistów; wielu, bardzo wielu skrycie myślało o tym, by wreszcie dojść do porozumienia z Rzymianami.

Jakiś przypadkowy, błahy powód sprawił, że do-

szło do walk ulicznych między różnymi ugrupowaniami. Część Żarliwych wyparto do pałacu księżniczki imieniem Grapte. Należała ona do królewskiej rodziny władającej krainą Adiabene nad górnym Tygrysem. Członkowie tego rodu przed mniej więcej czterdziestu laty przyjęli Zakon i odtąd hojnie wspomagali lud Jerozolimy oraz świątynię, o czym będzie jeszcze mowa. Otóż pałac Grapte stanowił główną kwaterę Jana. Tam gromadził on swe skarby, zdobyte rabunkiem. Idumejczycy zdobywszy budynek rzucili się do grabieży, a tymczasem Jan zdołał umknąć i z wiernym sobie zastępem zająć czworobok świątynnych murów, dziedzińców, portyków. Chcieli się tam bronić — podobnie jak wtedy, gdy oblegał ich Ananos; z tym że wówczas zajmowali tylko dziedziniec wewnętrzny, obecnie zaś również zewnętrzny, kolumnowy, byli więc w lepszej sytuacji. Oblegający wszakże, nauczeni smutnym doświadczeniem tamtych wydarzeń, wcale nie zamierzali zostawić Jana i jego ludzi w spokoju. Zdawali sobie sprawę, że w długotrwałych zmaganiach nie sprostają Żarliwym, a wciąż będą narażeni na wypadki z ich strony, niosące śmierć i ogień. Ostatecznie więc postanowili, choć z ciężkim sercem, przyzwać pomoc. Idumejczycy, mieszcianie i arcykapłani zgodnie uznali, że chcąc nie chcąc muszą zaprosić do miasta — Szymona, syna Giory! Co też uczynili za pośrednictwem byłego arcykapłana Ma-tiasza.

W kwietniu roku 69 Szymon wkroczył do Jerozolimy.

RZYM, KWIECIEŃ 69

W dniu 19 kwietnia obchodzono w Rzymie uroczyste zamknięcie miłych świąt ku czci bogini urodzaju Ce-rery. Trwały one już od 12 kwietnia, lecz dopiero w dniu ostatnim zwyczajowo urządzano widowisko najwspanialsze i najpopularniejsze — wyścigi rydwanów. Nieprzejrane tłumy zebrały się w ogromnej budowli wokół stadionu, zwanej Circus Maximus, domy i ulice wymarły. Nagle wśród ciżby zalegającej stromo wznoszące się stopnie widowni gruchnęła wieść — przynieśli ją dostojnikom, zasiadającym w łóżach, zdyszani posłańcy, przybiegający jeden za drugim z Palatynu i z koszar pretorianów — że według zupełnie pewnych meldunków, jakie dopiero co nadeszły z nad Padu, Othon został pokonany trzy dni temu i zginął! Donoszono też, że prefekt miasta Flawiusz Sabi-nus, brat Wespazjana, już zaprzysiął pozostałych w stolicy żołnierzy garnizonu na imię zwycięzcy i nowego cesarza; jest nim Aulus Witeliusz, wyniesiony przez legiony nadreńskie. Tłum zafalował, rozległ się głuchy pomruk rozmów, potem rosła wrzawa podniecenia, a wreszcie, jak gdyby na znak umówiony, wybuchły długo nie milknące oklaski, przechodzące (chciałoby się rzec stylem oficjalnych komunikatów) w burzliwą owację. Tysiące i dziesiątki tysięcy ust zaczęły powtarzać, skandując słowa, jak to było zwyczajem, miarowo i coraz donośniej:

— Imperator Ytelius! Imperator Ytelius!

Tak witało nowego pana to samo pospólstwo, które przed zaledwie miesiącem jakże serdecznie żegnało Othona, opuszczającego stolicę! Życzono mu wtedy,

by odniósł rychłe i całkowite zwycięstwo nad swym podłym przeciwnikiem, wrogiem ludu rzymskiego i państwa.

Igrzysk nie przerwano. Nie odważyłby się na wydanie takiego polecenia żaden urzędnik, wiedząc, że mogłoby to doprowadzić do krwawych rozruchów; lud kochał prawdziwie tylko swe bożyszcza — woźniców, a emocjonował się rzeczywiście nie walkami o władzę, lecz rywalizacją stronnictw cyrkowych. Lecz jeszcze tego samego dnia zaczęto tu i ówdzie obnosić wokół świątyń podobizny Galby, umajone laurem i kwieciem. Miało to oznaczać, że mord popełniony przez Othona na poprzedniku został już z woli bogów sprawiedliwie pomszczony. Zapomniano jednak, że legiony nad Renem obwołały Witeliusza cesarzem jeszcze za życia Galby i że właśnie ten ich bunt spowodował, a na pewno przyspieszył, lawinę tragicznych wydarzeń w pierwszych dniach stycznia. Ułożono też cały wzgórek z wieńców i bukietów kwiecia przy sadzawce Kurcjusza na Forum, a więc dokładnie w tym miejscu, gdzie w dniu 15 stycznia Gal-ba padł martwy. Przypomnijmy tę scenę:

Tłumy towarzyszące cesarskiej lektyce od Palatynu rozpierchły się natychmiast, gdy tylko posłyszano daleki tętent koni cwałujących od strony koszar pretorianów. Tragarze zaś lektyki rzucili ją w takim po-płochu, że stary i fizycznie zniedołężniały Galba wypadł na bruk, tuż obok sadzawki Kurcjusza. Nim jeszcze się podźwignął, jakiś żołnierz wbił mu miecz w gardło, pierś bowiem cesarza osłaniał wspaniały pancerz. Potem pastwiono się nad ciałem bestialsko, zadając rany gdzie popadło. Wreszcie któryś z szeregowców odciął trupowi głowę.

Jeszcze tego samego dnia, 19 kwietnia, zebrał się

senat i przyznał Witeliuszowi wszystkie te godności, tytuły i przywileje, które posiadali jego poprzednicy. Uchwalono również wyrazy najwyższego uznania i dziękczynienia dla zwycięskiej armii oraz wysłano oficjalną delegację z gratulacjami.

Tymczasem zaś do stolicy zaczęły stopniowo napływać coraz dokładniejsze wiadomości o wydarzeniach wojennych i ostatnich chwilach Othona.

OSTATNIE DNI OTHONA

Cesarz popełnił samobójstwo rankiem dnia 16 kwietnia w miasteczku Brixellum, dzisiejszym Brescello; leży ono nad środkowym Padem, na południowym brzegu rzeki. Dwa dni wcześniej wojska Othonowe doznały ciężkiej porażki pod Bedriakum; ta mała miejscowość znajdowała się po drugiej stronie rzeki, na północ od niej, niedaleko Kremony, przy drodze do Mantui. Jednakże w poprzednich walkach na rozległych równinach tamtejszych kohorty jego zadały przeciwnikowi duże straty. Stawały bardzo dzielnie zwłaszcza w bitwach pod Placencją i pod samą Kremoną, choć z pomocą przysłała im tylko część armii Dunaju; jej główny trzon dopiero maszerował ku teatrowi działąm.

Po klęsce pod Bedriakum nie wszystko było stracone. Oddziały Othona wykrawały się straszliwie, to prawda, lecz nie zostały rozbite, nie utraciły ducha bojowego, chciały za wszelką cenę walczyć dalej! Wciąż też meldowano, że wielki korpus wojsk nad-dunajskich nadciąga szybko i że kohorty wysadzone w Alpach nadmorskich, na tyłach wroga, mają sukcesy. Mimo to cesarz targnął się na swe życie! Jak

czy ten osądzić, czym wytłumaczyć? Wśród nowszych badaczy przeważa pogląd, że cesarz postąpił tchórzliwie; załamał się nerwowo, nie wytrzymał próby czasu, zdradził sprawę swoją i swoich żołnierzy! Kto jednak uważnie przestudiuje relacje starożytne, musi dojść do wniosku, że zarówno motywy czynu, jak i postawa Othona były prawdziwie męskie, by nie rzec — bohaterskie.

Właśnie w owych dramatycznych dniach znalazł się w Brixellum ojciec Swetoniusza, tak chętnie dziś jeszcze czytawanego biografę pierwszych dwunastu cesarzy. Sam Swetoniusz wyraźnie to poświadcza w żywocie Othona. Píše bowiem: „Uczestnikiem owej wojny był ojciec mój, Swetoniusz Letus, trybun o wąskim rąbku w legionie trzynastym”. Dla wyjaśnienia: legion XIII z przydomkiem Gemina, czyli Bliźniaczy, należał do armii Dunaju i miał swój stały obóz pod Poetovio; jest to dzisiejszy Ptuj w jugosłowiańskiej Słowenii. Stamtąd to legion pospieszył z pomocą Otho-nowi. Wąski rąbek czerwony stanowił oznakę oficera pochodzącego ze stanu ekwitów i służącego zawodowo; natomiast rąbek szeroki przysługiwał jedynie osobom ze stanu senatorskiego.

Swetoniusz mówi dalej:

„Ojciec mój zwykł często opowiadać, że Othon jeszcze jako człowiek prywatny nienawidził wojen. I to tak bardzo, że pewnego razu wyraźnie zdrętwiał ze zgrozy, gdy podczas przyjęcia ktoś wspomniał o zgonie Kasjusza i Brutusa. Nie wystąpiłby też przeciw Galbie — tak twierdził ojciec — gdyby nie mocne przekonanie, iż rzecz da się doprowadzić do końca bez wojny. Wtedy zaś, po bitwie pod Bedriakum, przykład pewnego szeregowca pobudził go do tego, by wzgardzić życiem. Żołnierz ów przyniósł wieść

o klęsce, lecz nie znalazł wiary u nikogo. Jedni zarzucali mu kłamstwo, inni zaś tchórzostwo, że niby uciekł z pola bitwy. Wówczas żołnierz ów przebił się mieczem u samych stóp cesarza. Ten zaś krzyknął:

— Nie, nie będę narażał na niebezpieczeństwo ludzi tak wspaniałych i zdecydowanych na wszystko!"¹⁷

Tak brzmi relacja biografy cesarzy, oparta na opowieści świadka naocznego. Natomiast Plutarch, który również napisał żywot Othona, przedstawia ów epizod nieco inaczej. Oto, z pewnymi skrótami, jego słowa:

Najpierw przychodziły z pola bitwy pod Bedriakum meldunki niepewne. Potem jednak nadciągnęła garść rannych; niemylni to byli zwiastunowie klęski. Mimo to przyjaciele Othona w żaden sposób nie chcieli dopuścić, by upadł on na duchu. Zgodnie i stanowczo wzywali go, by zachował spokój, stanowczość, odwagę. Postawa zaś mas żołnierskich była wręcz niewia-rogodnie wspaniała. Nikt z nich nie myślał o porzuceniu szeregów lub ucieczce, nikt nie przeszedł na stronę zwycięzcy, nikt nie troszczył się tylko o siebie. Wszyscy tłumnie stanęli przy bramie Othonowej kwatery. Gdy cesarz wreszcie wyszedł do nich, z krzykiem i błaganiem chwyтали jego ręce, do nóg mu przypadali. Płacząc prosili, by ich nie opuszczał, by nie zostawiał swoich na łaskę i niełaskę wroga! Składali mu w ofierze swe ciała i dusze. Przysięgali, że gotowi są walczyć w jego obronie prawdziwie do tchu ostatniego. Wówczas to właśnie jeden z nich wyciągnął miecz z pochwy i krzyząc:

— Dla ciebie, cesarzu, wszyscy uczynią to samo! — wbił sobie ostrze w samo serce.

Lecz nawet ta ofiara z życia była daremna. W tej chwili nic nie mogło przekonać Othona i odwieść go od postanowienia, które już powziął. Z twarzą spo-

kojną, a nawet pogodną powiódł wzrokiem wokół i rzekł:

— Sądzę, że ten oto dzień jest znacznie szczęśliwszy od tamtego, w którym uczyniliście mnie cesarzem. Teraz dopiero mogę prawdziwie ocenić waszą wielkość i to, na jak niezwykle ważycie się czyny. Lecz nie pozbawiajcie mnie czegoś jeszcze wspanialszego — możliwości oddania życia za tyłu i takich Rzymian! Jeśli stałem się godny tego, by władać Imperium, wypada też, bym nie szczędził swej duszy dla ojczyzny. Rozumiem to doskonale, że zwycięstwo tamtych nie jest ani druzgocące, ani trwałe. Wojska nad-dunajskie dzieli od nas zaledwie kilka dni marszu i już schodzą one ku Morzu Adriatyckiemu. Azja, Syria, Egipt, armia walcząca w Judei są po naszej stronie. Z nami też senat, a dzieci i kobiety nieprzyjaciół mamy w naszych rękach jako zakładników. Lecz wojna ta nie toczy się przeciw Hannibalowi, Pyr-rusowi lub Cymbrom w obronie Italii! My, Rzymianie, godzimy w Rzymian. W ten sposób jedni i drudzy ranimy wspólną ojczyznę. I nie ma to znaczenia, czy zwyciężamy, czy też ponosimy klęski. Co dobre dla zwycięzcy, jest nieszczęściem dla ojczyzny. Dlatego też uznałem, że piękniej mi umrzeć niż panować. Nie sądę, bym mógł okazać się tak pożyteczny dla Rzymian zwyciężając, jak będę nim złożywszy sam siebie w ofierze za pokój i zgodę. I za to także, by Italia już nie musiała oglądać drugiego dnia tak ponurego!¹⁸

Tacyt przedstawia scenę podobnie, lecz nie wspomina ni słowem o samobójstwie żołnierza. A przecież sam fakt jest zupełnie pewny! Potwierdza go świadek naoczny, to jest ojciec Swetoniusza, a także dobrze poinformowany Plutarch. Mówi o nim również historyk późniejszy, mający jednak do dyspozycji wiele

cennych materiałów, a mianowicie Kasjusz Dion. Pomięcie więc tego incydentu przez Tacyta trzeba uznać za celowe i znamienne; ma ono swoje znaczenie, charakteryzuje bowiem pośrednio technikę kompozycyjną wielkiego pisarza. Widocznie uznał on, iż rzecz wypadłaby zbyt teatralnie i niewiarogodnie. Natomiast mowa Othona jest w Tacytowym ujęciu zbliżona pod względem treści do tego, co podaje Plutarch, stylistycznie jednak przekształcona i bardziej retoryczna. Pierwsze słowa cesarza:

— Zbyt wysoka byłaby cena mego życia, gdybym dalej narażał na niebezpieczeństwa tego ducha waszego i waszą odwagę!

są z całą oczywistością tylko parafrazą owego prostego zdania, które na własne uszy słyszał ojciec Swetoniusza. Następnie Tacyt każe wypowiadać Otho-nowi myśli bardzo męskie i rzymskie, sformułowane jednak w sposób nader kunsztowny, przy pozorach prostoty:

— Czym więcej ukazujecie mi nadziei, gdybym uznał za stosowne pozostać przy życiu, tym piękniejszą śmierć się jawi. Wzajem się próbowaliśmy, ja i los. Czasu nie obliczajcie: trudniej jest zachować miarę tego szczęścia, z którego niezbyt długo przyjdzie ci korzystać. Wojnie domowej początek dał Wi-teliusz i stamtąd wyszło zarzewie zbrojnej walki o władzę; w mojej natomiast mocy dać przykład, byśmy więcej niż raz nie walczyli. Potomność będzie oceniać Othona właśnie to mając na uwadze. Niech raduje się Witeliusz swym bratem, żoną, dziećmi! Mnie nie potrzebna już ani pomsta, ani pociecha. Inni może dłużej władzę dzierżyli, lecz tak odważnie jak ja nikt jej nie rzuci. Czy mam patrzeć obojętnie, że tylu młodych Rzymian, tyle wojsk świętych legnie

pokotem, wydartych państwu? Odejdę ze świadomością, że gotowi bylibyście zginąć za mnie — lecz wy żyć będziecie. Ale nie powstrzymujmy już dłużej, ja waszego ocalenia, wy zaś mojej decyzji. Małoduszności to świadectwo, rozprawiać wiele o sprawach ostatecznych. A to, że nie żalę się na nikogo, niechże będzie dla was szczególnym dowodem, jak mocne jest moje postanowienie. Tylko ten, kto chciałby jeszcze żyć, oskarża bogów lub ludzi!¹⁹

O tym, co działo się następnie, wszyscy wymienieni historycy informują zgodnie, a relacje ich uzupełniają się wzajem różnymi szczegółami.

SAMOBÓJSTWO OTHONA

Oesarz zachowywał nadal spokój całkowity. Pożegnał się ze wszystkimi osobami ze swego otoczenia, zaszczycając je uściskiem lub pocałunkiem, odpowiednio do urzędu i wieku; karmił surowo tych, co mieli łzy w oczach. Zachęcał dostojników usilnie, by jak najspieszniej opuścili jego otoczenie i Brixellum, pozostając bowiem tu dłużej mogliby ściągnąć na siebie gniew zwycięzcy. Pomyślał nawet o przydzieleniu odjeżdżającym wozów i statków oraz o przygotowaniu zezwoleń i listów polecających do miast, przez które miała wieść droga. Pamiętał wydając te zarządzenia także o nieobecnych, wielu bowiem senatorów zatrzymało się na tyłach armii, w odległej o mil kilkadziesiąt Mutinie.

Potem Othon zamknął się w swoich pokojach. Spalił wszystkie pisma i listy, których autorzy albo nazbyt gorliwie oświadczyli się po jego stronie, albo też

zbyt ostro piętnowali Witeliusza. Sam napisał dwa listy: jeden do siostry z wyrazami pocieszenia, drugi zaś do Statilii Messaliny, wdowy po Neronie, którą, jak była już mowa, zamierzał poślubić; prosił, by dbała o jego prochy i pamięć. Następnie rozdał wśród domowników gotówkę, jaką miał przy sobie, każdemu według zasług, sprawiedliwie, a wcale nie tak rozrzutnie, jak zwykli to czynić ci, co żegnają się z życiem, a więc nie przywiązują już wagi do pieniędzy, pragną zaś pozostawić jak najlepsze wspomnienie po sobie. Z kolei zajął się swym bratankiem, kilkunastoletnim Salwiuszem Kokcejaniem. Chłopiec był przerażony, więc go pocieszał, chwając przywiązanie, a ganiać strach. Mówił:

— Witeliusz z pewnością nie będzie tak nieludzki, by się nie odwdziżyć przynajmniej za to, że całą jego rodzinę pozostawiłem przy życiu. Przyspieszając swoje odejście z tego świata zasłużyłem chyba na wyrozumiałość zwycięzcy. Wycofuję się przecież nie w sytuacji rozpaczliwej, lecz dobrowolnie, skoro mam wojska wręcz domagające się bitwy! Dość dla siebie sławy zdobyłem, dość dla moich potomków znaczenia. Po Juliuszach i Klaudiuszach ja pierwszy dałem władzę cesarską nowej rodzinie. Idź więc śmiało w życie i nie zapominaj nigdy, że twoim stryjem był Othon. Lecz i nie przywiązuj się zbyt do tego wspomnienia, bo to mogłoby stać się niebezpieczne!

Prorocze były te słowa, zwłaszcza ostatnie. Witeliusz rzeczywiście darował chłopcu życie. Jednakże w 20 lat później inny cesarz, Domicjan, rozkazał Salwiuszowi Kokcejanowi umrzeć, albowiem ośmielił się on uroczyście obchodzić rocznicę urodzin swego stryja Othona; choć właśnie sam Othon ostrzegał, by takich tradycji nie pielęgnował!

Cesarz wreszcie został sam i odpoczywał. Być może już wtedy, po południu 15 kwietnia, rozstałby się z życiem, gdyby nagle nie doszedł do jego uszu hałas, krzyk, szcęk broni. Zameldowano, że to żołnierze w miasteczku atakują wyjeżdżających senatorów i dostojników, siłą ich przytrzymując, obsypując wyzwiskami i pogrózkami jako zdrajców, sprzedawczyków, zbiegów; istnieje nawet niebezpieczeństwo samosądów. Othon westchnął i rzekł:

— Dodajmy więc życiu tę noc jeszcze!

Wyszedł z budynku, ostro skarcił prowodyrów zamieszek i powrócił dopiero wtedy, gdy się przekonał, że wszędzie panuje już ład i spokój. Drzwi swego pokoju rozkazał pozostawić otwarte i do późnego wieczora przyjmował każdego, kto tylko o to prosił. Potem wypił kubek zimnej wody, wziął dwa sztylety, wypróbował ich ostrza, jeden zatrzymał przy sobie. Drzwi zamknięto, cesarz położył się i wnet zasnął; służba czuwająca w sąsiednich pokojach słyszała jego oddech równy i spokojny. Zbudził się o świcie i zavezwał wyzwoleńca, któremu powierzył opiekę nad wyjeżdżającymi senatorami. Ten zameldował, że sprawy w porządku i każdy z nich otrzymał wszystko, czego sobie życzył. Co usłyszawszy Othon rzekł mu życzliwie, lecz tonem rozkazu:

— Wyjdź teraz i pokaż się żołnierzom, jeśli nie chcesz zginać za chwilę z ich ręki jako ten, który pomógł mi umrzeć!

Gdy tylko wyzwoleniec zamknął drzwi za sobą, cesarz wyjął sztylet, ustawił go ku górze mocno obejmując rękoma i całym ciężarem opadł na ostrze — tak, by weszło ono pod lewą brodawkę, w samo serce. Jęknął głośno i boleśnie, ale raz tylko. Służba trwożnie nasłuchująca u drzwi podniosła natychmiast przeraźliwy

krzyk i lament, a ten, podjęty przez strażę i kohorty, rozszedł się wnet po całej okolicy. Jako jeden z pierwszych wyłamał drzwi i wdarł się do pokoju prefekt pretorianów, Plautius Firmus. Cesarz żył jeszcze. Starał się ranę zasłonić, ale zarazem jakby ją wskazywał. Pogrzeb odbył się jeszcze tego samego dnia, to jest 16 kwietnia.²⁰

GRÓB I CHWAŁA OTHONA

W ostatnich swych rozmowach Othon prosił usilnie, by pochować go jak najrychlej. Obawiał się, że w razie odkładania ceremonii zwłoki dostaną się w ręce zwycięzców, którzy odetną głowę i będą nią poniewierać wśród wyzwisk i naigrawań; właśnie tak, jak przed trzema miesiącami poniewierano, za cichym przyzwoleniem samego Othona, głową Galby, a zaledwie przed miesiącem głową samozwańczego Nerona, zabitego na wyspie Cytнос.

Mary cesarskie nieśli na własnych barkach pretorianie. Byli w pełnym, paradnym uzbrojeniu. Złożywszy zwłoki na stosie, jedni jeszcze obejmowali je z płaczem, inni zaś usiłowali dotknąć przynajmniej ręki, zwisającej bezwładnie. Potem płomienie strzeliły w górę. Wtedy to i tuż przy stosie kilku żołnierzy popełniło samobójstwo, przebijając się na oczach wszystkich mieczami. Wypadki podobne powtórzyły się dni następnych w innych zgrupowaniach pretorianów. Był to rodzaj zbiorowej psychozy, trudny już do pojęcia dla współczesnych. Choć bowiem właśnie pretorianie wynieśli Othona na tron, panował on zbyt krótko, by dać się poznać i zjednać sobie ich serca. A z drugiej

strony nikt z pokonanych nie obawiał się, że zwycięzca okaże srogość nadmierną!

Plutarch powiada:

„Pochowali w ziemi prochy Othona i zbudowali grób, nie pyszniący się wszakże ani swym ogromem, ani też wymową epitafium. Będąc w Brixellum widziałem ów skromny monument oraz napis na nim. Brzmi on: «Cieniom Marka Othona.»”²¹

Ostatnie słowa oddają oczywiście łacińską, częstą formułę: „Dis Manibus Marci Othonis”.

Inaczej patrzył na tenże grób zwycięski Witeliusz. Oglądał go przybywszy tam pod koniec maja roku 69. Rzekł głośno, nie tając pogardy dla pokonanego:

— Zasłużył sobie właśnie na taki pomnik!

Wręczono mu sztylet samobójcy. Rozkazał odesłać go aż do Kolonii nad Renem i złożyć tam w świątyni Marsa. Był to gest symboliczny. Kiedy bowiem w dniu 3 stycznia legionieści obwoływali Witeliusza cesarzem wśród burzliwych demonstracji, ktoś przyniósł miecz, przechowywany właśnie w tej świątyni; ponoć niegdyś należał on do Juliusza Cezara. Nowy władca pozwolił obnosić się po ulicach Kolonii z tym orężem w rękę. Obecnie odwdzieczył się bogu, przesyłając ostrze, które odebrało życie rywalowi w walce o władzę.

Wypada jednak dodać, że większość współczesnych myślała o dobrowolnej śmierci Othona z podziwem i głębokim szacunkiem. Uważano powszechnie, że postąpił jak prawdziwy Rzymianin. Nawet Tacyt, z zasady tak surowy dla władców swej epoki, powiada wielkodusznie:

„Dzięki dwom swoim czynom — z których jeden był najhaniebniejszy, drugi zaś wspaniały — Othon

zasłużył sobie u potomnych na tyle samo złej, ile też dobrej sławy."²²

Czyn haniebny to oczywiście doprowadzenie do upadku i zamordowania Galby. Że była to opinia wówczas powszechna, poświadcza Swetoniusz, kończy bowiem żywot tego cesarza słowami:

„Wielu ludzi potępiało go, gdy żył, jak najgorzej, lecz kiedy zmarł, wynosiło go pochwałami wysoko. Powtarzano ogólnie, że zgładził Galbę nie tyle po to, by samemu panować, ale by przywrócić wolność Rzeczypospolitej.”²³

A jeszcze w dwadzieścia lat później poeta Marcjalis poświęcił pamięci nieszczęsnego imperatora epigram tej treści:

Kiedy wojny domowej szale się wahały, Mógł był jeszcze zwyciężyć Othon zniewieściały, Lecz nie chcąc krwawych danin bogu wojny składać, Wołał sam sobie w piersi cios niechybny zadać. W życiu Katon górował pewnie nad Othonemj Czyżby i śmierć cesarza przyćmił swoim zgonem?²⁴

Chodzi oczywiście o tego Katona, który po klęsce zadanej wojskom senatu pod Tapsus przez legiony Juliusza Cezara popełnił samobójstwo w Utyce i stał się symbolem umiłowania wolności republikańskiej aż do końca,- już samo zestawienie tych dwóch postaci było dla Othona niezmiernie pochlebne.

Lecz satyryk Juwenal, małostkowy i złośliwy, nie mógł Othonowi zapomnieć, że wziął ze sobą na wyprawę wojenną lusterko i przeglądał się w nim ponoć tuż przed decydującą bitwą; a także i tego, że palcami ugniatał sobie na twarzy chleb rozmokły, czego nie czyniła ani Semiramida, ani też Kleopatra, najślawniejsze królowe zniewieściałego i rozpustnego Wschodu.²⁶

WESPAZJAN POD JEROZOLIMĄ

Wieści o wyniku wojny domowej w Italii dotarły na Wschód dopiero w drugiej połowie maja. Nim jeszcze to się stało, doszło tam do godnych uwagi wydarzeń.

Przez całą zimę i wiosnę Wespazjan przebywał w swej głównej kwaterze, to jest w Cezarei nadmorskiej, niecierpliwie oczekując doniesień z Rzymu i znad Padu. Jednocześnie pilnie obserwował, co się dzieje wśród powstańców, zwłaszcza w samej Jerozolimie. Stwierdzał ze szczerą satysfakcją, że walki bratobójcze wciąż przybierają tam na zaciekłości.

Szymon wkroczył do stolicy w kwietniu jako sojusznik jej mieszkańców. Ci bowiem, choć przy pomocy Idumejczyków wyparli Żarliwych z miasta do obwodu świątynnego, wdrzeć się tam nie zdołali. Obwód górował swym położeniem nad dzielnicami mieszkalnymi, mury miał potężne, zaopatrzone był w różne maszyny wojenne, zdobyte przed trzema laty na Rzymianach; nie brakowało też zapasów żywności, zmagazynowanych w budynkach wokół dziedzińca. Natomiast Żarliwi stracili bezpowrotnie wszystkie bogactwa, które w ciągu miesięcy swego władania Jerozolimą skrzętnie nagromadzili w wielu domach i pałacach; ludzie Szymona i pospólstwo miejskie zagrabili je od razu w pierwszych godzinach rozruchów. Nie tak pięknie popisali się oblegający przy szturmie. Zasypani gradem pocisków z dachów nad kolumnadą dziedzińca zewnętrznego ponieśli znaczne straty w zabitych i rannych; wnet też odstąpili. Żarliwi natomiast jeszcze umocnili swe pozycje. Zbudowawszy mianowicie cztery wieże drewniane, ustawili je w róż-

nych punktach przy murze obwodowym, a na ich postwach umieścili strzelców i maszyny; dzięki temu siali spustoszenie wśród atakujących, ilekroć ci usiłowali podejść ku murom. Tak więc Szymon, świetny dowódca w wojnie podjazdowej, nieuchwytny, zwinny, zadający ciosy niespodziewane, obecnie, zamknięty w murach miejskich i zmuszony do prowadzenia działań regularnych, nie odnosił już sukcesów — ku szczeremu rozgoryczeniu tych, którzy wezwali go zbyt skwapliwie.

Około połowy maja Wespazjan uznał, że czas dojrzał. Należy przeprowadzić nową kampanię w Judei, zając jak najwięcej terenów, przygotować oblężenie samej Jerozolimy! Zapewne zachęciło wodza do wyruszenia w pole i to, że ostatnie wieści z Italii mówiły o sukcesach wojsk Othona pod Placencją i Kremoną; mówiły też o szybkim marszu legionów naddunajskich, spieszących cesarzowi z pomocą. Wszystko więc kazało wierzyć, że zwycięzcą będzie ten, komu Wespazjan i jego żołnierze złożą przysięgę wierności, a nie buntownik Witeliusz. Nie było już powodu zwlekać. Tym bardziej że sprzyjała też pora roku i sytuacja w rozdarłej walkami Jerozolimie. Wespazjan opuścił Cezareę — przebywał w niej nieprzerwanie od lata roku 68 — i poprowadził swe legiony w głąb Judei. A tymczasem prochy Othona niemal już od miesiąca krył skromny grób w Brixellum, butny zaś zwycięzca Witeliusz zwiedzając pole bitwy pod Bedriakum patrzył z uciechą na stosy ciał poległych i mocnym winem zwalczał mdłości, wywołane odorem rozkładających się trupów.

W Judei północnej Wespazjan bez walk zajął okręg Akrabety, gdzie przed rokiem działał Szymon. Następnie pomaszerował wprost ku Jerozolimie, po drodze

biorąc do niewoli lub zabijając wszystkich mieszkańców, którzy nie zdołali ująć w porę. Jednocześnie wysłał do Idumei, a więc na południe, korpus piechoty i jazdy pod wodzą Cerealisa. Spustoszone tam wiele osiedli, główne zaś miasto krainy, Hebron, zdobyto za pierwszym uderzeniem; mężczyźni zdolnych do walki wyróżniono, a zabudowania puszczono z dymem. Tak więc wskutek działań Wespazjana i Cerealisa tereny w ręku powstańców bardzo się skurczyły. Z początkiem czerwca obejmowały już tylko skrawek Judei właściwej i Idumei, od Jerozolimy na północy do Masady na południu, co w linii prostej wynosiło, według miar naszych, niewiele ponad 50 km; przeciętna szerokość owego obszaru była jeszcze mniejsza.

Wydawało się wszystkim, że koniec wojny już nieuchronnie bliski. Jerozolima, osamotniona i krwawiąca od wewnątrz, pozbawiona wszelkiej nadziei ratunku, musi paść lub poddać się w ciągu najbliższych miesięcy, najdalej jesienią! Wystarczy (tak powiadali niektórzy), że Wespazjan stanie pod murami miasta i okaże ogrom rzymskiej potęgi, by skruszyć serca najodważniejszych. Lecz oto, ku powszechnemu zdumieniu i zaskoczeniu, Wespazjan nie zbliżył się do stolicy i nawet nie rozbił obozu w tamtych stronach. Niespodziewanie przerwał tak pomyślnie rozpoczęte działania, zawrócił z serca Judei i pospieszył do Cezarei! Dlaczego? Józef Flawiusz powiada, że dopiero tam, w Cezarei nadmorskiej, wódz dowiedział się o kiesce i śmierci Othona. Lecz względu zarówno chronologiczne, jak i samej logiki wypadków dowodzą, że Wespazjan otrzymał wiadomość o tym, co się stało nad Padem, już wcześniej, w trakcie wyprawy, w okolicach Jerozolimy; jednakże z przyczyn zrozu-

miałych zachował rzecz w najściślejszej tajemnicy. Pozwolił ją ogłosić dopiero wtedy, gdy powrócił do swej głównej kwatery. Zwłoka ta mogła wywołać mylne wrażenie — dał mu się zwięść także Józef Fla-wiusz — że meldunek o prawdziwej sytuacji w Italii dotarł w momencie, kiedy wojska już przybyły do Cezarei.

PROROCTWA

L im większym przerażeniem lud i powstańcy w Jeruzolimie śledzili pochód Wespazjana, tym radośniej odetchnęli i tym pewniej się poczuli, gdy wbrew wszelkim złowieszczym przewidywaniom wódz rzymski nagle przerwał swój nieubłagany marsz ku ich miastu i wnet potem, jak gdyby czegoś się lękając, szybko zawrócił ku morzu. Dopiero nieco później, lecz niewątpliwie jeszcze w ciągu czerwca, dowiedziano się w całej Judei, jakie były powody owej zaskakującej zmiany planów nieprzyjaciela: bitwa pod Bed-riakum. Wieści o ostatnich wydarzeniach w Italii oczywiście ogromnie podniosły Żydów na duchu. Oto już dwaj cesarze od rozpoczęcia wojny przed trzema laty zginęli śmiercią samobójczą, obaj przy tym w sposób niemal identyczny, bo własną ręką wbijając sobie sztylet: Neron w szyję, Othon w serce! A prócz tych dwóch jeszcze jeden padł zamordowany na samym środku Forum! Trzy gwałtowne i krwawe zgony władców-bestii w ciągu tak krótkiego okresu! Pojawił się również i szczeł marnie Neron samozwań-czy, ten z wyspy Cytnos. W Jeruzolimie z całą pewnością zwrócili uwagę na ten splot wypadków nie tylko uczeni w Piśmie, lecz i zwykli prostaczkowie.

Rozpatrując zaś dzieje lat ostatnich wypadało wciąż na nowo powtarzać słowa:

— Tylko ślepiec lub człowiek złej woli nie potrafi dostrzec, że to Pan zsyła śmierć na władców nieprzyjacielskich i sprawia, że Rzymianie własnymi rękami rozszarpują swe wnętrzności!

Stąd w całym kraju rosła ufność, rodziła się nadzieja. Wolno przypuszczać, że rozumowano tak:

Judea cierpiała i cierpi straszliwie. Zniszczono, spalono, zrównano z ziemią setki wsi i miasteczek. Bohatersko zginęły w obronie swych domów tysiące mężczyzn, a ich kobiety i dzieci pognano w niewolę. Co najboleśniej, walki bratobójcze toczą się w samej Jeruzolimie, i to u progu świątyni, a szal nienawiści i pycha opętały najdzielniejszych synów ojczyzny. Wszystko to prawda. Lecz sprawa najważniejsza jeszcze nie zginęła, jeszcze nie stracona! Jeszcze wciąż wolno wierzyć, że przyjdzie cud ocalenia, choćby w chwili ostatniej! Rzym musi runąć, jak przed wiekami runął Babilon, a jeszcze przedtem potężna Assyria i jej stolica Niniwa!

Na co wszakże można by odpowiedzieć, że wprawdzie wódz odstąpił od stolicy, pozostały jednak w jego władaniu nabytki dawne i obecne, a dwa legiony miały, jak i przedtem, swe obozy w Emaus i Jerycho. Kto wie, czy w owych dniach ulgi nie rozlegały się w Jeruzolimie słowa niby to prorocze, jakby pierwsze zwiastuny przyszłych wołań na gruzach miasta wrogów. W swej treści, w stylu i obrazowaniu brzmiałyby podobnie do tych, które już się ozwały, albo też wkrótce miały ozwać w Objawieniu Janowym; cała bowiem literatura apokaliptyczna tamtej epoki niewiele się różniła pod względem formy i tematyki wizji:

Upadł, upadł Babilon wielki! Stał się miejscem czartowym, schronieniem wszelkiego ducha złego, gniazdem pactwa nieczystego i obmierzonego, bo wszystkie ludy piły wino opętanej jego rozpusty, królowie ziemi czynili z nim wszeteczeństwo, a kupcy różnych krain wzbogacili się z ogromu jego przepychu. Oddajcież mu, jako i on wam oddawał, w dwójnasób oddajcie mu według uczynków jego! Do kielicha, w którym wino wam mieszał, nalejcie mu w dwójnasób! Bo w jeden dzień spadną nań plagi, śmierć, boleść i głód, w ogniu spłonie. Będą płakać i biadać nad nim królowie ziemi, którzy wszeteczeństwo z nim czynili i używali rozkoszy, gdy ujrzą dym jego pożaru!

Anioł zaś silny podniósł kamień wielki jak koło młyńskie i rzucił go w morze mówiąc:

— Tak oto jednym rzutem zostanie strącony Babilon, miasto wielkie, i już się go nie odnajdzie. Nie usłyszysz się w tobie grania kitarzystów, śpiewaków, fletnistów, trębaczy. Żadnego mistrza jakiegokolwiek umiejętności już się nie spotka. Nie będzie huczał kamień młyński, nie zabłyśnie blask świecy, nie odezwie się głos oblubieńca i oblubienicy!

WITELIUSZ POD BEDRIAKUM

Czy bitwa pod Bedriakum wtrąci w przepaść Rzym i całe Imperium? Czy podniesie, jak ów kamień wielki, rzucony ręką anioła, fale tak ogromne, że zmiotą bestię, co siedzi na siedmiu wzgórzach? Pytania te wydać się mogą nam obecnie metaforą przesadną i zbyt patetyczną, odpowiadają wszakże grozie i trwodze, jakie budziła w ludziach tamtych czasów wojna

domowa i jej akt najkrwawszy; ten, który dokonał się na równinach Italii północnej. Zważmy również, iż nikt wówczas nie był w stanie przewidzieć, jakie będą dalsze skutki owych zmagania.

A bitwa była rzeczywiście niezwykle krwawa. Zginęło w niej ponad czterdzieści tysięcy ludzi. W swym „Żywocie Othona” Plutarch przekazuje w związku z tym własne wrażenia:

„Kiedym już znacznie później przechadzał się po tamtejszych błoniach, Mestriusz Florus — w czasie wojny domowej stał on po stronie Othona nie z przekonania, lecz z konieczności — pokazał mi pewną starą świątynię i rzekł:

— Przeszedłem tu zaraz po bitwie i ujrzałem w tym miejscu stos trupów tak wysoki, że zwłoki leżące na wierzchu sięgały samego szczytu budynku. Szukałem usilnie przyczyny, dlaczego to właśnie tu walczono z taką zaciekłością, alem do niczego nie doszedł. Nikt też nie umiał mi powiedzieć nic pewnego w tej sprawie”.²⁶

Zabitych żołnierzy Othona nie pochowano. Zwycięzcy zostawili je psom i pactwu na żer. Postąpili tak powodowani prymitywną, barbarzyńską pogardą dla pokonanych. Toteż gdy w czterdzieści dni po bitwie, a więc już pod koniec maja, zwiedzał pola pod Bedriakum Witeliusz, niespiesznie podróżujący zza Alp ku Rzymowi, nawet zahartowani w bojach z Germanami ludzie jego otoczenia zaledwie mogli znieść widok i smród tysięcy rozkładających się trupów. Jednakże sam cesarz — mężczyzna liczący lat pięćdziesiąt kilka, bardzo wysoki, o brzuchu wyдутym skutkiem obżarstwa, a twarzy mocno zaczerwienionej od ustawicznego pijaństwa — rozglądał się wokół z nie ukrywaną satysfakcją. Po chwili zaś wyrzekł

słowa, które dobrze zapamiętano i powtarzano ze zgrozą:

— Zabity wróg wonieje bardzo pięknie. A zabity obywatel jeszcze piękniej!

Lecz i jego brały mdłości. Łyknął więc sporo wina i łaskawie kazał podać je ludziom wokół. Obraz po-bojowiska wydać się musiał patrzącym tym straszliwszy, że przyjechali tu z pobliskiej Kremony drogą, którą mieszkańcy miasta ślicznie umaili gałązkami lauru i kwieciami róż, witając służalczo nowego władcę; tu i ówdzie wzniesiono nawet ołtarze i zabijano przy nich zwierzęta ofiarne, czcząc Witeliusza niby władcę orientalnego. Lecz pod samym Bedriakum widziało się jak okiem sięgnąć tylko stratowane pola, zasiewy i winnice; nawet drzewa stały martwe, odarte z gałęzi i kory, inne zaś leżały powalone, jak gdyby zmagali się tu giganci z tytanami.

Jak to zwykle bywa w podobnych okolicznościach, otaczający cesarza oficerowie, uczestnicy bitwy, z lubością spełniali rolę przewodników. Odtwarzali wymownie przebieg i zmienne koleje walki. Wskazywali wyjściowe pozycje i dalsze manewry poszczególnych formacji, swoich i przeciwnika. Prowadzili ku miejscom zmagania najzaciętszych. Każdy starał się przy tym należycie uwypuklić swe męstwo, energię, trafność decyzji. Mogli zresztą śmiało fantazjować, ich niedawni wrogowie leżeli martwi lub trwożnie przycichli. Natomiast prości żołnierze oglądając zwalony trupów fachowo oceniali zażartość i efekty walki wręcz na różnych stanowiskach.

Lecz tylko część pretorianów i legionistów Othona poległa pod Bedriakum. Jak szczerze by się radował Witeliusz, gdyby mógł naliczyć więcej zwłok na po-bojowisku! Słowa, że zabity wróg wonieje pięknie

wyplęły mu wprost z serca, od miesiąca bowiem trapił się i zastanawiał, co zrobić z pozostałymi przy życiu nieprzyjaciółmi. Poddali się, to prawda, lecz było oczywiste, że trwają w nieprzejednanej nienawiści do zwycięzcy. Gdyby nie samobójstwo Othona, kohorty pretorianów i legiony naddunajskie walczyłyby nadal z furiacką determinacją. Kapitulowały one tylko dlatego, że zabrakło wódza; żołnierze uważali się za zdradzonych i opuszczonych, a nie za pokonanych. Cesarz najchętniej rozkazałby dziesiątkować, rozwiązać i wygnać na krańce Imperium wszystkie te formacje, lecz właśnie to zbożne życzenie było niewykonalne! Witeliusz wiedział, że, doprowadzeni do ostateczności, tamci znowu chwycą za broń, co mogłoby okazać się dlań katastrofalne. Należało więc postępować cierpliwie i przemyślnie.

LOSZY POKONANYCH

IN owy władca Imperium rozprawił się najpierw z pretorianami. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o decydującym zwycięstwie, jeszcze będąc w Galii, zwolnił ich wszystkich z szeregów armii. Uczynił to w sposób pozornie "wielkoduszny, przyznał im bowiem „missio honesta", czyli taką odprawę zaszczytną, jaką by otrzymali po szesnastu latach nienagannej służby. Lecz w tymże samym edykcie nakazał surowo, by odchodzący oddawali swą broń wyższym oficerom. Obie decyzje były słuszne i zrozumiałe. Nikt przecież nie mógł wymagać, by cesarz powierzył straż nad swą osobą ludziom, którzy niemal wczoraj godzili weń ostrzami mieczów i włóczni jako naj-

zaciętsi wrogowie! Z drugiej wszakże strony łatwo pojąć, że pretorianie odczuli to posunięcie bardzo boleśnie, jako upokorzenie i prawdziwą klęskę życiową. Dotychczas byli elitą armii. Sami siebie uważali za wybranych z wybranych, ostatnio zaś za panów dworu, stolicy, całego Imperium. Obsypywani łaskami i przywilejami, liczyli na jeszcze świetniejszy los po zwycięstwie. Nagle zmieniło się wszystko. Mieli wegetować rozproszeni po różnych miastach Italii, pogardzani i podejrzewani, mężczyźni w sile wieku bez zajęcia i już weterani. Trudno się dziwić, że palali żądzą zemsty i tylko czekali sposobnej chwili, by wystąpić do walki o utraconą pozycję społeczną. Czekali tym niecierpliwiej, że po rozbrojeniu żyli w ustawicznej trwodze, nowe bowiem władze zaczęły po trochu wyszukiwać i więzić niektórych z nich; łącznie zakuto w kajdany stu dwudziestu. Dopiero wtedy wyjawiono przyczynę: oto w archiwum na Palatynie znaleziono podpisane przez nich podania, skierowane jeszcze do Othona, w których domagali się nagród za szczególne zasługi przy obaleniu Galby. Wszystkich uwięzionych skazano na śmierć i stracono jako zdrajców, złamali bowiem przysięgę 'złożoną naczelnemu wodzowi — Galbie. Ta decyzja Witeliusza była z pewnością słuszną, sprawiedliwą. Wychodził on z założenia, że pretorianinowi nie wolno zdradzać swego cesarza nigdy i pod żadnym warunkiem, nawet jeśli przeciw owemu cesarzowi występuje sam Witeliusz; przypomnijmy bowiem raz jeszcze, że jego bunt godził początkowo właśnie w Galbę. Autentyczności podań nikt nie kwestionował, jednakże koledzy skazanych obawiali się, że wkrótce przyjdzie kolej na nich pod innym pozorem.

Może nawet ktoś sfabrykuje podania na wzór tamtych?

Odmianą politykę wypadało zastosować wobec legionów. Ich rozwiązanie nie wchodziło w rachubę, to bowiem osłabiłoby i tak już nadszarpnięty kordon zbrojny u granic, strzegący przed barbarzyńcami. Pojmano natomiast i z rozkazu cesarza ścięto tych centurionów, którzy poprzednio najgorliwiej opowiadali się za Othonem. Następnie zaczęto przesuwać pewne formacje do różnych prowincji.

Trzy legiony znad dolnego Dunaju, to jest z ówczesnej prowincji Mezji, szły Othonowi z pomocą, ale dotarły tylko do Akwleii i w ogóle nie wzięły udziału w walkach. Były to: III Galijski, VII Klau-dyjski, VIII Augustowski. Wieść o śmierci Othona zaskoczyła żołnierzy tak bardzo, że poturbowali gońców, zwiastujących złe nowiny — jak gdyby ci byli sprawcami nieszczęścia! — a potem potargali własne sztandary, na których niektórzy nazbyt gorliwi oficerowie wypisali imię Witeliusza. Przy sposobności roz-grabiono pieniądze kas wojskowych. Ostatecznie udało się uśmierzyć zaburzenia i legiony powróciły do swych obozów nad wielką rzeką graniczną. Pozostała wszakże nieufność wzajemna po obu stronach. Zwłaszcza żołnierze trwali w przekonaniu, że w swoim czasie cesarz weźmie pomstę za akwilejskie rozruchy, a przede wszystkim za sponiewieranie swego imienia.

Forpoczty legionu VII z przydomkiem Gemina Galbiana oraz XI Klaudyjskiego walczyły pod Bedriakum; oczywiście pod sztandarami Othona. Po klęsce odmaszerowały spokojnie do swych obozów, a mianowicie VII do Karnuntum nad Dunajem, nieco na wschód od Wiednia, XI zaś do Dalmacji, czyli na wybrzeża dzisiejszej Jugosławii.

Legion I Adiutrix, Pomocniczy, został sformowany, jak była już mowa, z żołnierzy floty wojennej najpierw przez Nerona, potem zaś przez Othona. Wziął on w całości udział w bitwie. Swej pierwszej bitwie! W początkowej fazie zmagania śmiałym zrywem przełamał front przeciwnika i zdobył orła Witeliuszowe-go legionu XXI. Później jednak uległ wściekłemu natarciu doświadczonych żołnierzy znad Renu, ustąpił daleko do tyłu, dał wydrzeć sobie wiele godeł bojowych, stracił nawet dowódcę, Orfidiusza Benignusa, który padł zabity. Obecnie z rozkazu zwycięzcy legion musiał odejść aż do Hiszpanii.

Jeszcze dalej wyprawiono legion XIV. Ten nie zdążył w porę pod Bedriakum, przybyły tam tylko pierwsze oddziały, toteż żołnierze „czternastego” jawnie głęjsili i butnie okazywali, że w gruncie rzeczy nie zostali pokonani; gdyby zjawili się w porę, bitwa z całą pewnością przybrałaby obrót całkiem odmienny! Ostatnio stacjonowali w Dalmacji lub w Panonii, lecz przedtem mieli swe leża w Brytanii; stamtąd to ściągnął ich Neron pod koniec swego panowania, aby wcielić do wielkiej armii, którą zamierzał poprowadzić na Wschód, aż za Morze Kaspijskie i jeszcze dalej, szlakiem Aleksandra Macedońskiego. Zaszczytne wyróżnienie zawdzięczali sławie swej waleczności i z tej opinii nie chcieli rezygnować. Obecnie odkomenderowano ich z powrotem do Brytanii, przydając jako towarzyszy przez część drogi kohorty Batawów znad dolnego Renu. Jednakże już w Turynie przypadkowa kłótnia dwóch żołnierzy doprowadziła niemal do regularnej bitwy między obu formacjami, które od lat nienawidziły się i rywalizowały. Na szczęście legionistów poparli stojący wtedy w Turynie, a jeszcze nie rozbrojeni, pretorianie. To powstrzymało Batawów

i ostatecznie legion XIV pomaszerował do Brytanii, choć po pewnej zwłoce i niezbyt chętnie, wyznaczonym uprzednio szlakiem. Pamiątką jego krótkiego postoju w Turynie były zgliszcza wielu domostw; pożar wybuchł od nie wygaszonych ognisk obozowych tej samej nocy, w której żołnierze opuszczali miasto. Batawów natomiast Witeliusz wnet potem wyprawił nad dolny Ren, choć przecież okazywali mu przykładną wierność; obawiał się wszakże ich nieposkromionej, prawdziwie germańskiej buty.

Pod pewnym względem najgorszy los spośród wszystkich formacji Othonowych spotkał legion XIII. Nie popisał się on odwagą pod Bedriakum, podał tam bowiem tyły w starciu ze sławnym legionem V, noszącym jeszcze od czasów Cezara przydomek Alaudae. Zwycięski Witeliusz, szydząc z pokonanych, przydał im nową hańbę. Rozkazał właśnie tym z „trzynastego” budować amfiteatry w Kremonie i w Bononii, gdzie zamierzał oglądać igrzyska gladiatorów. Gawiedź w obu miastach drwiła z legionistów, gdy ci dźwigali niby niewolnicy ciężkie kamienie i belki. Żołnierze znosili w milczeniu i w bezsilnym gniewie wszelkie upokorzenia, lecz poprzysięgli zemstę cesarzowi i mieszkańcom. Po wykonaniu nakazanych prac opuścili niziny nad Padem. Udali się do swego dawnego obozu w Poetovio.

WITELIUSZ I NERON

Zwycięzca zaś rzeczywiście nie odmówił sobie przyjemności, ba, rozkoszy, jaką stanowiło dlań przypatrywanie się walkom gladiatorów; poświęcił owej roz-

rywce wiele godzin i dni w obu miastach. Uwielbiał namiętnie krwawe zmagania się uzbrojonych par przeciwników na arenach amfiteatrów. Podobnie zresztą jak wszelkie inne igrzyska, zabawy, wyścigi i zawody. Lata chłopięce i wczesną młodość spędził na Kapri wśród ulubieńców Tyberiusza, powolny mu we wszelkich rodzajach rozpusty; to ponoć niezmiernie ułatwiło karierę jego ojcu. Potem wszedł do grona najbliższych przyjaciół Kaliguli jako znakomity znawca sztuki powożenia rydwanem; potracony przypadkowo przez rydwan cesarza cierpiał odtąd przez lata na uraz nogi. Wszystko to razem w sposób wystarczający zalecało go Neronowi; podobnie jak i szczery entuzjazm dla muzycznych i pieśniarskich talentów cesarza-artysty. Trzeba jednak rzec po sprawiedliwości, że sympatię dla Nerona i jego utworów Witeliusz okazywał jawnie także jako władca, gdy nie potrzebował już nikomu schlebiać; chyba że pragnął tymi gestami zjednać sobie przychylność ludu, który tak mile wspominał panowanie cesarza spoczywającego rzekomo w grobowcu Domicjuszów. Wiadomo w każdym razie, że przybywszy do Rzymu Witeliusz publicznie i w licznym gronie dostojnych kapłanów złożył na środku Pola Marsowego ofiary ceniom Nerona. W czasie zaś pewnej uczty zwrócił się do kitarzysty, bardzo wówczas popularnego, z głośnym napomnieniem:

— A teraz zaśpiewaj coś z utworów Pana!

Ten zrozumiał natychmiast, o co chodzi. Zaczął recytować słowa jednej z pieśni Nerona, a uradowany Witeliusz pierwszy powitał je oklaskami, którym wnet zawtórowali wszyscy obecni.

Lecz to miało dopiero zdarzyć się w Rzymie. Natomiast już w ciągu powolnej podróży do stolicy, jeszcze w miastach nad Padem, coraz liczniej napływa-

ły na dwór Witeliuszowy przeróżne osoby, niegdyś Neronowi miłe — lub takie, które z całą pewnością byłyby mu miłe. A więc aktorzy, tancerze, pieśniarze, woźnice rydwanów wyścigowych, błazny. Wszystkie miejscowości leżące na szlaku pochodu usiłowały przyjąć nowego pana jak najgodniej. Nikt nie ośmielił się oszczędzać w wydatkach na girlandy, ołtarze, uczty, igrzyska. A było kogo przyjmować!

POCHÓD ZWYCIĘZCY

Szło z Witeliuszem 60 000 zbrojnych różnych formacji oraz nieprzeliczone rzesze pachołków, ciurów obozowych, służby dworskiej. Do tej potężnej rzeki ludzkiej wciąż się dołączały nowe strumienie. Senatorzy i ekwici ze swymi orszakami spieszyli naprzeciw, aby złożyć hołd, zademonstrować lojalność, znaleźć przystęp do źródła łask, bogactw, honorów. Nikt z dostojników i możnych nie chciał być ostatni. Najgorliwiej zaś i wręcz na wyścigi stawiali się ci, którzy mieliby słuszne powody, by obawiać się nowych rządów. Ogromne masy ciągnęły naprzód niby szarańcza, niszcząc zasoby osiedli, tratując pola, zasiewy, sady i winnice. A był to już czerwiec, pszenica dojrzewała, drzewa uginały się pod ciężarem owoców. Tego wszakże roku żniw i zbiorów dokonać miały, i to przedwcześnie, ręce nie gospodarzy, lecz żołnierzy. Bardzo wielu służących w armii Witeliusza przyszło tu wprost znad Renu i nigdy dotychczas nie widziało kraju tak pięknego, ziem tak starannie uprawianych. Wielu było po prostu i dosłownie barbarzyńcami, toteż zachowywali się na każdym kroku niby

w kraju zdobytym i nieprzyjacielskim. Rabowali, dewastowali, bili i gwałcili zupełnie bezkarnie.

Dyscyplina bowiem w Witeliuszowych szeregach przedstawiała się źle. Od chwili zwycięstwa nikt o nią nie dbał, a sytuację pogorszył znacznie groźny incydent, który wydarzył się w maju, jeszcze przed zwiedzeniem poboju pod Bedriakum. Cesarz wydał w Ticinum, czyli w dzisiejszej Pawii, ucztę dla dostojników, jego zaś żołnierze również zabawiali się wesoło. Dwaj z nich stoczyli dla rozrywki udany pojedynek, z którego zwycięzcą wyszedł pewien Gal, służący w kohorcie posiłkowej, rozłożył bowiem na ziemi swego przeciwnika z sławnego legionu V o przydomku Alaudae. Koledzy pokonanego rzucili się hurmą, by pomścić hańbę i szyderstwa. Doszło do normalnej, krwawej bitwy, w której wycięto do nogi dwie kohorty posiłkowe. Walki trwałyby dłużej i mogłyby mieć skutki katastrofalne dla całej armii i dla sprawy Witeliusza, gdyby nie ujrzano na równinie w dali tumanów kurzu i błysków broni. Ktoś przytomny krzyknął, że to nadciąga legion XIV – a więc ten, który dopiero przed kilku dniami walczył z Batawami w Turynie i miał iść do Brytanii. Zaraz też zaczęto wołać, że legion z pewnością się zbuntował, zawrócił z drogi i spiesznie podąża, zamierzając nagłym atakiem zaskoczyć cesarza, jego dwór i strażę, aby pomścić Bedriakum i śmieć Othona! Zaczęto gorączkowo wydawać bezładne rozkazy i przygotowywać obronę przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Alarm oczywiście był fałszywy. Nadjeżdżała własna straż tylna, nieco spóźniona. Natomiast legion XIV w owych dniach już przekraczał Alpy, podążając, choć niezbyt chętnie, na północ. Lecz po owym krwawym zajściu w Ticinum pozostała wzajemna nieufność

i wrogość towarzyszących Witeliuszowi legionów i kohort posiłkowych. W czasie marszu ku Rzymowi wciąż dochodziło między nimi do waśni i kłótni, a nawet potyczek. Tylko w stosunku do ludności miejscowej żołnierze różnych formacji działali w przykładowej zgodzie, gnębiąc spokojnych mieszkańców bezlitośnie.

Do rozluźnienia dyscypliny przyczyniło się także to, że Witeliusz po nadspodziewanie szybkim zwycięstwie gwałtownie zmniejszył liczebność swej armii, którą kolosalnie rozbudował, przygotowując się poprzednio do długiej wojny z Othonem. Obecnie odesłał część galijskich kohort posiłkowych za Alpy, obcinał różnymi sposobami stan osobowy legionów i kohort pozostałych, chętnie też udzielał wszelakich urlopów i zwolnień. Myśl była słuszną, chodziło bowiem o zredukowanie nadmiernych wydatków na siły zbrojne. Jednakże owa łatwość, z jaką można było porzucać szeregi, wytwarzała wśród żołnierzy postawę pełnej obojętności wobec obowiązków i zasad karności obozowej.

Cesarz z pewnością trzymałby swych ludzi twardszą ręką, gdyby nie radosna wieść, dzięki której poczuł – się całkowicie bezpieczny i wyniesiony ponad wszelkie igraszki losu. Oto z początkiem czerwca, a więc już po zwiedzeniu poboju pod Bedriakum i po igrzyskach gladiatorskich w Bononii, zameldowali się na dworze zwiadowcy, tak zwani „speculatores”, używani do misji specjalnych. Po śmierci Othona i po uchwale senatu z dnia 19 kwietnia wysłano ich natychmiast na Wschód; powróciwszy obecnie z dalekich krain zgodnie donosili, że wojska i namiestnicy Syrii, Judei i Egiptu bez oporu złożyli przysięgę wierności nowemu cesarzowi. Witeliusz, który w skrytości serca wielce się niepokoił, czy z tamtej strony nie za-

grozi rebelia, wreszcie odetchnął. Stał się bezspornym, powszechnie uznawanym, jedynym panem całego Imperium. Nie miał już żadnych rywali. Wszystkie prowincje i armie podporządkowały się mu posłusznie. Wreszcie mógł beztrąsko oddawać się rozkoszom władzy, uczt, widowisk.

WITELIUSZ WKACZA DO RZYMU

W ędrując przez krainy i miasta Italii bardzo powoli cesarz wreszcie stanął w okolicach stolicy; a była to już prawie połowa lipca. Zatrzymał się o siedem mil od miasta, przy moście Mulwijskim, gdzie Droga Flaminijaska przekracza Tybr. Rozdawano tu obficie żywność żołnierzom, a tymczasem z Rzymu napływały tłumy ludności i krążyły po obozowisku, ciekawie przypatrując się owym groźnym i strasznym wojakom znad Renu. Już od dawna stolica nie oglądała armii tak wielkiej i niezwyklej, bo w znacznej części złożonej z barbarzyńców, służących w kohortach posiłkowych. Niektórzy z żołnierzy odziani byli we włochate skóry dzikich zwierząt, a uzbrojenie ich stanowiły długie włócznie, dotychczas nigdy tu nie oglądane. Pospólstwo, jak zawsze złośliwe, kpiarskie i niechętnie obcym, nie przepuszczało żadnej okazji strojenia tanich żartów z niezgrabnych prostaków galijskich i germańskich. Tak więc temu i owemu zręcznie przecinano pas od miecza, przechodzący przez ramię i plecy, a potem zapytywano znienacka i z tyłu, udając groźny ton oficerskiego głosu:

— A czemuż to bez pasa?!

Lecz butni i nieokrzesani zwycięzcy znad Renu

wcale nie okazywali zrozumienia dla owych dwornych dowcipów. Miast śmiać się dobrodusznie, odruchowo chwyтали za broń i cięli na oślepek kogo popadło i kogo tylko mogli dosięgnąć z kręgu śmiejących się gapiów, winnych i niewinnych. Podobne sceny zdarzały się i w samym mieście. Tam z kolei żołnierze byli gośćmi. Zwiedzali Rzym, nim jeszcze cesarz z wojskami wkroczył formalnie w jego mury. Pragnęli jak najrychlej ujrzeć wreszcie na własne oczy kolebkę i stolicę tego Imperium, któremu wiernie służyli trzymając straż u dalekich granic; miasto, o którego wspaniałości i bogactwach krążyły wręcz fantastyczne opowieści wśród nadreńskiej dziczy. Lecz głównym celem wycieczek i pielgrzymek było Forum Romanum. Nie tyle dlatego, że stanowiło ono serce metropolii i że wznosiły się tam najświetniejsze budowle, lecz z tej przyczyny, że każdy chciał oglądnąć miejsce przy sadzawce Kurcjuszów, gdzie przed zaledwie siedmiu miesiącami, w dniu 15 stycznia, padł zamordowany przez pretorianów Othona cesarz Gal-ba, ten, przeciw któremu i oni bunt podnieśli. Dla tych bowiem barbarzyńców, jak zresztą dla wszystkich barbarzyńców w każdej epoce, ważną wydawała się tylko historia najnowsza; dawnej po prostu nie znali. Zbrojni przybysze z północy, nieprzywykli do miejskiego tłoku, a nawet bruku, poruszali się niezgrabnie, upadali na marmurowych schodach i posadzkach, wciąż wywoływali drwiny. Mieszali się bez potrzeby w cizbę najgęstszą, potrącali przechodniów, nie chcąc lub nie umiając ustąpić im z drogi. To wszystko powodowało kłótnie, wrzaski, bijatyki. Często krążące patrole pod dowództwem oficerów jeszcze wzmagały nastrój niepokoju. Gdy nadszedł dzień uroczystego wjazdu — a była

to już połowa lipca — Witeliusz przywdział purpurowy płaszcz wodzowski, przypasał krótki miecz, dosiadł wspaniałego rumaka i tak zmierzał ku stolicy Drogą Flaminijską, co czyniło wrażenie, że pragnie wkroczyć do Rzymu jak zwycięzca do siłą zdobytego miasta. Widok cesarza w pełnym stroju wo-dzowskim i przy broni dotknął Rzymian boleśnie, wywołując powszechne oburzenie. Było bowiem odwiecznym i świętym zwyczajem, że nikt nie ma prawa tak wkraczać w obręb murów — chyba że odbywa triumf, pokonawszy obcego wroga i uzyskawszy odpowiednie zezwolenie senatu. Ostatecznie nalegania osób rozsądnych odniosły skutek; już w drodze Witeliusz zrzucił płaszcz wpjskowy i miecz odpasał, przywdział zaś toę bramowaną szerokim paisem purpurowym, jaką nosili wszyscy senatorzy. Uszykowano pochód.

Tacyt, liczący wówczas lat przynajmniej czternaście, mógł być naocznym świadkiem owego wjazdu. W każdym zaś razie czytając opis, jaki nam pozostawił na ostatnich stronach drugiej księgi „Dziejów”, trudno oprzeć się wrażeniu, że skreślił go ktoś, kto sam podziwiał wspaniały obraz.

Na przedzie szły poczty sztandarowe z orłami tych czterech legionów, które towarzyszyły cesarzowi. Były to: legion XXI Rapax z Windonissy, czyli obecnego Windisch w Szwajcarii nad rzeką Aar; I Italica z Lugdunum nad Rodanem, a więc Lyonu; V Alauda z Yetera nad dolnym Renem, gdzie dziś miasto Xan-ten; XXII Primigenia z Moguncji nad Renem środkowym. Przed orłami ustawili się prefekci obozów legionowych, trybuni i najwyżsi rangą centurionowie, wszyscy w śnieżnobiałych strojach. Po obu stronach tego zastępu szły poczty z godłami — lecz bez or-

łów! — owych czterech legionów, które wprawdzie należały do armii Witeliusza, obecnie jednak trzymały straż u granic. Dalej niesiono godła dwunastu szwadronów jazdy, za nimi zaś maszerowały zwarte szeregi legionistów. Przy każdej centurii szli oficerowie w pełnym, jak i żołnierze, uzbrojeniu; błyszczeli lśniącym metalem paradnych pancerzy i hełmów, mieli wszystkie odznaczenia bojowe w postaci medali na piersiach i ozdobnych łańcuchów na szyjach. Pochód zamykały trzydzieści cztery kohorty, rekrutowane z różnych ludów pogranicznych i bardzo rozmaicie uzbrojone. Był to imponujący pokaz wojskowej potęgi Imperium. Dotychczas nikt tu nie oglądał tylu równie świetnych oddziałów z krain tak odległych.²⁷

Orszak i zbrojne zastępy szły ku miastu Drogą Flaminijską. Po lewej ręce miały Wzgórze Ogrodów i stojący tam, widny z daleka, grobowiec Domicjuszów z porfirowym sarkofagiem Nerona. Jeśli Witeliusz spojrział choćby przelotnie na ową budowlę, winien by z zadumą pomyśleć o wyrokach i kolejach losu ostatnich kilkunastu miesięcy. Był przecież w ciągu niespełna roku trzecim z rzędu następcą tamtego cesarza! Nie wiedział — bo meldunki o tym do Rzymu jeszcze nie dotarły! — że właśnie w tymże miesiącu pojawił się na Wschodzie następca czwarty i prawdziwie groźny.

REBELIA WSCHODU — DATY

W dniu 1 lipca prefekt Egiptu Tyberiusz Juliusz Aleksander stanął przed frontem dwóch legionów — był to III Cycznajski i XXII Dejotariański — w ich

wspólnym obozie na wschodnim przedmieściu Aleksandrii. Obwieścił oficerom i żołnierzom, że od tego dnia mają nowego cesarza i pana: jest nim Flawiusz Wespazjan, dotychczasowy legat i dowódca wojsk walczących w Judei. Karne szeregi legionistów odpowiedziały prefektowi gromkimi okrzykami aprobaty. Natychmiast też złożono przysięgę na wierność władcy. Podobnie ochoczo powitali proklamacją wkrótce potem obywatele w mieście; Aleksander wystąpił przed nimi na wiecu zwołanym w hipodromie lub w ogromnym budynku gimnazjonu.

W dniu 3 lipca Wespazjan wczesnym rankiem wychodził ze swej kwatery w Cezarei nadmorskiej. Oficerowie i żołnierze jego sztabu oraz straży, ustawieni jak zawsze w porządku rang i oczekujący na codzienną odprawę, nagle pozdrowili go zgodnym i mocnym okrzykiem: *Salve Imperator!* Witali go więc nie jako legata, lecz wprost mianem przysługującym tylko cesarzowi! Nadspodziewanie szybko zbiegł się na plac przed budynkiem dowództwa tłum zbrojnych. Byli to żołnierze stojącego w Cezarei legionu XV Apollinarius, kohort posiłkowych, oddziałów łącznikowych. Wśród ich radosnych wołań coraz potężniej rozlegał się wielokrotnie skandowany tytuł panującego: *Imperator Caesar Yespasianus Augustus*. Cały ten legion, a nieco później również V, obozujący w Emaus, i X, trzymający Jerycho, ślubowały wierność swemu wodzowi jako jednemu odtąd władcy Imperium.

Namiestnik Syrii Licyniusz Mucjan niecierpliwie oczekiwał w Antiochii na wieści z Palestyny. Natychmiast po ich otrzymaniu zaprzysiął stojący w pobliżu legion IV Scytyjski na imię Wespazjana. Żołnierze dopełnili tej uroczystej ceremonii wręcz entuzjastycznie. Bezpośrednio potem Mucjan udał się

do teatru w mieście, gdzie z wielką swadą wygłosił po grecku mowę do zebranych tam najprzedniejszych obywateli Antiochii. Obwieścił, że odtąd cesarzem jest tylko Wespazjan. Tłumaczył przekonywająco, że stać się to musiało dla dobra całego państwa, a więc i całej ludzkości. Przyjęto słowa namiestnika burzliwą owacją.

Dwa inne legiony, VI Ferrata i XII Fulminata, obozowały w pogranicznych rejonach Syrii. I one złożyły przysięgę rychło, sprawnie, ochoczo. Wszystkie wojska Wschodu uznały Wespazjana za swego władcę jeszcze przed 15 lipca. A więc właśnie wtedy, gdy Witeliusz przygotowywał uroczysty wjazd do stolicy, najgłębiej przekonany, że całe Imperium od Brytanii po Syrię posłusznie leży u jego stóp! Za legionami od razu i bez wahania poszli sprzymierzeni książęta ziem pogranicznych, namiestnicy prowincji małazjatyckich i bałkańskich, a wnet również — i to było najważniejsze — cała armia Dunaju.

Lecz Rzym miał żyć jeszcze przez wiele dni w błogiej nieświadomości owych faktów.

REBELIA WSCHODU — PRZYCZYNY

!am zaś nasuwa się w związku z tymi wydarzeniami sporo pytań! Przede wszystkim: w jaki sposób doszło do przewrotu tak niespodziewanego, dokonanego tak błyskawicznie na tak ogromnych obszarach, w tylu miastach i obozach, przy zachowaniu aż do ostatniego momentu absolutnej tajemnicy? I to przy jakże nikłych, prymitywnych środkach łączności! Dalej: dlaczego owe prowincje i armie wystąpiły przeciw

Witeliuszowi zaledwie w miesiąc lub półtora po złożeniu przysięgi wierności? Przecież nie dano mu nawet sposobności pokazania, jak będzie rządził!

Jest pewne i oczywiste, że przewrotu dokonano po niezwykle starannych przygotowaniach. Uzgodniono i zgrano w czasie przebieg wydarzeń w odległych miejscowościach. Przewidziano różne ewentualności. Użyto rozmaitych środków, by urobić nastroje żołnierzy i ludności cywilnej. Całą tą akcją musiało kierować co najmniej kilka bardzo zdecydowanych, pomysłowych i energicznych osób z grona najwybitniejszych wówczas na Wschodzie. Witeliusz zaś pośrednio i oczywiście wbrew swej woli niezmiernie ułatwił spiskowcom ich działania.

Przybywający ze Wschodu zwiadowcy meldowali mu w swoim czasie, że tamtejsze legiony ślubowały wierność. Przemilczeli jednak, jak się wydaje, szczególnie istotny, nie chcąc wywoływać niezadowolonych władcy. Ceremonia mianowicie miała w obozach przebieg niezbyt budujący. Dowódcy wprawdzie wymawiali słowa formuły i prosili bogów, by raczyli sprzyjać cesarzowi, lecz stojące przed nimi szeregi przyjmowały to głuchym milczeniem. Tak działo się zwłaszcza w Judei, jakkolwiek tam przewodził uroczystościom sam Wespazjan, lojalnie modląc się do niebian o pomyślność dla Witeliusza. Żołnierze wszakże mieli słuszne powody, by zachowywać w czasie obrzędu bierność tak ostentacyjną. Przede wszystkim zmiany władców były nazbyt częste. W ciągu niespełna roku od śmierci Nerona legionie przysięgali już po raz trzeci: najpierw Galbie, potem Othonowi, obecnie zaś Witeliuszowi! Osoby te były im w gruncie rzeczy jednakowo obce i obojętne. Wiedzieli dobrze, iż każdy z tych trzech dochodził do tronu po trupie swego po-

przednika, mając jednakowo nikły, choć poniekąd oczywisty tytuł do władzy: żądę panowania.

Była też inna przyczyna niechęci do tamtych. Oto pierwszego z nich obwołały cesarzem początkowo wojska Hiszpanii, drugiego armia Renu, trzeciego pretorianie w Rzymie. W tej sytuacji nieodparcie narzucało się pytanie: czy żołnierze armii Wschodu są rzeczywiście o tyle słabsi i pośledniejsi od swych towarzyszy broni na Zachodzie, że muszą pokornie przyjmować ich decyzje i ulegle ślubować wierność każdemu, kogo spodoba się wybrać tamtym? Czy nie mają swych wodzów i namiestników, ludzi co najmniej równie godnych panowania, mężów zdolnych, energicznych, wypróbowanych w dziełach wojny i pokoju? Wręcz prowokująco zachowywali się żołnierze i oficerowie Witeliusza, coraz liczniej przybywający z Italii dla nadzoru spraw. Byli pewni siebie i arogancy, pyszniąc się nawet swym okazałym wzrostem i krzepą, czym rzeczywiście górowali nad ludźmi Wschodu, budowy ciała na ogół drobnej, lecz za to zwinniejszy-mi. Nade wszystko zaś owi „Germanie” wciąż i na każdym kroku dawali do zrozumienia, że uważają się za zwycięzców, za panów wszystkiego i wszystkich. A jednocześnie w obozach legionowych zaczęto powtarzać, a chyba nawet umyślnie rozpowszechniać przedziwne i coraz barwniejsze opowieści o tym, jak to wspaniale żyje się Witeliuszowym wojskom w Rzymie; o ich swawoli, gwałtach, rozwydrzeniu.

Józef, syn Matiasza, przywódca powstania w Galilei, przed dwoma laty pojmany do niewoli, więziony był w Cezarei nadmorskiej, przy głównej kwaterze Wespazjana; tu z konieczności co dzień dochodziły do jego uszu rozmowy żołnierskie. Toteż przez jego relację, umieszczoną w księdze IV „Wojny żydowskiej”, choć zo-

stała ona spisana znacznie później i wygładzana stylistycznie, przebijają wciąż jeszcze jakby echa owych słów prostych i naiwnych. Może się wydać, że słyszymy dwóch wartowników, głośno rozprawiających przed okienkiem lochu lub izby, w której siedzi skuty kajdanami młody Żyd, znudzony bezczynnością i pustką dni więziennych, a jednocześnie ciekawy wieści o wydarzeniach najnowszych, albowiem tylko one mogą przynieść nadzieję wyzwolenia. Ujmijmy więc treść Józefowej relacji w formę dialogu:

— Tamci obwołują sobie cesarzy dla własnej korzyści, a my co? Przez tyle przeszliśmy trudów, tyle krwi przelaliśmy swojej i cudzej, łby pod hełmami już siwe, i co mamy z tego?

— Im wolno wszystko, a my tylko słuchać musimy i przysięgać wierność każdemu, kto im się spodoba! A niby to nasz wódz gorszy od Witeliusza?

— Stokroć lepszy, każdy to musi przyznać! I nasze prawo, żeby cesarzem go obwołać, stokroć lepsze!

— A ta tutaj wojna w Judei to niby tylko zabawa, żarty, igrzyska? Im się wydaje, że mają gorszą robotę z Germanami. Wciąż się przechwalają na wszystkie strony, że nikt już się im nie oprze w całym świecie, skoro tak dobrze radzą sobie z tamtą dziczą! Ale gdyby tak doszło do czego, jeszcze by się pokazało, kto lepiej w polu zdzierzy, my czy oni!

— Nie będzie na pewno żadnej wojny między nami a nimi. To jasne, że wszyscy od razu staną po naszej stronie. Witeliuszowi, nawet gdyby chcieli walczyć, szybko by się przekonali, jak są osamotnieni. A senat i rzymianie w stolicy chyba do cna by zgłupieli, gdyby woleli tamtego obżartucha i zwyrodniałca od naszego wodza. Prawdziwego wodza!

— I chyba nie przeniosą bezdietnego rozpustnika

nad ojca dwóch synów. I to jakich synów! Domicjan jeszcze młody, jeszcze go nie znamy. Ale patrzcie na Tytusa! Ile to już wypraw i bitew z nami odbył! Jak dzielnie zawsze stawał! Gdyby po najdłuższym swym panowaniu Wespazjan przekazał mu władzę, jakież to byłby cesarz znakomity!

— Tu w Judei stoją trzy dobre legiony. Ale te trzy z Syrii i dwa z Egiptu natychmiast przejdą pod znaki Wespazjana, kiedy tylko coś się zacznie. Wiem dobrze, już niejeden z tamtych o czymś takim wspominał. A wysłańcy tylko się mijają pomiędzy Aleksandrią, Cezareą, Antiochią.

— A legiony znad Dunaju? Te dopiero nienawidzą Witeliusza! Wystarczy jedno słowo od nas, żeby ruszyły!

— Podobno w Akwilei jeszcze w kwietniu ci, co maszerowali Othonowi z pomocą, ale nie zdążyli, w żaden sposób i za żadną cenę nie chcieli uznać Witeliusza za cesarza. Zwołali wiec i radzili długo, kogo 'by z namiestników obwołać panem Imperium. Wszystkich po kolei brali pod rozwagę, ilu ich jest stanu senatorskiego, ale nie spodobał się im żaden. Tylko nasz Wespazjan zbierał same pochwały. Bo rozumny, odważny, w wojnach zaprawiony, dobry gospodarz. Nikt złego słowa nie potrafił o nim powiedzieć. Zaraz też jego imię wypisali na sztandarach. I na pewno by nie ustąpili, gdyby zdążyli dogadać się z nami. Ale wtedy nie mogli nawet wiedzieć, czy Wespazjan przyjmie wybór. Lecz i tak, choć osamotnieni, długo się opierali. Wcale niełatwo przyszło oficerom Witeliusza wymóc posłuszeństwo!

— Może i tak było, różnie mówią. W każdym razie w Akwilei stały już niektóre kohorty legionu trzeciego. Jego żołnierze musieli znać Wespazjana, przy-

najmniej ze słyszenia, bo przecież cały legion przetruciono z Syrii nad Dunaj dopiero pod sam koniec rządów Nerona!²⁸

Takie i tym podobne rozmowy prowadzili legioniści w Judei w ciągu maja i czerwca; a ktoś do nich zachęcał, ktoś nimi kierował. Rozeszły się również pogłoski o pewnym liście, rzekomo napisanym własnoręcznie przez samego Othona tuż przed samobójstwem; odchodzący władca ponoć zaklinał Wespazjana, by pomścił jego śmierć i -wziął państwo w swoją opiekę. Pokazywano tu i ówdzie odpisy listu, a w wielkiej tajemnicy i tylko wybranym nawet oryginał. Co prawda sceptycy ośmielali się powątpiewać w autentyczność dziwnego dokumentu, przypominając po cichu, że Tytus, syn Wespazjana, umie świetnie podrabiać cudze pismo, a nawet swego czasu wielce się tym chlubił.

Zapewne już pod koniec czerwca w sąsiedniej Syrii nagle gruchnęła wieść, że Witeliusz zamierza wkrótce zabrać formacje dotychczas tam stojące, a na ich miejsce translokować te znad Renu. Władca podobno powoływał się na pewne względy, z jego punktu widzenia bardzo istotne: spokojniejsza służba w łagodnym klimacie i w pięknej krainie będzie dla legionów germańskich miłą nagrodą za lata ciężkich bojów i znojów na pomocy, przede wszystkim zaś za wyniesienie go na tron i niezłomną wierność, okazywaną jego sprawie! Oczywiście legiony syryjskie musiałyby w zamian zająć obozy i twierdze wzdłuż tamtej, niegościnniej granicy. Sam namiestnik Mucjan potwierdził zasadność pogłosek. Uczynił to w momencie najbardziej dramatycznym, a mianowicie wtedy, gdy z początkiem lipca zaprzysięgał żołnierzy na imię Wespazjana i przemawiał do mieszkańców Antiochii

w teatrze. Potwierdził wszakże, jak łatwo odgadnąć, właśnie to, co sam zmyślił i polecił rozpowiadać dla celów propagandowych.

Należy przyznać, że pomysł był znakomity i rzecz w pełni osiągnęła efekt zamierzony. Wiadomość o rzekomo planowanych przesunięciach formacji wstrząsnęła zarówno wojskiem, jak i ludnością cywilną. Żołnierze — nawet ci, którzy w młodości przybyli tu z Zachodu — obecnie uważali właśnie te strony, tak bogate i ciekawe, za swoją prawdziwą ojczyznę. Prawie wszyscy założyli tu rodziny, mieli licznych krewnych i przyjaciół. I oto obecnie musieliby skutkiem rozkazu jednego człowieka porzucić miły kraj, maszerować gdzieś na krańce świata, aby tam zaczynać życie od nowa — w prymitywnych warunkach, wśród bagien i lasów, cierpiąc od mrozów i deszczów, a na domiar wszystkiego walcząc z Germanami! Mieszkańcy syryjskich miast i wiosek słuchali o projekcie wymiany legionów z równym przerażeniem. Ci, co mieli w wojsku swych bliskich, pożegnali się z nimi na zawsze, wszyscy zaś bez wyjątku lękali się zaledwie zromanizowanych żołnierzy znad Renu. Krążyły już straszliwe opowieści o żądzy złota i krwi, jaką odznaczają się owi barbarzyńcy; ponoć z trudem mówią nawet po łacinie, greckiego zaś języka po prostu nie rozumieją! Czego zresztą można oczekiwać po ludziach popijających w swej ojczyźnie nie wino, boski dar Dionizosa, lecz jakiś płyn kwaskowaty, przyrządzany z kisańcego jęczmienia?

To więc wydaje się oczywiste: gdyby nie kunszt polityczny i pomysłowość Mucjana, który umiejętnie urabiał nastroje wojska i ludności, Syria z pewnością nie opowiedziałaby się za Wespazjanem tak szybko,

jednogłośnie i zdecydowanie. A jaką rolę odegrał w owych przygotowaniach sam Wespazjan?

GÓRA KARMEL

rtecz zdumiewająca: człowiek, który winien najgorliwiej wysuwać i podtrzymywać swą sprawę, zachowywał się początkowo dziwnie powściągliwie, a nawet opornie. Józef Flawiusz przekazuje pogłoskę — oczywiście zmyśloną — że wódz zgodził się, by okrzyknięto go cesarzem dopiero pod groźbą obnażonych mieczów swych żołnierzy. Faktem natomiast było, że do pewnego momentu Wespazjan wręcz zwalczał swoją kandydaturę, gdy rozważano ją w gronie najbardziej zaufanych. Taką postawę zajął też w czasie tajnej narady z Mucjanem i wyższymi oficerami; odbyła się ona z końcem maja lub początkiem czerwca na górze Karmel u wybrzeży Palestyny. Przedstawił wtedy otwarcie swe obiekcje:

— Mam już lat sześćdziesiąt. Po co mi w tym wieku nadmierne ambicje, po co odpowiedzialność za losy Imperium? Mogę przecież spędzić ostatnie lata życia w spokoju i dobrobycie, nie narażając na szwank niczego, com zdobył w trudzie niemalym. W ostateczności zgodziłbym się zaryzykować to wszystko dla dobra państwa, jeśli istotnie, jak twierdzicie, nie ma nikogo godniejszego ode mnie; los starca i tak przesądzony, mógłbym więc złożyć go ojczyźnie w ofierze. Pamiętajcie jednak, że jestem ojcem dwóch synów, dziedziców nazwiska, godności, fortuny; w razie nieszczęścia oni będą pierwszymi ofiarami katastrofy, ich wciągnę do grobu. Tym bardziej że młodszy

z nich, Domicjan, przebywa w Rzymie i Witeliusz mógłby zrobić z nim wszystko, co zechce. Podobnie jak i z moim bratem Flawiuszem Sabinusem, którego potwierdził na urzędzie prefekta miasta. Ci dwaj to zakładnicy w ręku cesarza. Który zresztą na razie zachowuje się wobec wszystkich senatorów wcale poprawnie. Nie sroży się, nie wywiera pomsty, wyraźnie szuka porozumienia. Nie mam więc żadnych osobistych powodów, by wszczynać nową wojnę domową. Powiadacie jednak, że I;ego żąda ode mnie sama ojczyzna, sam Rzym. Powiadacie dalej, że Witeliusz to człowiek gnuśny i zdeprawowany, który cesarzem stał się tylko z przypadku i skutkiem złośliwości losu, a kiedy się umocni na tronie, objawi swe tyrańskie skłonności, dotąd jakby uśpione. Uważacie też, że wojna będzie krótkotrwała, łatwa, prawie bezkrwawa, bo tamte wojska niewiele warte. Ale ja znam je dobrze, wiem, co znaczą i co potrafią legiony zaprawione przez długie lata w wojnach z Germanami! Jeśli nawet obecnie dyscyplina nieco się rozluźniła wśród formacji stojących w stolicy, może to ulec zmianie z dnia na dzień, gdy tylko zagrozi im prawdziwe niebezpieczeństwo z zewnątrz. Zdadzą zresztą przyzwać legiony znad granicy Renu. Kto zareczy, że nasi żołnierze będą naprawdę walczyć dzielnie i dochowają wierności w każdej sytuacji? Że nie dadzą się przekupić i nie zdradzą? Wystarczy jeden celny cios, wymierzony ręką nasłanego mordercy, by runęło całe nasze dzieło. Ileż to już razy zdarzyło się w historii, że ostrze sztyletu przecięło pięknie rozwijające się plany! Wierzcie mi, z każdego przedsięwzięcia można zawsze wycofać się w porę, kiedy tylko sprawy zaczynają przybierać obrót niepomyślny, a jeszcze przed ostateczną katastrofą! Kto jednak sięga po władz«

w państwie najwyższą, nie ma takiej szansy. Już w pierwszej chwili wydaje wyrok sam na siebie. Musi zwyciężyć lub zginąć.

Lecz Mucjan zrećnie parował te argumenty. Przemawiał błyskotliwie, jak urodzony retor, z lubością popisywał się swadą, chętnie przybierał teatralne pozy i uderzał w tony patetyczne. Na większości zebranych, choć chyba nie na samym Wespazjanie, zawsze trzeźwym, słowa jego wywierały zamierzony efekt, brzmiały bowiem mocno i pięknie. Jak te na przykład:

— Wzywam cię, Wespazjanie, do panowania! Od bogów tylko zależy i od ciebie, o ile będzie ono zbawienne dla państwa, ile chwały przyda naszemu Imperium. Nie myśl, że to pochlebstwo; w gruncie rzeczy więcej w tym ujmę niż zaszczytu — być następcą Witeliusza.

Potem wykazywał, że każdy z cesarzy poprzednich miał jakieś osobiste zalety lub mógł powołać się przynajmniej na świetność rodu, ugruntowaną długim panowaniem, Witeliuszowi wszakże nie przysługuje ani jedno, ani drugie. Byłoby więc oczywistym dowodem tępoty umysłu i słabości charakteru zachowywać się biernie w sytuacji, gdy rządy dostały się w ręce człowieka, który doprowadzić może Rzym do katastrofy. Nie ma on za sobą ani długoletniej służby wojskowej, nie cieszy się też dobrą opinią; na tron wyniosła go nienawiść żołnierzy do Galby i ta przypadkowa okoliczność, że legiony nad Renem nie miały pod ręką żadnego dostojnika stanu senatorskiego prócz właśnie Witeliusza. A pokonały Othona nie jego umiejętności wodzowskie ani nawet nie przewagi wojskowe; Othon zginął tylko dlatego, że przedwcześnie zwątpił w swą sprawę. Co prawda i Witeliusz czegoś dokonał, to na-

leży mu przyznać: w czasie krótkich swych rządów doprowadził do tego, że jego poprzednik urósł w pamięci i opinii Rzymian do wielkości naprawdę wybitnego władcy!

Następnie Mucjan zaczął rozwódzić się szeroko nad demoralizacją Witeliuszowej armii. Wołał, że ile w niej jeszcze było zapału i srogości, wszystko to ginie po trochu w rzymskich tawernach i lupanarach, gdy oficerowie i prości żołnierze naśladują gnuśność, pijaństwo i rozpustę naczelnego wodza. A tymczasem Wespazjan będzie miał za sobą dziewięć legionów stojących w Judei, Syrii, Egipcie! Dziewięć legionów, które nie poniosły strat w wojnach — bo walki z Żydami nie są zbyt krwawe — i w pełni przestrzegają zdrowej, surowej dyscypliny. Żołnierz to wprawny w boju, zwycięski w starciach z wrogiem zewnętrznym. Można też liczyć na flotę, na szwadrony jazdy i oddziały posiłkowe, a także na ksiąząt sprzymierzonych, godnych zaufania i zdecydowanych na wszystko. I jest wreszcie sojusznik najpewniejszy i najmożniejszy, armia Dunaju!

Wobec uporczywych nalegań Mucjana i wszystkich osób zebranych Wespazjan ostatecznie ustąpił. Zgodził się, by przygotować plan, kiedy i w jaki sposób obwołać go cesarzem. Podobno w powzięciu tej decyzji nie mała rolę odegrał fakt, że gdy składał ofiarę na górze Karmel, kapłan Bazylides tak odczytał znaki z wnętrzości zwierząt ofiarnych:

— Cokolwiek obecnie zamierzasz — czy dom budować, czy rozszerzać swe posiadłości, czy liczbę służby zwiększyć — oto jest ci dana wielka siedziba, niezmierzone granice, mnóstwo ludzi!

A Wespazjan, jak twierdzą współcześni, nie był nieczuły na głos przepowiedni. Przywiązywał wielką wa-

gę do wróżb, wiedzę zaś astrologów cenił bardzo wysoko.

Tak zakończyła się narada na górze Karmel. Wespazjan powrócił do swej głównej kwatery w Cezarei nadmorskiej, Mucjan zaś do Antiochii. Zaczęto wprawiać w ruch mechanizm spisku, który miał się objawić w dniu 1 lipca w Aleksandrii.

MUCJAN I TYTUS

Owszem, Mucjan należał do najgorliwszych popleczników sprawy Wespazjana, poniekąd gorliwszych od osoby najbardziej zainteresowanej. A przecież każdemu ze współczesnych nasuwało się pytanie, dlaczego to on sam nie zajmuje miejsca pierwszego, dlaczego nie sięga po władzę najwyższą wprost i we własnym imieniu? Był to przecież człowiek rodu znakomitego, odznaczał się świetnymi talentami, ambicji z pewnością mu nie brakowało. Niezwykłość, a nawet urok jego osobowości przebija wyraźnie w charakterystyce, jaką podał Tacyt w księdze I i II swych „Dziejów”:

Zamiłowanie do przepychu współżyło w Mucjanie z pracowitością, uprzejmość z arogancją, skłonności złe z dobrymi. Kiedy czas pozwalał, oddawał się rozkoszom ponad miarę, potrafił jednak wykazać wielkie zalety, gdy się to opłacało. Dzięki przeróżnym zręcznym chwytom wywierał ogromny wpływ na poddanych, na osoby bliskie, na swych towarzyszy. Imponował wspaniałym gestem, bogactwami, tym wreszcie, że pod każdym względem przekraczał granice zakreślone zwykłemu śmiertelnikowi. Był zręczniejszy

od Wespazjana w rozmowach, a bardziej doświadczony w kierowaniu sprawami polityki.

Co równie ważne, a o czym mówiono głośno i powszechnie, obaj żyli w niezgodzie. I to aż do połowy roku 68, to znaczy aż do przyjścia wieści o śmierci Nerona! Mucjan mianowicie uważał, że jako namiestnik Syrii, prowincji większej, starszej i bogatszej, ma zwyczajowe i rzeczowe prawo, by wglądać w sytuację Judei, czemu z kolei Wespazjan sprzeciwiał się stanowczo. Jakież więc przyczyny sprawiły, że dumny i ambitny władarz Antiochii niespodziewanie odsunął na bok swe żądania i urazy, wszystkie zaś siły i całą energię zwrócił w jednym tylko kierunku: zdobyć władzę i tron dla niedawnego rywala?

Tacyt, który jest naszym głównym, a czasem jedynym źródłem, i który znał obu tych ludzi osobiście, choć w nieco późniejszym okresie, zamyka całą rzecz w krótkim zdaniu:

„Dopiero po zgonie Nerona wyzbyli się obopólnych niechęci i doszli do porozumienia. Stało się to najpierw dzięki przyjaciołom, następnie zaś ufność, pokładana w Tytusie, zgasła małostkową rywalizacją, ukazując wspólne korzyści; ten zaś był i z natury, i z chęci odpowiedni do tego, by przyciągnąć zwłaszcza człowieka o usposobieniu Mucjana.”²⁹

Zresztą sam Mucjan ponoć oświadczył Wespazjanowi:

— Sądzę, żem więcej wart niż Witeliusz, lecz ciebie stawiam ponad sobą. Zdobi twój dom chwała triumfu i dwaj synowie. Jeden z nich już potrafiłby władzę sprawować, a dzięki swej poprzedniej służbie wojskowej znany jest także legionom znad granicy germańskiej. Byłoby więc z mej strony niedorzecznością nie rezygnować z tronu na rzecz człowieka,

którego syna bym adoptował, gdybym już panował! A więc o tym, że to właśnie Wespazjana obwołano na Wschodzie cesarzem, zdecydował w dużym stopniu jego syn Tytus.

TYBERIUSZ ALEKSANDER I WESPAZJAN

nam zrozumieć, że Tytus, obdarzony niezwykłym urokiem osobistym, co zgodnie poświadczają wszyscy współcześni, zjednął sobie i swemu ojcu przychylność arystokraty już posuniętego w latach i bezdzietnego. Ten bowiem, oceniając trzeźwo sytuację państwa i własną, uznał za najroztropniejsze popierać Wespazjana jako dobrego polityka i wodza, mającego przy tym synów, co zapewniało na przyszłość ciągłość rządów. Zresztą, zadowolając się pozornie miejscem drugim, Mucjan wiedział, że w razie zwycięstwa i tak będzie w najbliższych latach jednym z faktycznych władców Imperium. Tak więc to wszystko wydaje się jasne i logiczne. Lecz przecież pierwszy proklamował Wespazjana cesarzem nie Mucjan w Antiochii, ale ktoś inny: Tyberiusz Aleksander, prefekt Egiptu! Można z całą słusnością posłużyć się w tym przypadku nadużywaną często metaforą, że to on pchnął w Aleksandrii dnia 1 lipca kamień, który pociągnął za sobą lawinę wielkich wydarzeń. Żołnierze bowiem w Cezarei nadmorskiej, czyli w głównej kwaterze Wespazjana, z całą oczywistością czekali na wiadomość i hasło z Egiptu. Meldunek stamtąd otrzymali dopiero wczesnym rankiem dnia 3 lipca. To prawda, że Aleksandrię i Cezareę dzieli około 500 km, jednakże posłańcy spieszący bez przerwy

!LJ

mogli tę drogę pokonać w ciągu dwóch dni i dwóch nocy; nie mówiąc już o tym, że posługiwano się niekiedy różnymi systemami sygnalizacji. Z kolei Mucjan wszczął akcją u siebie w Syrii dopiero upewniwszy się, że w Aleksandrii i w Cezarei rzecz już się dokonała. Toteż Wespazjan zawsze doceniał znaczenie aktu w stolicy Egiptu. Uznał właśnie dzień 1 lipca za oficjalny początek swego panowania, czyli, jak to określali Rzymianie, za swój „dies imperii”.

Powstaje jednak pytanie, co skłoniło prefekta Egiptu do odegrania tak decydującej roli w wyniesieniu Wespazjana? Co sprawiło, że właśnie on uczynił krok pierwszy i najważniejszy, biorąc zarazem na siebie odpowiedzialność największą? Przecież mogło stać się i tak, że z jakichś przypadkowych przyczyn nie doszłoby do owych dalszych aktów w Cezarei i w Antiochii! Wówczas prefekt Egiptu pozostałby całkowicie sam, bezbronny, narażony na rychłą i straszliwą pomstę ze strony Witeliusza. Tak, to oczywiście: w pierwszych dniach lipca pełne ryzyko rebelii ponosił nie tyle Wespazjan, i nie Mucjan, lecz wyłącznie Tyberiusz Aleksander; a ponosił je dobrowolnie i świadomie.

Zdumiewa, że źródła, jakimi dziś dysponujemy, przechodzą nad tym faktem niemal z zupełną obojętnością, jak gdyby chodziło o rzecz samą przez się zrozumiałą. Dają dość wskazówek, by odtworzyć motywy postępowania Mucjana, pozostawiają natomiast w całkowitym mroku to, czym kierował się Tyberiusz Aleksander. Nawet Józef Flawiusz, który przebywał wtedy w ośrodku wydarzeń, a jako Żyd mógł dowiedzieć się później sporo od pobratymców w Aleksandrii, przedstawia w IV księdze „Wojny żydowskiej” właśnie tę sprawę nader pobieżnie:

Ponieważ Mucjan i dowódcy żądali od Wespazjana, by przyjął ofiarowywaną mu władzę, ten zwrócił uwagę najpierw na Aleksandrię. Rozumiał dobrze, że Egipt to najważniejsza część Imperium, dostarcza bowiem zboża. Miał nadzieję, że kiedy kraj ten opanuje, zmusi Witeliusza do kapitulacji, nawet gdyby wojna się przedłużała, jako że lud w stolicy nie ścierpi głodowania. Chciał też przeciągnąć na swoją stronę dwa stojące tam legiony. Egipt mógłby również okazać się znakomitym szańcem obronnym, osłaniającym przed niespodziankami losu w razie gorszego obrotu spraw, lądem bowiem od Palestyny dostać się tam trudno, u wybrzeży brak portów, aleksandryjski zaś łatwo zamknąć, a od zachodu rozciąga się na ogromnych przestrzeniach bezwodna pustynia Libii. Natychmiast więc wystosował list do prefekta. Powiadomił go o postawie wojsk oraz o tym, że biorąc z konieczności ciężar panowania na swe barki pragnie zapewnić sobie jego pomoc i współdziałanie. Aleksander, gdy tylko zapoznał się z treścią pisma, bezzwłocznie zaprzysiął swych żołnierzy i lud; a jedni i drudzy ochoczo ślubowali wierność Wespazjanowi, znali bowiem doskonale jego zalety, jako że dowodził wojskami w krainie ościennej.⁸⁰

Tyle Józef. Tacyt zaś wspomina o zabiegach i przygotowaniach poprzedzających wydarzenia w dniu 1 lipca zaledwie w kilku słowach: „Prefekt Egiptu Aleksander uczestniczył w planach”.³¹ To wszystko! A przecież wypadało wyjaśnić, dlaczego to ów namiestnik w ogóle przystąpił do spisku i dlaczego właśnie on pierwszy dokonał aktu proklamacji. Dyskrecja i powściągliwość rzymskiego historyka są w tym przypadku zastanawiające, a wynikają chyba stąd, powiedzmy to od razu, że niezbyt on lubił Ty-

beriusza Aleksandra i nie chciał uwypuklać jego zasług w wyniesieniu na tron imperatora Rzymu. Łatwo będzie się domyślić, skąd ta niechęć, zaznajomiwszy się z tym, co się powie w następnych rozdziałach.

Nie ma potrzeby wątpić, że istotnie wysłano do Aleksandra ów list, o którym mówi Józef Flawiusz. Stało się to z pewnością po decydującej naradzie na górze Karmel. Lecz jest równie oczywiste, że Aleksander wiedział już wcześniej, i to bardzo dokładnie, o przyczynach, celach i etapach przygotowywanego zamachu. Twierdzenie Józefa Flawiusza, że namiestnik wyczytał to wszystko dopiero w liście i natychmiast dał się przekonać przytoczonym tam argumentom, jest po prostu naiwne. List stanowić mógł tylko ostatnie ogniwo planów rozwijanych już wcześniej, ostrożnie, w największej skrytości. Był rodzajem hasła i sygnału wywoławczego. Kto wie, czy treść jego nie brzmiała pozornie obojętnie — na wypadek, gdyby pismo dostało się w ręce niepowołane. O tym zaś, w jakiej tajemnicy utrzymywano spisek, najlepiej świadczy fakt, że kancelaria namiestnika nieprzerwanie aż do dnia 1 lipca umieszczała i rozkazywała umieszczać w dokumentach nazwisko Witeliusza jako panującego! W odległych rejonach Egiptu, dokąd wiadomości docierały z dużym opóźnieniem, datowano tak jeszcze pod koniec lipca, a więc prawie miesiąc po proklamowaniu w Aleksandrii cesarzem Wespazjana. Ba, Tyberiusz Aleksander posunął się w swej lojalności wobec Witeliusza pozornie dalej niż którykolwiek z namiestników w całym Imperium: polecił mianowicie używać w jego tytułaturze członu „Caesar”, choć

sam Witeliusz odrzucił go zdecydowanie i raz na zawsze, gdy senat podjął odpowiednią uchwałę. Można by przypuszczać, że prefekt opowiedział się

po stronie Wespazjana, ponieważ po prostu nie miał wyboru: w Egipcie stały tylko dwa legiony, natomiast Mucjan i Wespazjan dysponowali łącznie trzykrotnie większą siłą zbrojną, i to nawet nie biorąc pod uwagę wojsk książąt sprzymierzonych. Było też oczywiste, że jakakolwiek pomoc ze strony Witeliusza nie zdołałaby przybyć w porę. W rzeczywistości wszakże sprawy przedstawiały się inaczej. Mucjan i Wespazjan na pewno nie byliby w stanie rzucić wszystkich swych wojsk na Egipt, albowiem pierwszy z nich musiał strażować nad Eufratem, drugi zaś trzymać w ryzach powstańców żydowskich. A gdyby nawet zdecydowali się uderzyć, marsz wybrzeżami Palestyny ku Egiptowi byłby uciążliwy, zaopatrzenie zaś dużej armii nastęczałoby ogromne trudności wobec zniszczeń wojennych w Judei. Samo zdobycie Egiptu też nie przy-szłoby łatwo. Trzeba by wpierw opanować twierdze graniczne, potem sforsować liczne i mylne odnogi Nilu, a wreszcie zająć i obsadzić ludną, wielką Aleksandrię. Wszystko zaś po to, by następnie uwięzić znaczną część sił dla utrzymania porządku w kraju rozległym, liczącym miliony mieszkańców!

Wniosek stąd, że Tyberiusz Aleksander wcale nie musiał ustępować wobec namów lub żądań ze strony Wespazjana i Mucjana. Co więcej, w pewnym krytycznym momencie decyzja tamtych zależała właśnie i niemal wyłącznie od jego postawy. Namiestnicy Syrii i Judei nigdy by się nie ośmielili wcielić w życie swych planów rebelii, gdyby nie mieli absolutnej pewności, że prefekt Egiptu poprze je całym sercem. To nie przypadek i nie chęć uhonorowania Tyberiusza Aleksandra sprawiły, że ustalono taki porządek chronologiczny: akt obwołania nowego cesarza dokona się

najpierw w stolicy Egiptu, a dopiero potem w Cezarei i w Antiochii!

Zachowały się szczątki dokumentu papirusowego, fetory opisywał dokładnie i w stylu protokołarnym wystąpienie prefekta przed ludem, zebrany w ogromnym hipodromie na wschodnim przedmieściu. Zdaniem niektórych badaczy jest to sprawozdanie z aktu proklamowania Wespazjana cesarzem w dniu 1 lipca; zdaniem większości chodzi o wydarzenie późniejsze o kilka miesięcy, a mianowicie o powitanie samego Wespazjana, gdy przybywał on do egipskiej metropolii. W obu jednak przypadkach Tyberiusz Aleksander musiał powtarzać te same słowa, pieczołowicie zanotowane w dokumencie. Nazywał nowego władcę panem, zbawcą i dobroczyńcą, lud zaś odpowiadał okrzykami:

— Nasz pan, August, dobroczyńca, Sarapis, syn Ammona!³²

Mógłby ktoś rzec, że przy ceremoniach poprzednich skandowano z pewnością słowa brzmiące tak samo lub jeszcze piękniej; była to przecież ni mniej, ni więcej tylko czwarta proklamacja 'cesarska w ciągu roku! Czemu by więc nie przyjąć po prostu, że owe wołania i oklaski stanowiły tylko zwyczajowy gest lojalności, a raczej służalstwa, gest pozbawiony wszelkiej autentycznej treści? Należy jednak pamiętać, że właśnie w tym momencie Tyberiusz Aleksander rozpoczynał wielce ryzykowną grę, w której stawką była nie tylko jego kariera, lecz nawet życie. Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że dołożył usilnych starań, by uroczystość wypadła jak najokazalej i prześcignęła poprzednie pod każdym względem. Wysławiał Wespazjana szczerze i żarliwie, bo przecież wiązał swój los z jego sprawą na złe i dobre. Łatwo też odgadnąć, że

ludzie prefekta uczynili wszystko, co tylko było w ich mocy, by tłumy przyjęły proklamację entuzjastycznie. To zresztą nie wymagało nadmiernego wysiłku. Wystarczyło wskazać obywatelom Aleksandrii, jak wielki i wręcz niebywały zaszczyt przypadł im obecnie w udziale. Po raz pierwszy w dziejach cesarz zostanie obwołany właśnie w ich. mieście! Po raz pierwszy od wieku metropolia egipska stanie się widownią wydarzenia, które zadecyduje o dalszych losach cywilizowanego świata! Od pokoleń aleksandryjczycy pokornie przyjmowali urzędników wyznaczanych przez Rzym, lecz teraz dzięki nagłej odmianie losu oni dadzą i narzucą władzę stolicy!

Z całą pewnością nie brakło też w tych pamiętnych dniach mieszkańców Aleksandrii, którzy doszukiwali się głębszego sensu owych spraw rozwijających się tak dziwnie. I rzeczywiście trudno było oprzeć się wrażeniu, że działa jakaś moc ukryta, biorąca pomstę za dawne tragedie kraju, za jego upokorzenia i utratą samodzielnego bytu politycznego. Przypomnijmy bowiem:

Dokładnie przed stu laty, bo w roku 31 p.n.e., Kleopatra, ostatnia królowa Egiptu, poniosła wraz z Antoniuszem klęskę pod Akcjum, pokonana przez Oktawiana. W rok później popełniła w Aleksandrii samobójstwo i wybrała śmierć, dumna i odważna, by nie stać się ozdobą rzymskiego triumfu zwycięzcy. Oktawian dał początek dynastii, która pod nazwą julijsko--klaudyjskiej władła Imperium prawie wiek, lecz ostatni jej przedstawiciel, Neron, zginął z własnej ręki. Odtąd wojny domowe bez przerwy wstrząsają ogromnym państwem. Tajemnicza ręka przeznaczenia doprowadziła wreszcie do tego, że właśnie lud Aleksandrii pierwszy okrzyknął nowego cesarza Rzymian.

Czy nie jest to odwet za upadek Kleopatry? I czy można odmówić wiary przepowiedni, uporczywie powtarzanej już od lat kilku, że zbawienie świata przyjdzie ze Wschodu?

Tego rodzaju rozważania były zgodne z mentalnością epoki miłującej wróżby, doszukującej się uporczywie tajemnego związku różnych wydarzeń i wszędzie śledzącej wyroki bogów, losu, przeznaczenia. Lecz prefekt Tyberiusz Juliusz Aleksander, człowiek zimno kalkulujący i chyba cyniczny, z pewnością nie takimi kierował się myślami, dokonując swego wyboru!

ROD TYBERIUSZA ALEKSANDRA

F rzyński prefekt Egiptu przyszedł na świat w stolicy tego kraju około roku 10 n.e. Ojciec jego, Aleksander Lizymach, należał do najbogatszych ludzi nie tylko tamtej prowincji, lecz i całego Imperium, a jednocześnie jako Żyd odznaczał się wręcz ostentacyjnym przywiązaniem do ojczystych tradycji. Toteż rodzina, choć już od dawna mieszkała poza Palestyną i głęboko przesiąknięta kulturą grecką, nie szczędziła ofiar na rzecz jerozolimskiej świątyni. Brat Lizymacha, Filon, parał się nie interesami, lecz filozofią; właśnie dzięki niej zdobył sobie uznanie, trwające i nawet rosące potem przez wieki. I nie bez powodu. Bo choć nie był to myśliciel oryginalny, poglądy jego wywarły ogromny wpływ na rozwój koncepcji teologicznych nie tylko, żydowskich, lecz również, a może nawet przede wszystkim, chrześcijańskich. Usiłował pogodzić opowieści i nauki Pisma z duchem doktryn helleń-

skich, których był znakomitym znawcą; niemal na każdej stronie jego licznych traktatów spotyka się rozwinięcie lub zastosowanie myśli wziętych od Platona lub Arystotelesa, od stoików lub pitagorejczyków. Lecz w sprawach zasadniczych Filon, mówiący i piszący tylko po grecku, świecił przykładem nieustępliwości, zachowując wierność religii przodków i swemu narodowi. Dlatego też posłował jako jeden z przywódców aleksandryjskiej gminy żydowskiej do cesarza Kaliguli w roku 39. Delegacja ta błagała władcę Imperium, by uwolnił Żydów od obowiązku oddawania czci boskiej posągom panującego, jest to bowiem sprzeczne z przykazaniami ich religii.

Podstawę bogactwa i znaczenia rodu stanowił dziedzicznie piastowany urząd alabarchy, czyli głównego dzierżawcy ceł drogowych i portowych w Egipcie. Pozwoliło to zebrać i stale pomnażać milionową fortunę, jedną z największych, jak się rzekło, w cesarstwie. Lizymach był też zarządcą egipskich dóbr Antonii, babki Kaliguli. Pani ta zmarła już w pierwszym roku panowania swego wnuka, nie zdołała więc osłonić Lizymacha przed srogą niełaską, która spadła nań właśnie z ręki Kaliguli i chyba w związku ze wspomnianym posłowaniem Filona. Cesarz rozgniewał się wówczas tak bardzo na członków delegacji, że nie pozwolił czcigodnemu starcowi na wygłoszenie całego przemówienia. Lizymacha wkrótce potem uwięziono, zapewne pod sfabrykowanym zarzutem jakichś nadużyć finansowych. Nie pomogło oskarżonemu nawet obywatelstwo rzymskie, którym obdarzył rodzinę jeszcze cesarz Tyberiusz; właśnie z tej racji syn starszy Lizymacha, późniejszy prefekt, nosił oficjalnie długie nazwisko Tyberiusz Juliusz Aleksander; ponieważ nie jest ono nazbyt poręczne, tu zwać go będziemy Ty-

beriuszem Aleksandrem lub po prostu Aleksandrem. Lizymach wyszedł z lochu dopiero po śmierci Kaliguli, gdy na tron wstąpił Klaudiusz, syn Antonii, przyjazny mu od lat. Dzięki łaskom nowego cesarza ród wnet powrócił do dawnej świetności, nieco przyćmionej za panowania nienormalnego Kaliguli. A jeszcze łaskawszy, jak zobaczymy, miał się okazać dla jednego z przedstawicieli rodu cesarz Neron. Wpierw wszakże przedstawimy etapy życia Tyberiusza Aleksandra od jego lat chłopięcych, kiedy to wraz z bratem Markiem wychowywał się pod czujnym okiem stryja Filona.³³

O BOSKIEJ OPATRZNOŚCI I O DUSZY ZWIERZĄT

F ilon bowiem mieszkał w domu brata do końca swych dni i osobiście czuwał nad kształceniem jego synów. Szczególny nacisk kładł oczywiście na najważniejsze, jak sądził, sprawy religii i filozofii. Nie bez rezultatów. Wzmianki w pismach Filonowych dowodzą wyraźnie, że przynajmniej jeden z chłopców, i to właśnie Tyberiusz Aleksander, interesował się prawdziwie poglądami różnych szkół filozoficznych na kwestie wówczas żywo dyskutowane w kręgach intelektualistów. O tym świadczą choćby tylko znamienne słowa, które stryj każe mu wypowiedzieć w jednym z dialogów:

— W nocy prawie nie spałem, bo zagadnienia, któreśmy poruszyli, budziły we mnie wciąż nowe wątpliwości!

O jakie chodziło problemy? Niektóre z nich potra-

firny wskazać. Nam co prawda wydać się one mogą naiwne, sztuczne, obojętne, a już z całą pewnością snu by nam z oczu nie spędziły. Zważmy jednak, że każda epoka ma swój zaklęty krąg zagadnień dla niej wielkich, które wszakże w odczuciu późniejszych pokoleń zwykle wydają się mało interesujące, błahe, a niekiedy wręcz śmieszne. Nie bądźmy więc ani nazbyt surowi w krytyce tego, co niegdyś jawiło się jako doniosłe, ani też nazbyt entuzjastyczni w ocenie spraw i problemów, które uznajemy za pasjonujące; przyjdzie czas, że i one zasłużą tylko na czyjś uśmiech pobłażania — lub politowania.

Zachowany tylko w tłumaczeniu armeńskim traktat Filona „O opatrności” ma formę rozmowy między samym autorem a Tyberiuszem Aleksandrem. Ten ostatni wywodzi, powołując się często na przykłady z dziejów greckich, że właśnie tym ludziom, którzy nie przebiegają w środkach, wiedzie się w każdej sytuacji dobrze. Osiągają oni swe cele, podczas gdy uczciwi w takim zestawieniu zawsze muszą ulec i przegrać. A więc nie istnieje wyższa opatrność, która by opiekowała się dobrymi, a złych karała! Filon natomiast stara się wykazać, zgodnie ze swą głęboką religijnością, że opatrność to niezbędny atrybut tej boskości, która świat stworzyła i podtrzymuje, to istotny element porządku kosmicznego. Obaj dyskutanci posługują się swobodnie grecką terminologią filozoficzną i argumentami zaczerpniętymi z dzieł klasycznych. Trudno byłoby odgadnąć, gdybyśmy nie wiedzieli tego skądinąd, że obaj przeciwnicy są z pochodzenia Żydami, a sam autor należy do gorliwych wyznawców Zakonu. Wypada też przypomnieć, że tenże problem stał się w pół wieku później przedmiotem dysputy Plutarcha i jego przyjaciół, dysputy toczonej

w portyku świątyni delfickiej, a zakończonej opowieścią o wędrowce Tespezjosa po świecie zmarłych, gdzie ujrzał on duszę Nerona, był świadkiem jej męczarni, ale także niezwyklej łaski, jaka spotkała ją w ostatnim niemal momencie: odrodzi się w ciele nie żmii, lecz żaby!

Inny dialog Filona, również zachowany tylko w przekładzie na język armeński, nosi tytuł „Aleksander, czyli o tym, czy zwierzęta mają rozum”. Zawiera bardzo kurtuazyjną, lecz stanowczą odprawę poglądów Tyberiusza Aleksandra, wyrażonych w traktacie streszczonym tu dokładnie. Otóż młody autor utrzymywał, że zwierzęta są istotami rozumnymi i posiadają duszę. Okazują przecież w swym postępowaniu inteligencję, zapobiegliwość, umiejętność naśladowania, przewidywania, przystosowywania się do różnych warunków. Niektóre z nich potrafią nawet mówić. Można również twierdzić, że mają pewne cnoty, na przykład odwagę, zdolność do poświęceń, ambicję. I znowu przychodzi na myśl wspomniana wyżej delficka rozmowa Plutarcha. Przecież występujący w widzeniu Tespezjosa stary pogląd pitagorejski, że dusze ludzi mogą się odradzać w ciałach zwierząt, byłby świetnym argumentem na rzecz tezy Aleksandra. Podobnie jak i opowieści typu tej o faraonie Amazisie, bytującym w lwiej postaci i dobrze rozumiejącym swoją dole. Lecz Tyberiusz Aleksander nie posłużył się takimi przykładami i nie mógł się posłużyć, albowiem byłyby one sprzeczne z jego przeświadczeniem, że nie ma opatrności, a więc nie istnieją też żadne rodzaje kar dla ludzi złych i nagród dla dobrych — ani w życiu tym, ani w przyszłym.

I wreszcie jest prawdopodobne, że pewne myśli Tyberiusza Aleksandra można wyczytać jeszcze w jed-

nym dziełku Filona, które przetrwało w oryginale greckim, lecz tylko fragmentarycznie. Omawia ono problem wieczności świata. Bratanek Filona broni w nim twierdzenia, wysuwanego przez różnych filozofów greckich, że świat materialny nie ma w czasie ani początku, ani kresu. Taka teza, jaskrawo przeciwna biblijnej opowieści o stworzeniu ziemi i nieba, musiała boleśnie dotknąć prawowiernego Żyda, jakim był Filon; uświadomiła mu na pewno, że zdolny młodzieniec nazbyt się przejął przewrotną mądrością Hellenów. Nam zaś echa subtelnych i pozornie abstrakcyjnych dysput, jakie toczyły się w domu aleksandryjskiego alabarchy pomiędzy czcigodnym i uczonym starcem a jego bystrym bratankiem, pozwalają lepiej zrozumieć gwałtowny zwrot, jaki dokonał się w życiu tego drugiego.

TYBERIUSZ ALEKSANDER, APOSTATA

Ogromny majątek, obywatelstwo rzymskie, helleńskie wykształcenie, życzliwość cesarza — wszystko to otwierało przed Tyberiuszem Aleksandrem perspektywy szybkiej i wysokiej kariery urzędniczej, przysługującej osobom ze stanu ekwitów. Pod jednym wszakże warunkiem: musiał jak najrychlej i całkowicie zerwać z żydostwem. Konieczność ta wynikała z dwóch faktów podstawowych. Po pierwsze, każdy urzędnik rzymski przy różnych okazjach składał ofiary oraz wypowiadał i przyjmował słowa przysięgi przed posągami bogów, a zwłaszcza cesarza. Po drugie, każdy młody człowiek z dobrze sytuowanej rodziny, pragnący wspiąć się na wyższe szczeble hie-

rachii urzędniczej, zobowiązany był odbyć wpierw staż oficerski w jednej z formacji wojskowych. Lecz wymogi te nie dały się pogodzić z zasadami religii żydowskiej. Ofiary i hołd przed posągami byłby bluźnierczym złamaniem drugiego przykazania, które powiada wyraźnie: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią. Nie będziesz się kłaniał przed nimi i nie będziesz im służył!” Natomiast w wojsku trudno byłoby wytrwać, nie gwałcąc co tydzień innego przykazania: „Pamiętaj o dniu sabatu, aby go święcić. Sześć dni będziesz pracować i wykonywać wszystkie twe prace, dzień zaś siódmy jest sabatem ku czci twego Boga, Jahwe”. Ani regulamin wojskowy, ani towarzysze broni, ani wreszcie nieprzyjaciel w polu nie pozwoliliby na całkowitą beczynność co siódmy dzień. Dlatego też wierzący Żydzi nigdy nie wstępowali dobrowolnie w szeregi obcych armii, a w razie ostatecznej konieczności dawali zastępcę spośród pogan, płacąc mu sowicie.

Lecz Tyberiusz Aleksander wzgardził przykazaniami, tradycją swego ludu, przykładem pobożnej postawy ojca i stryja. Stał się apostatą świadomym i konsekwentnym. Jeszcze za panowania cesarza Tyberiusza odbył służbę wojskową, niewątpliwie jako trybun o wąskim pasie purpurowym, chyba w samym Egipcie. Potem, przeczekawszy burzliwy okres władztwa Kaliguli, stanął za czasów Klaudiusza na pierwszym, a już wysokim szczeblu kariery cywilnej. Otrzymał mianowicie wiosną roku 42 urząd epistratega, czyli naczelnika okręgu Tebaidy w Górnym Egipcie; do stanowiska tego przywiązana była pensja 60 000 sesterców rocznie. Podlegał bezpośrednio tylko prefektowi

provincji, a na swoim obszarze był szefem administracji cywilnej i sędzią.

Tymczasem w roku 44 zmarł król Herod Agryppa I. Dzięki łasce Kaliguli, a potem Klaudiusza zdołał on zjednoczyć w swym ręku prawie całą Palestynę, po jego wszakże śmierci cesarz postanowił przejąć owe ziemie pod bezpośredni zarząd rzymski. Decyzja była zaskakująca, zmarły bowiem pozostawił dziedzica; był nim Agryppa II. Pozostawił również córkę Berenikę, wówczas żonę Heroda, księcia Chalkis w południowej Syrii. Co prawda Agryppa II miał w latach późniejszych odzyskać część ojcowizny, były to jednak obszary położone głównie nad jeziorem Genezaret i na wschód od niego, natomiast właściwa Judea, Samaria i Galilea podlegały odtąd wyłącznie rządowi rzymskim, jak to zresztą było już przed czasami Heroda Agryppy I. Nowy prokurator cesarski, Kuspisz Fadus, zdołał wprowadzić porządek u granic Palestyny i oczyścić Judeę z band rozbójniczych, rychło jednak naraził się Żydom. Zażądał mianowicie, by liturgiczne szaty arcykapłana pozostawały w ręku Rzymian, którzy wydawaliby je tylko na okres nabożeństwa. Chodziło o to, by tym sposobem zapewnić bezwzględny posłuch zarządzeniom władz, jako że bez owych szat nie można było odprawiać służby bożej, zwłaszcza w dniach wielkich świąt. Poselstwo żydowskie udało się natychmiast ze skargą do Rzymu. Dzięki wstawiennictwu młodego księcia Agryppy II, wówczas bawiącego w stolicy Imperium, zdołano uzyskać audiencję u cesarza oraz uchylene Fadusowego zarządzenia. Delegacja powróciła triumfalnie, wioząc list, w którym Klaudiusz pisał i te słowa:

„Przebywający u mego boku Agryppa, miły towarzyszu i mąż wielkiej szlachetności, przedstawił mi wa-

szych posłów. Ci podziękowali za opiekę, jaką lud wasz otaczam, i błagali usilnie, aby święta szata i wieniec pozostały za moją zgodą w waszym ręku; na co zezwalam. Prośbę tę uwzględniłem, tak bowiem każe mi moja pobożność oraz pragnienie, aby wszyscy żyli zgodnie ze swymi zwyczajami. Napisałem też w tej sprawie do mego prokuratora, Kuspisza Fadusa." ³⁴

Pieczę nad świątynią i jej skarbcem oraz prawo usuwania i mianowania arcykapłanów otrzymał Herod, książę Chalkis, mąż Bereniki; w liście swym cesarz i o nim wyrażał się bardzo ciepło. Po śmierci Heroda w roku 48 przywilej przeszedł na Agryppę II, u którego boku stale przebywała miłowana i miłująca siostra Berenika.

Incydent z szatą oczywiście poderwał nieco autorytet prokuratora. Fadus musiał pocieszać się tym, że fanatyzm religijny każe Żydom pokonywać wszelkie przeszkody. Wnet też zetknął się ze sprawą, którą znacznie trudniej było mu pojąć. Oto pojawił się wśród ludu Judei niejaki Teudas. Podawał się za proroka i rychło skupił wokół siebie rzeszę niemałą, która wraz z całym swym dobytkiem ruszyła za nim ku brzegom Jordanu. Teudas zapewniał, że wody rzeki rozstąpią się natychmiast na jedno jego słowo i otworzą bezpieczną drogę na drugi brzeg, skąd powiedzie wiernych do nowej ziemi obiecanej, gdzie wszyscy będą żyć w pokoju, miłości i dostatku. Tymczasem dopadły obozujących nad Jordanem szwadrony jazdy, wysłane przez Fadusa. Prokurator nie bez racji obawiał się, że obłęd może być zaraźliwy, należy więc zdusić ruch szaleńców w zarodku. Nie rozstąpiły się wody rzeki przed uciekającymi. Wielu z nich zginęło od miecza rzymskiego, wielu poszło do niewoli, poj-manemu zaś Teudasowi odcięto głowę i triumfalnie

przewieziono do Jerozolimy, aby każdy mógł się przekonać na własne oczy, jaki los spotyka fałszywych proroków. Tak przedstawia tę sprawę Józef Flawiusz w XX księdze swych „Starożytności żydowskich”.³⁵ Wypada jednak zaznaczyć, że tegoż Teudasa wspominają również „Dzieje apostołskie” w rozdziale V. Czynią to ustami uczonego w Piśmie faryzeusza Gamaliela:

— Nie tak dawno wystąpił Teudas, podając się za nie byle kogo. Przyłączyło się do niego około czterystu mężów, lecz gdy został zabity, wszyscy, co mu zaufali, rozproszyli się i zniknęli.

Najpierw sprawa szaty, później zaś rozgłos dziwnej afery Teudasa niewątpliwie przyspieszyły odwołanie Fadusa, Człowiekiem, który zapewne już w roku 46 zajął jego miejsce jako prokurator Judei, był Tyberiusz Aleksander. Awansował poważnie, namiestnik bowiem tej krainy należał do wyższej kategorii urzędników — pobierał 100 000 sesterców rocznie — cieszył się dużą samodzielnością, podlegając namiestnikowi Syrii tylko w wypadku wagi szczególnej, a pod swymi rozkazami miał nawet pewne siły zbrojne: pięć kohort piechoty i szwadron jazdy. Powstaje pytanie, czemu i komu zawdzięczał Tyberiusz Aleksander te zaszczytne nominacje.

Z całą pewnością zalecało go pochodzenie. W Rzymie mniemano, może nie bez racji, że nowy prokurator, tak dobrze znający zwyczaje i mentalność Żydów, nie popełni niezręczności, w jakie uwikłał się poprzednik. Dużo znaczyło i to, że cesarz Klaudiusz wysoko cenił jego ojca, niegdyś zarządcę majątków Antonii. Nie ulega również wątpliwości, że kandydaturę Tyberiusza Aleksandra poparł, a może nawet pierwszy wysunął, Herod, książę Chalkis, cieszący się sympatiami

nią Klaudiusza. Uczynił to choćby dlatego, że jego żona Berenika przed kilkunastu laty poślubiła formalnie — lecz tylko formalnie! — Marka, rodzonego brata Tyberiusza Aleksandra; zmarł on wprawdzie w wieku chłopięcym i małżeństwo nie doszło do skutku, przetrwały jednak, raz nawiązane, pewne kontakty osobiste między wielkim rodem książęcym w Judei i domem aleksandryjskich milionerów.

Objąwszy swój urząd nowy prokurator znalazł się od razu w obliczu wyjątkowo trudnej sytuacji. Nieurodzaj w Palestynie spowodował głód, srożący się zwłaszcza w Jerozolimie. O klęsce tej pośrednio wspominają również „Dzieje apostołskie”. Podają mianowicie, że gdy za cesarza Klaudiusza nastąpił głód wielki, chrześcijanie w Antiochii, zachęceni przez braci nawiedzanych duchem wieszczym, postanowili posłać, każdy według swych możliwości, pomoc braciom w Judei; przekazali ją tamtejszej starszyźnie przez ręce Barnaby i Saula.³⁸ Lecz chrześcijanie stanowili wówczas bardzo nieliczną i niezamożną grupę, wspierali zaś tylko siebie. Prawdziwa pomoc dla szerokich warstw ludności przyszła z daleka i ze strony niespodziewanej.

HELENA Z ADIABENY

Wśród właśnie przybierał na sile, gdy przybyła do Jerozolimy, otoczona wspianiałym orszakiem, królowa Helena. Jej ojczyzna, zwana przez Greków Adiabena, leżała bardzo daleko, bo aż nad górnym Tygrysem, na pograniczu cesarstwa rzymskiego i monarchii Partów; zamieszkała była, jak się wydaje, przez ludność .mię-

szaną — irańską, armeńską, helleńską i semicką. Królowa pielgrzymowała z owej odległej krainy w celach nabożnych. Pragnęła złożyć w świątyni prawem przepisane ofiary dziękczynne, jako wierna i przykładna wyznawczyni Zakonu — co prawda od niedawna.

Przedziwnym zbiegiem okoliczności syn Heleny imieniem Izates również stał się z przekonania żydem w tym samym prawie czasie, jakkolwiek bez jej wiedzy i woli. Wychowywał się on daleko od stron rodzinnych, na dworze pewnego zaprzyjaźnionego księcia, gdzieś na ziemiach Międzyrzecza. Tam zawarł znajomość z kupcem żydowskim o imieniu Ananiasz i o-trzymał odeń wstępne nauki religijne. Po śmierci ojca powrócił do kraju wraz z Ananiaszem i objął rządy. Wtedy to dopiero matka i syn przekonali się z radością, że kroczą tą samą drogą! Odtąd też wzajem wspierali swą gorliwość neofitów. Helena jednak wolała postępować w sprawach zasadniczych ostrożnie, traktując swe przekonania i poglądy jako rzecz czysto osobistą, a nawet tajemną. Toteż kiedy Izates oświadczył jej, że pragnie wziąć na siebie wszystkie ciężary Zakonu i podda się obrzezaniu, przerażona sprzeciwiła się gwałtownie. Ostrzegając, że może to doprowadzić do rozruchów; ludność, a zwłaszcza arystokracja, nie zechce mieć za władcę kogoś, kto porzuciwszy wiarę przodków przyjął obca, i to pogardzaną przez wielu! Izates zwrócił się wtedy z prośbą o radę do Ananiasza. Ten, rzecz zdumiewająca, przyznał rację królowej. Ba, oświadczył wprost, że jeśli król będzie obstawał przy swoim zamiarze, on sam opuści czym prędzej Adiabę; wszyscy bowiem będą mu tutaj wrody, uważając, że to on odciągnął króla od ojczystych bogów, pierwszy więc padnie ofiarą gniewu ludu. Dodał jednak słowa znamienne:

— Można przecież czcić Jahwe nie będąc obrzezanym. Rzeczą najważniejszą jest przestrzeganie Prawa!

Izates dał się przekonać. Wkrótce jednak potem przybył do Adiabeny sławny uczony w Piśmie, rabbi Eleazar z Galilei. Gdy wprowadzono go na pokoje króla, ten właśnie odczytywał zwoje 'ksiąg Zakonu. Lecz Eleazar, miast pochwalić pobożność, wydał się mocno zgorzszony. Rzekł:

— Nie będąc obrzezany, a oddając się takiemu studium, okazujesz lekceważenie Prawu, czyli samemu Bogu. Nie wystarczy pilnie czytywać Pismo. Chodzi głównie o to, by skrupulatnie wypełniać wszystko, czego ono żąda!

Król poddał się obrzezaniu jeszcze tego samego dnia, w sąsiedniej komnacie. Matkę i Ananiasza powiadomił o tym, gdy rzecz już się stała. Wbrew ich obawom nie doszło do żadnych zaburzeń. Właśnie to było jednym z powodów, dla których królowa pragnęła złożyć w jerozolimskiej świątyni dary dziękczynne. Izates wspaniale ją zaopatrzył i osobiście odprowadził aż do granic swego władztwa.

Historia nawrócenia panującej w Adiabenie rodziny zasługuje na uwagę z różnych powodów. Przede wszystkim stanowi znamieny przykład gorliwości, z jaką ówczesni Żydzi uprawiali propagandę religijną, co z kolei pozwala lepiej zrozumieć misyjny zapał pierwotnych chrześcijan jako zjawisko mające swe wzory i paralele. Dalej, mamy tu do czynienia z przypadkiem apostazji, czyli odstępstwa od wiary przodków, lecz jest on odwrotnością postępku Tybe-riusza Aleksandra z tegoż mniej więcej okresu. Wątpliwości i wahania adiabeńskich neofitów pouczają też, i to w sposób jaskrawy, co najbardziej prze-

szkadzało nawet zdecydowanym sympatykom żydo-stwa w pełnym przyjęciu Zakonu. Spotykamy wreszcie w tej opowieści zastanawiającą postać Ananiasza. Głosi on poglądy z punktu widzenia żydowskiej prawo-wierności wręcz heretyckie. Poglądy tak niezwykle, że pewni uczeni skłonni byłiby widzieć w owym kupcu ni mniej, ni więcej tylko chrześcijanina, a w każdym razie kogoś, kto zetknął się z naukami apostoła Pawła! Ten bowiem głosił niemal od pierwszych dni swej działalności to, co później wyraźnie sformułował w II rozdziale listu do Rzymian:

„Żydem nie jest ten, kto nim jest na zewnątrz, ani obrzezanie nie jest to, które jest widoczne na ciele. Prawdziwym żydem jest ten, kto nim jest wewnątrz, a prawdziwym obrzezaniem jest obrzezanie serca, duchowe, a nie według litery. A ktoś taki otrzymuje pochwałę nie od ludzi, lecz od Boga!”

Cóż innego rzekłby Ananiasz, gdyby doszło do dysputy pomiędzy nim a rabbi Ełeazarem?

Czyżby więc aż do Adiabeny dotarł uczeń apostoła? I to w latach tak wczesnych? Czyżby Izates stał się pierwszym w świecie władcą chrześcijańskim? A jego matka Helena, pielgrzymująca nabożnie do Jerozolimy, pierwowzorem innej Heleny? Tej, która jako matka pierwszego chrześcijańskiego cesarza Rzymu, Konstantyna Wielkiego, zawitała do świętego miasta w niecałe trzy wieki później i upamiętniła swój pobyt wielkimi budowlami?

W każdym razie przybycie królowej okazało się ogromnym szczęściem dla mieszkańców miasta. Władczyni rozporządzała dzięki hojności syna ogromnymi pieniędzmi, a ujrawszy rozmiary i skutki klęski głodu podjęła natychmiast akcję charytatywną. Wyprawiła swych ludzi do Aleksandrii, by kupili tam zbo-

że. Innych wysłała na Cypr; ci sprowadzili cały ładunek okrętowy suszonych fig. Ziarno i owoce rozdzielono wśród najbardziej potrzebujących. Wkrótce nadeszły też dalsze pieniądze od króla Izatesa.

W Jerozolimie przebywała Helena przez wiele lat. Zatroszczyła się w tym czasie także o to, by przygotować sobie i swej rodzinie miejsca wiecznego spoczynku u bram świętego miasta.³⁷

GROBOWIEC HELENY

W odległości ponad siedmiuset metrów od bram Damasceńskiej znajduje się grobowiec podziemny o kilkunastu kutyh w skale komorach. Niegdyś stały nad nim, jak to poświadcza Józef Flawiusz, trzy duże jakby piramidy kamienne. Ten wspaniały monument, najokazalszy w okolicach Jerozolimy, niektórzy pisarze starożytni porównywali nawet do sławnej budowli zdobiącej grób króla Mauzolososa w Azji Mniejszej; tej, która dała imię wszystkim mauzoleom późniejszym. Opowiadano również, że raz w roku, zawsze w tym samym dniu i o tej samej godzinie, tajemniczy mechanizm otwiera na krótko ciężkie, marmurowe drzwi wiodące do wnętrza podziemia; lecz gdy drzwi znowu się zamkną, nie ustąpią już przed żadną siłą. Jeszcze w IV wieku widział trzy piramidy wielki historyk Kościoła, biskup Euzebiusz. Potem stopniowo je rozebrano, choć podobno jeszcze w wieku XVII jedna z nich stała na swym miejscu; kamienie i płyty posłużyły przy wznoszeniu różnych budowli. Natomiast część podziemna, choć obrabowana i zniszczona, wciąż imponowała swym ogromem i resztkami

świątyni, prawdziwie królewskiego wystroju. Powstała więc opowieść, że właśnie tu spoczywają dawni władcy Judei; stąd też tradycyjnie nazywa się już od wieków to miejsce grobowcem królów.

W roku 1839 ów imponujący zabytek zwiedzał pielgrzymujący po Ziemi Świętej Polak, biskup Ignacy Hołowiński. Opublikowany przezeń opis cenny jest również dlatego, że obrazuje stan rzeczy z okresu poprzedzającego rozpoczęcie tam systematycznych badań.

Przytaczam obszernie wyjątki z jego sprawozda-

^{38.}nia

„W pośrodku góry skalistej widzisz jakby ogromną cysternę, do której wchodzi się ze wschodniego boku przez bramę łukową, wykutą w dolnej części opoki. Za wejściem ta cysterna przedstawia pyszny dziedziniec, na 30 kroków długi i szeroki, a czterema gładkimi ścianami z jednej skały otoczony wzwyż na jakich 13 łokci.”

Naprzeciw tej bramy, jak pisze dalej Hołowiński, znajduje się wykuta w skale niby pieczara, długości dwunastu, a szerokości pięciu kroków, prowadząca już do podziemia. Szczególny zachwyt zwiedzającego wzbudziło zdobienie skały nad tym otworem:

„Pod gzymsem ładnej roboty idzie szlak szeroki z płaskorzeźbą trzech laseczek, kółka, gałązki palmowej, dębowego wieńca i winnego grona, co wszystko na przemian kładzione stanowi bogatą fryzję. Na samej zaś krawędzi idzie pod pierwszym drugi szlak złożony z liści palmowych, szyszek sosnowych, cytryn i winnej latorośli. A z taką wytworną sztuką one wyrobione i ułożone w jedną girlandę, że całość może do najświetniejszych czasów kunsztu należeć. W samym układzie daje się postrzegać właściwy ka-

prys wschodni, co się w arabeskach później przedstawił.”

W tym miejscu wypada sprostować i uzupełnić słowa autora. Wyobrażenia owocu cytryny wśród ornamentyki fryzu oczywiście nie ma i być nie mogło, bo w starożytności w ogóle go nie znano, chodzi więc ponad wszelką wątpliwość o jabłko granatu. Natomiast winne grona, ułożone wśród wieńców lub liści palmowych, przedstawione zostały na tej płaskorzeźbie w formie trzech kiści. Otóż podobne reliefy spotyka się również na niektórych innych pomnikach ju-dejskich z tego okresu. Każde to przypuszczać, że mamy do czynienia z symbolem zdobnictwa świątyni jerozolimskiej. Wiadomo, że znajdowała się tam nad bramą wiodącą do wnętrza przybytku szczytowa latorośl winna, a z niej zwisało równie szczytowe grono — ogromne, bo wielkości człowieka; było ono darem Żydów żyjących w kraju i poza jego granicami, a wciąż jakby rosło, pobożni bowiem pielgrzymi za każdą swą bytnością w świętym mieście przydawali coś tej wspaniałej ozdobie.

Tak więc fryz niezmiernie się podobał naszemu podróżnikowi, mającemu zresztą, jak świadczą o tym liczne jego wypowiedzi, wyrobiony i dobry smak. Wszedłszy jednak przez pieczarę do wnętrza zwiedzający ujrzał ze smutkiem i zgorszeniem obraz straszliwej ruiny:

„Po trzech lub czterech stopniach wchodzi się do małego w kwadrat lochu, napelnionego śmieciem i gruzem. Tam widzisz po lewej stronie główny wchód do pieczar królewskich, ale tak zasypany, że tylko pełzając można wejść do wielkiej, czworobocznej sali, z której przechodzi się do sześciu następnych pokoi nierównej wielkości. Każdy pokój ma po

ścianach siedem lub ośm framug grobowych. Prócz tego na kamiennych ławach w żywych skałach wyciętych u samego dołu stoją sarkofagi albo kamienne skrzynie oddzielnie wycięte w kształcie naszych trumien z kamiennymi pokrywami, mającymi na wierzchu piękną płaskorzeźbę wieńca dębowego. Niektóre pokrywy jeszcze na miejscu zostały, lecz najczęściej pobitych leży. W skrzyniach widać małe podniesienia, jakby wezglowia; w nich jeszcze Radziwiłł widział kości, dzisiaj nic nie ma. W grobach znajdują się małe kanały dla ścieku wszelkiej nieczystości.

Dwa ostatnie pokoje są nieco niżej w skale wykute i po siedmiu stopniach zasypanych śmieciem można się tam spuszczać. Sądząc po płaskorzeźbach zdaje się, że w tych dwóch pokojach były główne groby, dziś całkiem porujnowane. Jedną stąd kamienną skrzynię, czyli sarkofag, widziałem w pomocnym rogu miasta przy wykutej cysternie, służąca za koryto do napojenia bydła!

W całej tej skalistej budowie nie masz obcego kamienia, wszystko z tej samej opoki twardego wapiennika. Przy oglądaniu dzieła godnego zwać się królewskim podziwiasz ostatnie wykończenie, nadzwyczajną regularność i gładkość w porządku i kuciu, pełną wdzięku delikatność w płaskorzeźbach, tak że dziś przy całym postępie nic lepszego zrobić nie mogą. Lecz najczęściej zdumiewały wędrowców drzwi kamienne, których jeszcze było troje na zawiasach w 1681 roku, a jedne za pobytu P. Chateaubrianda. Teraz wszystkie przy każdym pokoju pobite lub powalone leżą. Razem z hakami i zawiasami, na których się obracały, były kute z jednego kamienia."

Następnie biskup zastanawia się, czyje to, prochy spoczywały w tym tak wspinałym grobowcu, rozpa-

trując kolejno różne wysuwane wówczas poglądy. Królów Judei? Przywódców żydowskich w czasach panowania perskiego? A może rodziny Heroda? Tezę, że chodzi o monument władczyni adyabeńskiej, Hołowińskiej całkowicie odrzuca, argumentując tak: „bo co się tycze Heleny, niepodobna przypuścić, aby tak obszerne groby z tak ogromnym kosztem kowano dla jednej kobiety”. Polak nie był zresztą w tej opinii odosobniony; podzielała ją sporo najwybitniejszych archeologów współczesnych. Należał do ich grona także Francuz F. de Sulcy, który w grudniu roku 1863 odkrył właśnie tam komorę tak świetnie zamaskowaną, że w ciągu wszystkich wieków uszła uwagi zarówno rabusiów, jak i zwiedzających — Hołowińskie-go oczywiście nie wyłączając. W komorze stał nietknięty sarkofag kamienny. Podniósłszy wieko ujrzano dobrze zachowany szkielet długości około 160 cm; miał on ręce skrzyżowane na brzuchu, a leżał w masie butwiejących szczątków. W zetknięciu z powietrzem kości rozsypały się niemal natychmiast w proch i pył. Pozostało tylko kilka ułamków — szczeka dolna z zębami, jabłko kolana, część kości jednego z palców — oraz drobne fragmenty odzieży i ozdób; wszystko to, jak i sam sarkofag, znajduje się obecnie w muzeum Luwru. Sulcy, który dotychczas mniemał, że w podziemiach grobowca spoczywali królowie panujący nad Judea po Dawidzie i Salomonie, musiał się zachwiać w swym przekonaniu. Oto bowiem na jednym z dłuższych boków sarkofagu dostrzegł pomiędzy rozetami napis w dwóch rodzajach pisma, a mianowicie w dawnej odmianie alfabetu syryjskiego i hebrajskiego, w obu jednak wypadkach powtarzający w tym samym języku, to jest po aramejsku, tytuł i imię „Królowa Saddah”. Zdaniem większości ba-

daczy było to semickie imię władczyni adyabeńskiej, która wobec świata greckiego występowała jako królowa Helena; zresztą i to ostatnie imię odczytano na stempelku naczynia glinianego, porzuconego w gruzie grobowca. Cały układ podziemnych komór, wspomniane napisy, ich język, a zwłaszcza ornamentyka fryzów skalnych i sarkofagów wskazują bezspornie, że chodzi o zabytek nie z odległej epoki królewskiej, lecz z czasów późniejszych, rzymsko-greckich. Argument zaś Hołowińskiego, że tak ogromnego grobu nie wykonano by takim nakładem kosztów tylko dla jednej osoby, jest zupełnie bezprzedmiotowy: jak wiele współczesnych i podobnych w Palestynie, jest to grobowiec rodzinny, przeznaczony na wieczny spoczynek nie tylko Heleny, lecz i wszystkich jej bliskich — a było ich wielu.

Król Izates zmarł w swym kraju nad górnym Tygrysem w pięćdziesiątym piątym roku życia, a dwudziestym czwartym panowania; według obecnej rachuby był to zapewne rok 62, a cesarz Neron władał Imperium już dziewięć lat. Pan Adiabeny pozostawił po sobie dwudziestu czterech synów i tyleż córek, oczywiście z różnych żon; poligamia stanowiła niemal regułę na Wschodzie wśród warstw zamożniejszych, Zakon zaś wcale jej nie zakazywał, przeciwnie, uważał za obyczaj normalny. Pięciu synów król wysłał do Jerozolimy jeszcze za swego życia, aby tam nauczyli się języka współwyznawców i odebrali właściwe wychowanie pod opieką Heleny. Natomiast tron kraju przejął jego starszy brat Monobazos, również sprzyjający żydostwu. Królowa, choć już od wielu lat mieszkała stale w Jerozolimie, powróciła do swej ojczyzny natychmiast po otrzymaniu żałobnej wiadomości; z pewnością pragnęła zabrać zwłoki syna i zło-

żyć je w grobowcu, który przygotowała w pobliżu świętego miasta z takim nakładem starań i kosztów. Zmarła jednak — była przecież kobietą w wieku bardzo podeszłym — wnet po przyjeździe do kraju. Stało się więc tak, że do Jerozolimy ruszył kondukt z dwiema trumnami, a jedna z nich, królowej, spoczęła w komorze odkrytej dopiero w roku 1863. W tymże grobowcu złożono w kilka lub kilkanaście lat później kości króla Monobazosa. A więc trzy piramidy oznaczały, że jest to monument trzech osób godności monarszej. Pochowano wszakże w podziemiu wielu innych członków rodziny, a wśród nich także księżniczkę Grapte; jej pałac jerozolimski, jak pamiętamy, stanowił w roku 68 i 69 główną kwaterę Jana z Gischali. Kości zmarłych kładziono albo do sarkofagów, których szczątki do dziś się zachowały, albo też wprost na owych framugach, wyciętych w żywej skale, o których wspomina Hołowiński.

Lecz jedno z najciekawszych znalezisk w grobowcu, pominięte lub nie dostrzeżone przez pielgrzyma z Polski, to duży kamień, wielkości i kształtu młyńskiego; niegdyś służył on do „zataczania” wejścia do właściwego podziemia. Był to sposób zamykania grobu stosowany dość często w Palestynie; inny tego rodzaju gład zachował się w grobowcu Herodów, pochodzącym również z pierwszych dziesięcioleci naszej ery. Kto patrzy na te gładzy, przypomnieć sobie musi słowa i zdumienie trzech kobiet — Marii Magdaleny, Marii Jakubowej i Salome — które w pierwszy dzień po sabacie, wczesnym rankiem o wschodzie słońca, przyszły, aby namaścić zwłoki leżące w grobie Józefa z Arymatei. Po drodze mówiły do siebie:

— Któż odtoczy nam kamień z drzwi grobowca?

Lecz zbliżywszy się ujrzały, że już został odtoczo-

ny; a był bardzo wielki. Weszły więc do środka. Zobaczyły młodzieńca siedzącego po prawej stronie od wejścia i mającego na sobie szatę białą.

TYBERIUSZ ALEKSANDER I ADIABENŹYCY

(jrrórb zbudowany przez Helenę przetrwał aż do naszych czasów jako jeden z najokazalszych i najcenniejszych zabytków architektury jerozolimskiej z okresu bezpośrednio poprzedzającego wybuch wielkiej wojny przeciw Rzymianom. Przepadły natomiast i wraz z samą świątynią uległy całkowitemu zniszczeniu kosztowne dary, jakie złożyła tam Helena oraz Monobazos. Ten ostatni ofiarował złote uchwyty do naczyń liturgicznych, królowa zaś aż dwa złote przedmioty dużych rozmiarów. Jednym z nich było zwierciadło, umieszczone nad samą bramą przedsionka przybytku w ten sposób, że o wschodzie słońca promienie padały na jego gładką, lśniąca powierzchnię i sprawiały, że jaśniało niby gwiazda gorejąca, niby drugie słońce. Innym darem Heleny była wielka tablica, na której wypisano długie przykazania Zakonu o karaniu żon niewiernych. Ciekawe, że kobieta uznała właśnie ten tekst za najgodniejszy uwiecznienia na szlachetnym kruszcu!

Wszelako królewski ród neofitów nie szczędził dla swej przybranej ojczyzny nie tylko złota, lecz i ofiary znacznie cenniejszej, bo własnej krwi. Książęta z nadgórnego Tygrysu pospieszyli z pomocą natychmiast, gdy przysły lata ciężkiej próby dla ziem położonych nad Jordanem. Walczyli u boku Żydów od samego początku, a więc od roku 66, wyróżniając się

odwagą w bitwie, dzięki której zwycięsko odparto spod samej Jerozolimy korpus Cestiusza Gallusa. Wytrwali zaś do samego końca, znosząc wraz ze swymi współwyznawcami głód i cierpienia, coraz srozsze w miarę, jak Rzymianie zaciskali pierścień zagłady.

Pod koniec sierpnia roku 70 legionści już zdobyli i spalili świątynię, lecz powstańcy jeszcze zajmowali miasto, gotując się do straceńczej walki. Wtedy to Tytus przemówił do ich przywódców, stojących po drugiej stronie wąwozu, który oddzielał świątynię od dzielnicy zwanej Górnym Miastem. Do dziś zachowały się niższe partie właśnie tego muru, na którego parapet wstąpił wówczas Tytus; mur, wzniesiony z głazów doskonale dopasowanych, znany jest od wieków pod nazwą Ściany Płaczu. Wódz rzymski wzywał swych przeciwników, by poddali się natychmiast i bezwarunkowo. Wołał:

— Nieszczęśni, w czym jeszcze pokładacie nadzieję? Wasz naród jest już trupem, świątyni nie ma, miasto na mojej łasce, wasze dusze oto w tych moich rękach! Ufacie może, że ginąc w ten sposób zdobędziecie kiedyś sławę bohaterów? Nie będę wiódł sporu z waszym szaleństwem. Powiem krótko: jeśli rzucicie broń i poddacie się bez żadnych warunków, daruję wam życie!

Tamci odpowiedzieli, że nie mogą zdać się na jego łaskę, przysięgli bowiem na wszystkie świętości nigdy tego nie uczynić. Błagali natomiast wciąż i z uporem, by pozwolił im odejść stąd wraz z kobietami i dziećmi. Przekroczą spokojnie wał oblężniczy i pójdą gdzieś daleko na pustynię, a jemu pozostawią bez walki całą Jerozolimę i wszystko, co tu nagromadzono!

Tytus oburzył się: oto ludzie, którzy prawdziwie

znaleźli się już w sytuacji pojmanych, jeszcze ośmielają się stawiać warunki, tak jak gdyby sami byli zwycięzcami! Rozkazał więc obwieścić heroldom:

— Nie będę już przyjmował zbiegów. Nie wolno liczyć na moją łaskę. Nie oszczędzę nikogo. Walczcie •ze wszystkich sił i sami próbujcie się ratować, jeśli tylko potraficie. Ja będę odtąd postępował zgodnie z surowym prawem wojny. Bezwzględnie i bezlitośnie.

Jednocześnie wydał przez oficerów rozkaz swoim żołnierzom:

— Wolno rabować miasto!

Co oczywiście podnieciło zapal wojsek gotowych do ostatecznego szturmu. Dnia następnego legionieści wtargnęli do dzielnicy Akra. Od ognia przez nich podłożonego spłonęło archiwum i region zwany Ofla. Ogień dotarł aż do pałacu Heleny, stojącego w środku dzielnicy. Paliły się budynki przy ciasnych uliczkach i domy pełne trupów tych, którzy już przedtem zmarli z głodu, ran i chorób. Właśnie wtedy stanęli przed Tytusem synowie i bracia króla Izatesa wraz z garstką najprzedniejszych obywateli. Błagali wodza, by okazał im litość. On zaś, choć pełen gniewu, ponieważ wczoraj 'odtracono jego dłoń wyciągniętą, tym razem ustąpił i darował im życie. Rozkazał jednak oddać wszystkich pod straż, później zaś synów i krewnych króla Adiabeny poprowadził w więzach do Rzymu. Tam mieli pozostać jako zakładnicy i gwarantować swymi osobami lojalność kraju nad Tygrysem, który wciąż wahał się w swej polityce między rzymskim Imperium a Persją.

Nie ulega wątpliwości, że adiabieńscy książęta zawdzięczali swe ocalenie przede wszystkim Tyberiuszowi Aleksandrowi. Był on wtedy, to jest w roku 70, najwyższym rangą oficerem w armii Tytusa. Łatwo

się domyślić, dlaczego orędownął za błagalnikami: pomny był tego, że przed dwudziestu kilku laty, kiedy on sam jako prokurator Judei musiał ratować ten kraj przed głodem, doznał ogromnej pomocy ze strony ich matki lub babki, królowej Heleny. Mówiąc wszakże o tym, co miało się wydarzyć dopiero w roku 70, przeskoczyliśmy duży szmat czasu, prawie ćwierćwiecze; wypada więc cofnąć się jeszcze i przedstawić stopnie Tyberiuszowej kariery.

JUDEA, ARMENIA, EGIPT

/i czasów, gdy Tyberiusz Aleksander zarządzał Judea, dziejopisarze zanotowali prócz klęski głodu jeszcze jedno wydarzenie godne uwagi: oto tamtejsi fanatycy religijni usiłowali wyzyskać niezadowolenie cierpiącej ludności i wywołać rozruchy. Lecz prokurator zdusił wrzenie szybko i twardą ręką. Dwóch przywódców buntu ukrzyżował; byli nimi bracia Jakub i Szymon, synowie tego Judy Galilejczyka, który jedno pokolenie wstecz dał prawdziwy początek sekcie i ruchowi Żarliwych, mających odegrać tak ogromną rolę w dobie powstania.

W roku 48 zmarł Herod, książę Chalkis, mąż Bere-niki. Wkrótce potem, lecz chyba jeszcze w tym samym roku, odszedł z urzędu Tyberiusz Aleksander. Możliwe, że między tymi dwoma faktami istniał jakiś związek: ponieważ śmierć księcia nieco zmieniła sytuację polityczną w Palestynie, zawsze chwiejną i zmienną, władze rzymskie uznały za właściwe powierzyć administrację tej części kraju nowemu człowiekowi. Lecz następcy Aleksandra w Judei, ludzie

przeważnie małostkowi, brutalni i chciwi, stosowali politykę bezwzględного ucisku, wręcz prowokując ludność do oporu i buntów, co z kolei wywoływało rzymskie represje i pacyfikacje, coraz okrutniejsze. Błędne koło wzajemnych pretensji i rosnącej nienawiści musiało wreszcie doprowadzić do katastrofy, to jest do wybuchu powstania w roku 66.

Nie wiemy, gdzie przebywał Tyberiusz Aleksander po opuszczeniu judejskiej prokuratury i jakie piastował godności. Spotykamy go dopiero w roku 63, i to w krainie bardzo odległej od Palestyny, bo aż nad górnym Eufratem i Tygrysem, a więc na ziemiach sąsiadujących z Adiabeną. Tam, na pograniczu armeńskim, stała wówczas potężna armia rzymska pod wodzą Domicjusza Korbulona. Miała w razie potrzeby rozpocząć działania ofensywne przeciw Fartom. Liczyła cztery legiony i wiele kohort posiłkowych, łącznie 60 000 ludzi. Tyberiusz Aleksander należał do sztabu owego zgrupowania wojsk. Jednakże do zbrojnego konfliktu z Fartami wówczas nie doszło. Przeciwnie, król Tyrydates zgodził się na rokowania. Tacyt pisze w księdze XV „Roczników”:

„W umówionym dniu Tyberiusz Aleksander, znakomity rycerz rzymski, dodany Korbulonowi jako komisarz wojenny (dosłownie: „minister bello datus”), i Winicjanus Anniusz, zięć Korbulona, który nie osiągnął jeszcze wieku senatorskiego, a już w zastępstwie legata piątym legionem dowodził, udali się do obozu Tyrydatesa, aby go w ten sposób uczcić i aby wobec takiej rękojmi nie obawiał się zasadzki”.³⁹

Ta krótka wzmianka najlepiej dowodzi, jak ważną osobistością wśród rzymskich dostojników był wówczas bratanek żydowskiego filozofa z Aleksandrii. Lecz w trzy lata później wspiął się on jeszcze wyżej.

Wiosną roku 65 objął jedno z najświetniejszych i najbardziej wpływowych stanowisk dostępnych dla ludzi jego warstwy, to jest dla ekwitów: cesarz Neron mianował go prefektem Egiptu. Tak więc Tyberiusz Aleksander został wielkorządcą kraju, w którym się urodził i wychował. Nominacja była tym znamiennejsza, że Neron — o tym mówiono powszechnie i głośno — zamierzał zaraz po swej greckiej podróży wyjechać właśnie nad Nil, aby stamtąd poprowadzić wyprawę wojskową daleko na południe, za katarakty, aż ku tajemniczym źródłom wielkiej rzeki i zbadać przyczyny jej corocznych, regularnych wylewów. Z powodów oczywistych prefekt Egiptu musiałby odgrywać w tych planach i przygotowaniach rolę bardzo ważną, wręcz kluczową. Toteż dwór cesarski na pewno niezwykle skrupulatnie badał różne kandydatury, szukając osoby odpowiedzialnej, energicznej, godnej pełnego zaufania.

Na wieść o wspaniałym awansie Aleksandra król Agryppa II, władający wtedy ziemiami nad jeziorem Genezaret, pospieszył wiosną roku 66 do stolicy Egiptu, by złożyć osobiście swe gratulacje. Natomiast siostra króla, Berenika, wdowa po księciu Herodzie z Chalkis, choć zwykle nie odstępowała brata na krok, tym razem pozostała w Jerozolimie; jako kobieta nader pobożna pragnęła dopełnić w świątyni pewnych obrzędów religijnych, związanych ze ślubami tak zwanego nazyreatu. Tutaj stała się świadkiem przyjazdu prokuratora Gesjusza Florusa i krwawych zająć tym wywołanych; rozruchy te, stopniowo przybierając na sile, doprowadziły wkrótce do wybuchu powstania i wojny. Wszystko, co się działo w Judei, znajdowało natychmiast swe odbicie w Aleksandrii, gdzie zamieszkiwało, jak była mowa, tysiące Żydów;

w całym Egipcie liczone ich ponoć milion. Doszło do gwałtownych zamieszek, lecz prefekt Tyberiusz Aleksander, choć sam Żyd z pochodzenia, stłumił je natychmiast i bezwzględnie, rzucając obozujące pod miastem legiony na prawie bezbroną ludność dzielnicy żydowskiej. Stryj i wychowawca Aleksandra, Fi-lon, nie dożył tej chwili — na szczęście dla siebie.

W dwa lata później, w czerwcu roku 68, te same legiony złożyły w obliczu swego prefekta przysięgę wierności nowemu cesarzowi, Galbie. Po upływie siedmiu miesięcy, w lutym roku 69, przysięgały przed tymże prefektem na imię cesarza Othona, by już po trzech miesiącach znowu ślubować wierność Witeliuszowi. A więc w owym burzliwym okresie Tyberiusz Aleksander zachowywał niewzruszoną lojalność wobec stolicy Imperium, ispokojnie i bez oporów przyjmując wszelkie stamtąd płynące rozkazy. Los swój związał z Rzymem na stałe, na złe i dobre; a Rzym był tylko jeden. I oto w dniu 1 lipca roku 69 tenże Tyberiusz Aleksander jako pierwszy w całym Imperium ośmielił się uczynić krok samowolny, zuchwały, buntowniczy, o skutkach nieobliczalnych i nieodwracalnych! Wbrew temu, co już zatwierdził senat, a co kornie przyjęły wszystkie prowincje i armie, wbrew niedawnej przysiędze swojej i legionów, wypowiedział posłuszeństwo cesarzowi już rezydującemu na Palatynie i wysunął przeciw niemu kogoś, kto z czysto legalnego punktu widzenia był tylko uzurpatorem.

TYBERIUSZ ALEKSANDER I BERENIKA

Kto poznał koleje życia Tyberiusza Aleksandra, powie, że poparł on Wespazjana powodowany nienasyconą ambicją; tą samą, która już poprzednio kazała mu dla wielkiej kariery zerwać z wiarą ojców, wysługiwać się panom świata, trzymać twardą ręką swych pobratymców. Prefekt widocznie wykalkulował trzeźwo, że od Witeliusza, którego nie znał i któremu nie miał okazji pomóc, może spodziewać się tylko jednego: honorowej dymisji, i to już w najbliższym czasie, co byłoby ostatecznym kresem znaczenia politycznego. Jeśli natomiast opowie się za Wespazjanem, podejmie duże ryzyko, lecz zarazem otworzy przed sobą świetne perspektywy, a w razie zwycięstwa stanie się jedną z pierwszych osób w Imperium, należąc do ścisłej ekipy rządzącej, tuż po samym Wespazjanie, Tytusie i Mucjanie. Gra hazardowa, ale wiele przemawia za tym, by ją podjąć!

Można więc założyć, że Tyberiusz Aleksander był skłonny do zdradzenia sprawy Witeliusza z przyczyn racjonalnych. Z drugiej wszakże strony musiał istnieć ktoś, kto powiadomił go dyskretnie, że przygotowuje się bunt przeciw temu cesarzowi; ktoś wtajemniczony od samego początku w plany Mucjana i Tytusa, cieszący się ich całkowitym zaufaniem, a zarazem mający bezpośredni dostęp do prefekta Egiptu i absolutnie przekonany, że może rozmawiać z nim o najskrytszych zamiarach nie obawiając się wydania. Była jedna i tylko jedna osoba, w ówczesnym świecie, spełniająca te wszystkie warunki: - Berenika, siostra króla II.

Oboje, Berenika i Tyberiusz Aleksander, byli Żydami, choć bardzo się różnili w swym stosunku do tradycji religijnej. Ona wypełniała obrzędy wręcz de-wocynie, podczas gdy on jawnie wzgardził podstawowymi przykazaniami Zakonu i stał się apostatą. Oboje należeli do grupy rodów niezmiernie bogatych i jak większość jej przedstawicieli w krajach Wschodu ulegli całkowitej hellenizacji; myśleli i prawdziwie swobodnie mówili tylko po grecku. Dawne małżeństwo Bereniki z Markiem, bratem Aleksandra, choć tak krótkotrwałe i nawet nie spełnione, połączyło ich jednak więzią rodzinną, co w owych czasach i kręgach znaczyło bardzo wiele. Oczywiście prefekt orientował się doskonale — bo i któż z możliwych wtedy o tym nie wiedział, zwłaszcza na Wschodzie? — że Tytus kocha Berenikę, kobietę starszą od niego o lat kilkanaście, i że ona jest mu również jawnie przychylna. Był to w rozumieniu Tyberiusza Aleksandra dodatkowy, a nader ważny powód, by poprzeć sprawę Wespazjana. Łatwo przecież dało się przewidzieć, że gdy w swoim czasie Tytus obejmie władzę po ojcu, człowieku już posuniętym w latach, Berenika u jego boku potrafi zapewnić olśniewającą przyszłość wszystkim osobom z nią związanym.

I jeszcze z jednej przyczyny działało wspólnie tych dwoje — prefekt Egiptu, będący bratankiem żydowskiego filozofa, który tak gorąco umiłował przeszłość i religijne posłannictwo swego ludu, oraz żydowska księżniczka, prawnuczka wielkiego Heroda, tego, który odrodził Palestynę gospodarczo, umocnił ją twierdzami, uświetnił wspaniałą rozbudową jerozolimskiej świątyni. Przyczyną tą była wojna w Judei. Oboje potępiali szaleństwo mieszkańców tego kraju i usilnie pomagali Rzymianom w tłumieniu powstania, uważając je **za**

obłąd i katastrofę dla bytu narodowego. Zarazem jednak oboje szczerze pragnęli ocalić Judeę, a zwłaszcza Jerozolimę i świątynię, przed całkowitym zniszczeniem. Otóż łatwo było przewidzieć, że obwołanie Wespazjana cesarzem doprowadzi do groźnych perturbacji i konfliktów, a nawet walk pomiędzy Rzymianami, choć jeszcze nie ucichły echa i nie zabiły rany krwawych zmagania pod Bedriakum. Było też oczywiste, że wodzowie Wespazjana wyruszając przeciw bitnym legionom germańskim Witeliusza zabiorą znaczne siły ze Wschodu, co wielce osłabi rozmach działań wojennych i odsunie na czas jakiś groźbę ostalczego uderzenia na miasto święte; święte, choć obecnie pastwią się nad nim obłąkami fanatycy! Berenika i Tyberiusz Aleksander mogli też ufać, że dzięki tej zwłoce opamiętają się nawet najzarliwsi z Żarliwych i że do głosu dojdą żywioły umiarkowane, przezorne, mające już dość bluźnierstw, gwałtów, bratobójczych mordów. Gdyby zaś tak się nie stało, należało przypuszczać, że sami powstańcy utracą wiele krwi, wzajem i coraz zacieklej godząc w siebie; łatwo więc ulegną legionom, gdy te w pełnej sile kiedyś znowu powrócą na teatr działań. I wreszcie wypadało wierzyć, że z biegiem czasu także Rzymianie staną się wyrozumiali. W ten sposób wojna, grożąca śmiercią ludowi Judei, powoli by wygasła. W każdym zaś razie sprawą obecnie najważniejszą było zyskanie na czasie. Cóż mogło dopomóc w tym bardziej niż wysunięcie nowego kandydata do władzy nad Imperium? Czy istotnie wolno przypisywać Tyberiuszowi Aleksandrowi takie myśli, tak dalekosiężne plany, taką postawę? W pewnej mierze pozostać to musi w sferze hipotez. Z drugiej wszakże strony można tu przypomnieć pewien fakt znamienny, a zdający się świad-

czyć o tym, że bratanek Filona rzeczywiście pragnął ratować największe świętości tego ludu, którego wiary sam się wyparł i z którym więzy zerwał dobrowolnie. Że jednak, mimo swego odstępstwa, pragnął, jak zobaczymy, ratować to, co było żydostwu najdroższe, jeszcze w ostatniej chwili, niemal w ostatnich godzinach!

O LOS ŚWIĄTYNI

W drugiej połowie sierpnia -roku 70 legionści szturmujący obwód świątynny od strony już zdobytej twierdzy Antonia wtargnęli na zewnętrzny dziedziniec i podłożyli ogień pod biegnące wokół wspinałe kolumnady o stropach drewnianych. Mimo to powstańcy, zamknięci w dziedzińcach wewnętrznych, w samym przybytku i w budynkach przylegających, nie poddawali się i nie rezygnowali z walki. Portyki płonęły przez cały dzień i całą noc, lecz rankiem dnia następnego Tytus rozkazał gasić pożar i oczyścić teren przynajmniej w pobliżu bram; chciał w ten sposób ułatwić ruchy oddziałów, które lada godzina miały uderzyć na obleganych. Jednocześnie zwołał naradę wyższych dowódców. Uczestniczył w niej Tyberiusz Aleksander, legaci trzech legionów, prefekt obozu dwóch legionów z Egiptu, które przed kilku miesiącami przerzucono do Judei, prokurator Judei Antoniusz Julianus, a także trybunowie wojskowi i prokuratorzy różnych okręgów i agend. Tytus zwrócił się do zebranych z pytaniem jasno sformułowanym:

— Musimy obecnie zdecydować, jaki ma być los świątyni. Zachowamy ją czy też zniszczymy?

Natychmiast odezwały się głosy, by jej nie oszczę-

dzać i postąpić tak, jak nakazuje surowe prawo wojny, Żydzi bowiem nigdy się nie uspokoją i wciąż będą wzniecali powstania, póki istnieć będzie świątynia, ośrodek kultu i miejsce zborne wyznawców z wszystkich stron świata. Inni wszakże byli zdania, że można by ją ocalić, ale tylko wtedy, jeśli tamci wycofają się z budynku i nie będą go osłaniać z bronią w rękę; jeśli zaś załoga nadal by walczyła, trzeba by go spalić jako twierdze, a nie świątynię; w takim przypadku o bezbożność oskarży się Żydów, którzy zmusili Rzymian do podjęcia środków ostatecznych!

Tytus przychylił się właśnie do tego poglądu, a nawet poszedł jeszcze dalej. Oświadczył bowiem:

— Nie będę wywierał pomsty na martwych przedmiotach, choćby tamci uporczywie trzymali się w świątyni i nie zaprzestawali walki. Nie pozwolę, by z dymem poszedł przybytek tak wspinały, bo to przyniosłoby stratę nam samym; natomiast jeśli ocaleje, pozostanie na wieki ozdobą naszego Imperium!

Tyberiusz Aleksander poparł to zdanie. Podobnie uczynili też dwaj inni wyżsi oficerowie: Hateriusz Fronton, prefekt obozu legionów z Egiptu, oraz Sekstus Cerealis, legat legionu V. Na tym więc stanęło. Tytus zamknął naradę i rozkazał dać wypoczynek żołnierzom, aby skrzepili swe siły przed szturmem; pracować mieli tylko wybrani ludzie z każdej kohorty; ci, jak się rzekło, gasili resztki pożaru kolumnad i torowali drogę wśród ruin.

Taki był przebieg narady, jeśli wierzyć relacji, którą Józef Flawiusz umieścił w księdze VI swej „Wojny żydowskiej”.⁴⁰ Przebywał on wówczas w rzymskim obozie pod Jerozolimą, ciesząc się pełnym zaufaniem ze strony Tytusa i jego oficerów, usilnie bowiem po-

magął oblegającym. Podchodził pod same mury Jerozolimy, narażając się nawet na strzały i pociski, i głośno wzywał rodaków, by się poddali. W samej naradzie Józef oczywiście nie brał udziału, o tym wszakże, co tam mówiono i co zdecydowano, mógł dowiedzieć się szybko i dokładnie. Tak więc wydaje się, że jego świadectwo nie nasuwa żadnych wątpliwości i godne jest przyjęcia.

Istnieje wszakże jeszcze jeden przekaz dotyczący tejże narady; przekaz co prawda bardzo późny, pochodzi bowiem z końca wieku IV. Zawarty jest on w „Kronice” Sulpicjusza Sewerusa, chrześcijańskiego pisarza w Galii, piszącego oczywiście po łacinie. Biorąc pod uwagę przepaść czasu i przestrzeni, dzielącą tę relację od tego, co się działo w sierpniu roku 70 pod murami jerozolimskiej świątyni, skłonni bylibyśmy uznać z góry, że informacja Sewerusa nie ma żadnej wartości w porównaniu z Józefową. Byłby to — wszakże osąd zbyt pochopny. Przypuszcza się mianowicie, że Sewerus czerpał ze źródła bardzo wczesnego i wiarogodnego, to jest z zaginionych obecnie ksiąg „Dziejów” Tacyta, który z kolei oparł się na wspomnieniach bezpośredniego uczestnika narady. Był nim wymieniony już Antoniusz Julianus, prokurator Judei. Wiadomo o nim tyle tylko, że piastował ów urząd i z tej racji wziął udział w naradzie (to poświadcza Józef Flawiusz) oraz że później napisał dziełko, w którym samych Żydów obarcza winą za los, jaki ich spotkał (to znowu wspomina w ubocznej uwadze pewien autor chrześcijański z wieku II). Wypada więc uważnie przestudiować słowa Sewerusa, które brzmią w tłumaczeniu:

„Powiadają, że Tytus zwoławszy naradę rozważał najpierw, czy ma zburzyć świątynię tak wspaniałą.

Wydawało się bowiem niektórym, że nie należy niszczyć budowli świętej i sławnej ponad wszystkie dzieła śmiertelne; jeśli się ją zachowa, będzie świadectwem rzymskiego umiarkowania, zrujnowana natomiast — okrucieństwa. Przeciw temu wystąpili inni, a także Tytus. On to przede wszystkim uważał, że świątynię musi się zniszczyć, aby tym gruntowniej wykarczować religię Żydów i chrześcijan; te dwie bowiem, choć sobie przeciwne, wywodzą się wszakże od tych samych założycieli — chrześcijanie wyszli z Żydów, toteż po usunięciu korzeni latorośl łatwo zginie.” «

Lecz właśnie ta uwaga Tytusa o chrześcijaństwie i jego pochodzeniu sprawia, że wielu badaczy odsuwa relację Sewerusa jako całkowicie sfałszowaną. Wywodzą oni, że w roku 70 nowa religia była prądem jeszcze zbyt nikłym, by rzymski wódz mógł ją stawiać na równi z żydostwem — jeśli w ogóle o niej wiedział i słyszał; takie ujęcie można by zrozumieć i usprawiedliwić dopiero w czasach znacznie późniejszych, gdy wyznawcy Chrystusa stali się siłą potężną i niebezpieczną dla rzymskiej państwowości. Jednakże obrońcy tezy, że to właśnie Sewerus przechował prawdziwe dane o naradzie, zbijają także ten argument. Twierdzą mianowicie, że pisarz określił dobrze i zgodnie z wiarogodnym źródłem decyzje Tytusa o zniszczeniu przybytku, od siebie natomiast dodał tylko anachroniczne jej uzasadnienie.

Mógłby jednak ktoś zapytać, czy owa dyskusja nad rodowodem i wartością słów Sewerusa jest w ogóle potrzebna, skoro świadectwo Józefa Flawiusza musi i tak pozostać niezachwiane, wyniesione ponad wszelkie wątpliwości; był on przecież historykiem współczesnym i tak bliskim wydarzeniu! Otóż zachodzi

pewna okoliczność, która w znacznym stopniu podważa autorytet właśnie jego relacji: Józef mianowicie przejawia jako dziejopis w różnych sprawach nadmiar stronniczości, w szczególności zaś usiłuje zawsze przedstawić Tytusa, swego łaskawego opiekuna, w świetle jak najkorzystniejszym. Nie można więc wykluczyć, że w kwestii tak ważnej i drażliwej, jaką był stosunek wodza do sprawy zachowania lub zniszczenia przybytku, z całą premedytacją zniekształcił prawdę. Kazał swemu bohaterowi głosić pogląd wprost przeciwny temu, który on rzeczywiście reprezentował w czasie narady! Jeśli tak, to powstaje pytanie, kto był naprawdę rzecznikiem ratowania świątyni. Odpowiedzi całkowicie pewnej oczywiście nie uda się uzyskać, wydaje się wszakże wysoce prawdopodobne, że największą świętość swego ludu usiłował ocalić przed zagładą — apostata Tyberiusz Aleksander; jego to zdanie Józef przypisał Tytusowi!

Wspomniana stronniczość historyka umacnia to przypuszczenie. Nie lubił on egipsko-rzymskiego dostojnika i nie omieszkał zaznaczyć w swym dziele, że Tyberiusz Aleksander nie pozostał wierny religii ojców. Ta informacja, pozornie nader rzeczowa i powściągliwa, miała jednak głębszą wymowę w ustach Żyda, wymowę w pełni zrozumiałą tylko dla żydowskiego czytelnika. Właśnie w tych czasach wypadki apostazji stawały się bardzo częste; z jednej strony ku pogaństwu, z drugiej zaś ku rodzącemu się chrześcijaństwu. Nic dziwnego, że rabini coraz ostrzej i bezwzględniej potępiali odstępców. Nauczali, że spotka ich po śmierci los straszliwy, niemal taki, jaki czeka samobójców: rzuceni w otchłań bezdenną nie będą uczestniczyli w żadnej postaci życia przyszłego. Może więc Józef stara się umniejszyć niewątpliwa zasługę,

jaka było Aleksandrowe orędowanie za ocaleniem świątyni, każąc mu tylko podtrzymywać rzekomy pogląd Tytusa?

Nie od rzeczy będzie przypomnieć w tym miejscu, że i u Rzymian reneгат Tyberiusz Aleksander, choć obsypywany dostojenstwami, nie cieszył się szacunkiem; zwykły to zresztą los postaci jego pokroju we wszystkich epokach. Satyryk Juwenalis ujął to w formie szczególnie drastycznej. Mówiąc o posągach zwycięskich wodzów rzymskich, ustawionych w portyku przy Forum Augusta, dodaje złośliwie: „Pomiędzy nimi ośmielił się położyć swój napis jakiś Egipcjanin, alabarcha; lecz przy tej podobiznie nic tylko susiać przystoi!”⁴²

Lecz co z jednego punktu widzenia było apostazją, zaprzaństwem i odstępstwem, z innego jawiło się jako nawrócenie, znalezienie prawdy, porzucenie dawnych błędów, wejście na właściwą ścieżkę. Splotem tych drażliwych spraw pulsowało serce chrześcijaństwa; ruch ów był przecież w swej istocie schizmą w stosunku do żydostwa, a gminy jego, prowadząc od samego początku gorączkową działalność misyjną wśród żydów i pogan, składały się w pierwszych pokoleniach wyłącznie, w następnych zaś po większej części z ludzi, którzy przez swych dawnych współwyznawców byli potępiani jako apostaci. Echo gorących sporów odzywa się również w starochrześcijańskiej powieści. Pozostawiliśmy jej bohatera, młodego Klemensa, w Cezarei nadmorskiej, gdzie wysłuchał wywodów Piotra o syzygiach; wynikało z nich, że Szymon Mag jest współsprzężonym, lecz złym i szatańskim odpowiednikiem samego Piotra. Wtedy też padła wzmianka o Berenice, pobożnej niewieście z fenickiego Tyru.

W GOŚCINIE U BERENIKI

Opuściwszy Cezareę nadmorską przybyliśmy — ja, Klemens, wraz z Nicetasem i Akwilą — do Tym, miasta w Fenicji. Zgodnie z poleceniem Piotra, który nas wysłał, przyjęliśmy gościnę u Bereniki, pobożnej równie jak i jej matka Justa. Powitała nas jak najmilej; mnie, dopiero co poznanemu, okazywała szacunek, prawdziwą zaś miłość Nicetasowi i Akwili. Pełna radości rozmawiała z nami swobodnie niby bliska krewna i nalegała usilnie, abyśmy zatroszczyli się przede wszystkim o siebie. Rozumiejąc, że chce nas nakłonić do dłuższego odpoczynku, musiałem wyjawic jej cel naszej podróży:

— Słuszne to i godne pochwały, że starasz się dopełnić wszystkiego, co nakazuje siostrzana życzliwość, my jednak musimy przelożyć bojażń bożą nad-dbałość o własne wygody. Toczmy walkę w obronie losu wielu dusz ludzkich i lękamy się stawiać wyżej dobro naszego ciała od ich zbawienia. Doszły nas mianowicie wieści o czarowniku Szymonie. Toczył on z Piotrem dysputę w Cezarei, został tam pokonany, uciekł więc i obecnie podobno tutaj wiele zła czyni.' Wbrew wszelkiej prawdzie oczernia Piotra wobec każdego, kogo tylko spotka, i w ten sposób porywa dusz mnóstwo ku zgubie. Sam będąc czarownikiem, twierdzi z niesłychaną bezczelnością, że jest nim Piotr właśnie! Błąka się wszędzie jak włóczęga, ale zarzuca to Piotrowi. W czasie tamtej dysputy musiał uznać swą porażkę w każdym punkcie i uciekł z placu haniebnie, ale teraz rozgłasza, że to on zwyciężył. Ustawicznie napomina wszystkich wokół, aby przypadkiem nie słuchali słów Piotrowych. Niby to lituje się

nad bliźnimi, aby ich nie omamił ów straszliwy czarownik. Toteż gdy tylko pan nasz Piotr dowiedział się o tym, wysłał nas przodem, abyśmy pilnie zbadali, czy to prawda, o czym mu donoszą ze stron różnych; jeśliby tak było rzeczywiście, jak powiadają, marny mu napisać, a on przybędzie jak najrychlej i w oczy kłam zada tamtemu, raz jeszcze wykazując całą nicość jego oszczerstw, fałszerstw i sztuczek. Skoro więc, jak powtarzam, czeka nas walka o dusz tyle, musimy na czas pewien odsunąć wszelką troskę o ciała nasze. Chętnie natomiast usłyszelibyśmy od ciebie, stale tu mieszkającej, czy prawda to, czy też może wieści są zmyślane, bo i to się zdarza.

Na co Berenika:

— Wszystko jest właśnie tak, jak słyszeliście. Ale powiem wam jeszcze inne *rzeczy o Szymonie*, które może nie wszędzie są znane. Otóż potrafi on sprawić, że w jasny dzień ukazują się na rynku jakieś zwidy i mary tak straszne, że całe miasto drży przez wiele dni z lęku. Kiedy wychodzi z domu, posągi przy ulicach zdają się poruszać, a poprzedzają go liczne niby cienie; on sam przyznaje, że to dusze zmarłych. Wielu tu zarzucało mu wprost w oczy, że jest czarnoksiężnikiem. On udał, że chce się z nimi dogadać. Zaprosił wszystkich do siebie na ucztę, lecz ugościł najgorszymi chorobami i poddał władzy złych demonów. Doszło wreszcie do tego, że mnóstwo osób uważa go po prostu za istotę boską. Nie dość więc, że strachem obezwładnia, to jeszcze hołdy zbiera! Nie wierzę już, nie wierzę, by ktokolwiek zdołał ugasić ten ogień, który obejmuje i z wolna trawi całe miasto, nas wszystkich. Nikt tutaj nie ośmieli się powątpiewać w to, co Szymon rozgłasza. Każdy potwierdzi skwapliwie, że jego słowa są najczystsza prawdą. Dlatego i wam

z serca radzę, abyście w żaden sposób jawnie i pochopnie przeciw niemu nie występowali. Jeśli nie posłuchacie mnie, ściągnięcie na siebie niebezpieczeństwa straszliwe! Czekajcie cierpliwie, póki Piotr tu nie przyjdzie. Tylko on potrafi stawić czoło mocy tamtego. Ja sama także bardzo się boję Szymona. Gdyby nie to, że już przedtem w spotkaniu z Piotrem musiał się on uznać za pokonanego, gorąco bym was prosiła, abyście odwiedli nawet naszego pana od zamiaru przybycia tutaj i ponownej z nim walki!

Uspokoilem Berenikę tłumacząc jej, że Piotr na pewno dobrze sobie zdaje sprawę z wszystkiego. Jest świadom, do czego tamten jest zdolny, lecz zna też swoje siły; inaczej nie przysłałby nas tutaj.

Nastał wieczór. Po skromnej wieczerzy poszliśmy spać. Rankiem przyszedł ktoś z krewnych Bereniki. Opowiedział, co się stało tej nocy: Szymon niespodziewanie odpłynął na okręcie do Sydonu, pozostawił jednak w Tyrze trzech swoich uczniów najbliższych. Zapytaliśmy, co to za ludzie. Odrzekł, że pierwsze wśród nich miejsce zajmuje niejaki Appion Plejstonikos z Aleksandrii. Nazwisko to bardzo mnie zaintrygowało. Znałem przecież człowieka o tym samym imieniu i przydomku, także rodem z Aleksandrii. Bywał on u nas przed laty w Rzymie, bo ojciec mój Faustus chętnie go przyjmował jako męża uczonego i sympatycznego. Czyżbym obecnie znowu miał spotkać tego aleksandryjczyka? I to w Tyrze?

Drugim z pozostawionych uczniów Szymona był niejaki Anubion z egipskiego miasta Diospolis, astrolog z zawodu. Trzecim Atenodor z Aten, wielbiciel — ba, wyznawca filozofii Epikura.

Wszystko, co nam powiedziano o Szymonie, natychmiast spisaliśmy jak najdokładniej. Zaufany czło-

wiek wyruszył w drogę z listem do Piotra, my zaś wyszliśmy z domu Bereniki — słońce już dobrze się podniosło — aby przespacerować się po mieście, nim jeszcze skwar zacznie dokuczać.

SPOTKANIE Z APPIONEM

Po pewnym czasie ujrzelśmy na jednej z ulic tłum niemały kroczący nam naprzeciw. Przewodziło tamtej gromadzie trzech mężczyzn. Wyglądali bardzo godnie. Jeden z nich, idący niby wódz pośrodku, spojrzał na mnie uważnie. Potem rozpromienił się, uśmiechnął, ręce rozłożył szeroko i zapominając o dostojeństwie szybko podbiegł. Był to oczywiście Appion. Pozdrowiał mnie prawdziwie serdecznie, ścisnął i całował. Następnie odwrócił się ku swemu orszakowi, który obserwował tę scenę powitalną życzliwie, lecz z pewnej odległości, nie zapominając o szacunku należnym zastępcy mistrza. Wskazując mnie ręką Appion rzekł z emfazą:

— Oto Klemens, syn Faustusa, rodem z Rzymu. Ileż to razy opowiadałem wam o tym szlachetnym młodzieńcu! Ileż razy wychwalałem jego znakomitą rodzinę, piękny charakter, wszechstronne wykształcenie! Niestety, ten tak wartościowy człowiek dostał się jeszcze w Rzymie, jak wam mówiłem, w sidła pewnego barbarzyńcy. Obecnie znowu wodzi go i zwodzi sam Piotr. Nasz zacny Klemens dał się mu opętać do tego stopnia, że myśli i działa jak Żyd prawdziwy! Ja wszakże, korzystając z tej sposobności, którą sami bogowie zesłali, poproszę was wszystkich o pomoc. Będą usiłował ratować młodziana, tak miłego memu sercu. Zadam mu różne pytania. Wy wszyscy staniecie

tu jako świadkowie i sędziowie zarazem tej wielkiej próby. Ponieważ zaś nasz szlachetny przyjaciel jest przekonany najgłębiej, że znalazł wreszcie wiarę prawdziwą, i to jedynie prawdziwą, poproszę go najpierw, aby mi szczerze odpowiedział, co myśli o kwestii następującej...

Tu przerwał na moment, aby się zastanowić. Tymczasem jego towarzysze podeszli bliżej i skupili się wokół ciasnym kręgiem, niezmiernie ciekawi, jaki obrót przybierze rozmowa. Ja natomiast, choć zaatakowano mnie tak niespodziewanie i wręcz niegrzecznie, wcale się nie broniłem. Przeciwnie, byłem bardzo rad, że oto wreszcie nadarza się okazja pierwszego prawdziwego pojedynku! Dotychczas tylko przysłuchiwałem się biernie świetnym dysputom, jakie prowadzili Piotr i Szymon. Obecnie sam miałem pokazać, czego się nauczyłem! Lecz Appion już znalazł słowa właściwe:

— Otóż odpowiedz mi szczerze: czy nie uważasz, że popełniasz karygodne przestępstwo samowolnie łamiąc odwieczny, uświęcony porządek? Wzgardziłeś przecież wiarą i bogami ojców, a przyjąłeś w to miejsce jakieś barbarzyńskie poglądy i przesady, śmieszne mrzonki i cudaczne obyczaje!

Odparowałem ten zarzut bez chwili namysłu:

— W pełni doceniam twoją dobrą wolę, muszę jednak wytknąć ci nieznamość rzeczy. Dobra wola polega na tym, że pragniesz, abym na zawsze pozostał wierny temu, co ty sam uznajesz za prawdziwe, piękne, dobre i pożyteczne. Natomiast twoją nieznamość rzeczy mogłaby sprawić, że pod pozorem przyjaznej pomocy postawiłbyś mnie w przykrym położeniu.

Appion wielce się obruszył:

— jak się wydaje, uważasz za ignoranta i obłudnika kogoś, kto szczerze miłuje ojczyście zwyczaje i w każdej sytuacji myśli tak, jak przystało na uczciwego Helleną!

Odpowiedziałem:

— Kto niezłomnie postanowił żyć zgodnie z wolą bożą, ten nie będzie już mógł podtrzymywać w swym życiu wszystkiego, co podaje tradycja, choćby wielce szanowna wiekiem. Taki człowiek zachowa tylko to, co odpowiada nakazom prawdziwej pobożności, odrzuci natomiast bez wahania wszystko, co się im sprzeciwia. Czyż nie zdarza się i tak, że ktoś, kogo ojciec postępował niezbyt zacnie, sam pragnie żyć inaczej? Doprawdy nie zawsze wypada przestrzegać ojcowskich zasad i wzorów!

Appion natychmiast podchwycił te ostatnie słowa. Zapytał ze złośliwym uśmieszkiem, pewien, że już mnie ma w pułapce:

— Czy to ma znaczyć, że zarzucasz swemu ojcu Faustusowi życie niezbożne? Odparłem spokojnie:

— Nie. Uważam jedynie, że niesłuszne były jego poglądy religijne. O życiu nic nie mówię. Lecz Appion nie dawał za wygraną:

— A cóż to tak bardzo złego znajdujesz w jego przekonaniach?

— To mianowicie, że wierzył w przewrotne i kłamliwe opowieści Hellenów o ich bogach.

Appion udał zdziwienie:

— O jakież to chodzi mity, rzekomo kłamliwe?

— Przede wszystkim miał błędne wyobrażenie o naturze bogów. On i Hellenowie. Jeśli tylko masz czas, mógłbyś wraz z twymi uczniami posłuchać, co o tym

myślę. Trzeba by jednak przed dysputą tak długą znaleźć miejsce bardziej zaciszne od tej ulicy.

Trafił się w otaczającej nas gromadce człowiek widać zamożny, skwapliwie bowiem podchwycił moją uwagę i zaproponował:

— Upał rzeczywiście zacznie niedługo "" dokuczać. Chętnie powitałbym was wszystkich w swoim ogrodzie. Niedaleko stąd, tuż za miastem!

O WIERZE HELLENÓW

I amci poszli przodem i wnet się rozsiedli nad strumieniem chłodnym i czystym, w cieniu zielonych drzew. My również spoczęliśmy z przyjemnością w miłym ustroniu. Przez chwilę rozmawialiśmy swobodnie i na różne tematy. Potem tak przedstawiłem to, co miałem do powiedzenia:

— Najpierw uwaga ogólna. Wypada dobrze zdać sobie sprawę z faktu, że istnieje ogromna różnica pomiędzy prawdą, do której się doszło po rzetelnym badaniu i własnym wysiłkiem, a takim poglądem, który się pielęgnuje tylko dlatego, że został przejęty biernie, drogą tradycji; utrzymuje się on w swej zwyczajowej postaci niezmiennie i w zasadzie niezależnie od tego, czy słuszny jest, czy też błędny. Nikt przecież się nie raduje, jeśli dostał w spadku wierzenia prawdziwe, ani też nie zamartwia, jeśli podejrzewa, że może one fałszywe! Całkiem po prostu nikt się nie zastanawia nad tym, postępując w owej dziedzinie nie według własnego rozeznania i osadu, lecz zgodnie z pewnym uprzedzeniem. Któż bada, któż roztrząsa, co mieli na myśli przodkowie, gdy ustanawiali

dany zwyczaj i wprowadzali właśnie taki, a nie inny pogląd religijny? Każdy zgodliwie aprobeuje tradycję i jeszcze się tym szczyci! A w gruncie rzeczy może co najwyżej żywić nadzieję, że przypadek okazał się dlań łaskawy i to, co dziedziczy po rodzicach, jest prawdziwe, dobre, wartościowe. Zaiste, nie tak łatwo zrzucić z siebie szatę, do której się przywykło! Nie tak łatwo nawet wtedy, jeśli nam samym wydaje się ona zużyta, wytarta, wręcz śmieszna.

Przechodzę obecnie do właściwego przedmiotu naszego sporu. Powiem krótko: ośmielam się twierdzić, że całe tak zwane wychowanie helleńskie to groźny wynalazek złego ducha. Groźny, wypacza bowiem charakter i skłania ludzi do tego, by czynili źle. A oto uzasadnienie:

Wielu Hellenów każe nam wierzyć, że światem rządzi całe mnóstwo bogów. Łatwo odgadnąć powód, dla którego wprowadzono owe zastępy istot rzekomo nieśmiertelnych i potężnych, lecz zarazem złych i podatnych na wszelkie namiętności. Chodziło o to, aby człowiek popełniający coś niegodnego nawet nie odczuł wstydu. Ba, może on w każdej sytuacji powołać się właśnie na przykład bogów, którzy, jak to zgodnie opowiadają mity, wyprawiali wiele straszliwych bezeceństw. A kto się nie wstydzi, nie może nawet mieć nadziei, że kiedyś będzie żałował tego, co czynił, i wreszcie się poprawi. Inni znów Hellenowie wprowadzają Przeznaczenie, czyli los nieodwracalnie wyznaczony każdemu w chwili urodzenia. Dzieje się więc podobnie, jak w przypadku poprzednim; jeśli bowiem ktoś głęboko wierzy, że niczego nie dozna i niczego nie zdoła uczynić wbrew temu, co mu pisane, łatwo skłania się ku wszelakim występkom, a grzesząc nie odczuwa najmniejszej skruchy, powo-

łuje się bowiem na to, że spełnia tylko wyroki losu i jest biernym jego narzędziem. Nie on jest sprawcą, nie jego wina lub zasługa, losu swego nikt nie zdoła zmienić! A jeszcze inni wprowadzają zasadę ślepego przypadku. Ma to znaczyć, że w tym świecie wszystko toczy się i dzieje samo przez się, bez żadnego planu i bez opatrności, nikt bowiem nie kieruje całością. W moim przekonaniu jest to pogląd ze wszystkich najgroźniejszy. Jeśli bowiem nie ma istoty stojącej nad nami i na wskroś widzącej, każdy może spokojnie żyć sobie jak mu najwygodniej, niczego nie musi się lękać! Dlatego ci, co tak myślą, nie opamiętają się łatwo, a może nawet w ogóle nigdy; nie są przecież w stanie przewidzieć niebezpieczeństwa, które im zagraża.

10 MIESIĄCA AB

Opróbowy jednak choćby na chwilę wczuć się w sposoby rozumowania starożytnych czytelników powieści o przygodach Klemensa, pójdźmy ich drogami myślenia! Światlejsi spośród nich i bardziej wykształceni doskonale wiedzieli, że już w roku 70, a więc zaledwie w kilka lub kilkanaście lat po owej tyryjskiej dyspacie, stała się rzecz, która mogłaby posłużyć za mocny argument przeciw wywodom Pio-trowego ucznia. Był on judeochrześcijaninem; porzucił złe, jak to głosił, bóstwa i błędne przekonania swych pogańskich przodków, wierzył głęboko, że oczekiwany Mesjasz już przyszedł i poniósł męczeńską śmierć za czasów namiestnictwa Poncjusza Piłata, gdy panował cesarz Tyberiusz; lecz tenże sam Klemens pragnął nadal służyć świątyni jerozolimskiej

jako jedynemu przybytkowi. prawdziwego Boga — istoty dobrej, sprawiedliwej, wszystkowiedzącej i opatrnościowo kierującej wszystkim. Jakiż to jednak los spotkał ową świątynię? Wielu ludzi tamtej epoki, i to nawet wśród pobożnych Żydów, jawnie twierdziło, że zadecydowała o tym nie wola ludzka, i nie boska opatrność, lecz przeznaczenie lub ślepy przypadek. A właśnie wiarą w jakąkolwiek rolę owych mocy w płaszczyźnie czy to dziejowej, czy też losów jednostki Klemens ostro potępił jako zgubną i niemoralną!

Narada Tytusa i jego wyższych oficerów w sprawie świątyni odbyła się w dniu 9 miesiąca ab; przyjęto na niej pogląd samego Tytusa — a raczej, jak się zdaje, Tyberiusza Aleksandra — że przybytek należy oszczędzić i zachować. Tego dnia żadnych walk już nie toczono, powstańców bowiem, stłoczonych w wewnętrznych dziedzińcach świątyni, obezwładnił strach i zmęczenie, zwycięscy zaś Rzymianie mogli pozwolić sobie na zwłokę. W nocy jednak Żydzi skrzepili nieco swe siły, powróciła wola walki. Około drugiej godziny dnia, a więc jeszcze wczesnym rankiem, obrońcy przybytku dokonali niespodziewanego wypadu przez bramę wschodnią na rzymskie straże wokół dziedzińca zewnętrznego. Legioniści mężnie stawili czoło, choć przeciwnik początkowo górował nad nimi liczbą oraz straceńczą odwagą; zwarli mocno szeregi i osłonili się tarczami niby murem. Tytus patrzył na starcie z bastionu twierdzy Antonia i wnet pospieszył na pomoc wiodąc szwadron doborowej jazdy. Powstańcy stracili kilku zabitych i zaczęli się cofać, gdy jednak Rzymianie nieco ustąpili, znowu ruszyli do przodu — aby od razu podać tyły, kiedy legioniści i jazda przeszli do natarcia po raz drugi.

Zastępy zbrojnych kilkakrotnie przewalały się ze zgiełkiem w tę i tamtą stronę po rozległym placu, wśród dymu i ognia, aż do piątej godziny dnia. Wtedy dopiero udało się ostatecznie zepchnąć Żydów w mury dziedzińca wewnętrznego. Słoneczny żar lał się z nieba, toteż Tytus zaraz po tym starciu powrócił do swej prowizorycznej kwatery na ruinach Antonii; chciał sam odpocząć i dać też wytchnienie kohortom, aby o wschodzie słońca dnia następnego przypościć decydujący szturm wszystkimi siłami i wreszcie zawładnąć świątynią. Miało jednak stać się inaczej. Nie zważając na upał powstańcy już po krótkiej chwili hurmem wypadli ze swych stanowisk, położonych nieco wyżej, i zaatakowali żołnierzy wciąż jeszcze gaszących pożar w rumowisku kolumnad. Wszczął się tumult, wszędzie walczono bezładnie w małych grupach. Wtedy to któryś z Rzymian porwał płonąca żagiew z żaru rumowiska i podbiegł ku złocnemu okienku w murze północnym zabudowań wokół świątyni właściwej; towarzysze podnieśli go na rękach, a on cisnął głównię do środka. Ogień trafił widocznie na materiał łatwopalny, płomienie bowiem natychmiast wzbily się ku górze. Obrońcy zakrzyknęli wielkim głosem przerażenia i zewsząd ruszyli na ratunek, zapominając o walce i nie dbając nawet o własne życie.

Pisząc o legionście, który rzucił żagiew przez okno, Józef Flawiusz dodaje, że uczynił to on bez rozkazu i bez zastanowienia, jak gdyby pchnięty przez jakąś moc demoniczną. Lecz właśnie te słowa, wyglądające na usprawiedliwienie tego, co się stało, budzą pewne podejrzenia. Czy naprawdę pożar wzniecono tylko przypadkowo? Czy rzeczywiście nikt nie wydał tajnego rozkazu?

Tytus leżał w namiocie, gdy wpadł goniec z meldunkiem o nowych walkach i o pożodze grożącej samemu przybytkowi. Wódz zerwał się natychmiast i tak jak był pospieszył na plac boju; podobno wciąż jeszcze, nawet w tym momencie, myślał o ratowaniu świątyni. Za nim ruszyli wyżsi oficerowie i tysiące żołnierzy, całe kohorty i legiony. Powstał straszliwy krzyk i zamieszanie, a nieprzejrzane zastępy zbrojnych kłębiły się przed dziedzińcem zewnętrznym, ogarnięte szaleńcami walki, niszczenia, rabunku. Wielu straciło życie, bo stratowali ich swoi w tłoku u bram, wielu też poniosło śmierć lub uległo oparzeniom, gdy zepchnięto ich w zgliszcza portyków, skąd jeszcze wciąż tu i ówdzie buchały płomienie. Daremnie nawoływał Tytus, by natychmiast gasić pożar; jego głosu nikt nie był w stanie dosłyszeć i nikt też nie zważał na gwałtowne znaki, jakie dawał rękami. Żadna siła nie zdołałaby powstrzymać impetu rzeki ludzkiej. Żołnierze, którzy wreszcie dostali się na dziedzińiec wewnętrzny, parli ku czworobokowi murów i budowli wewnętrznych; gromkimi okrzykami wzywali swych towarzyszy w przodzie, by palili wszystko, co tylko się da. Powstańcy stawiali rozpaczliwy opór w odosobnionych grupach lub próbowali ratować się ucieczką. Rzymianie zaś w swym zapamiętaniu i szale zwycięstwa mordowali nawet bezbronných. Wielu bowiem szukało tu schronienia w nadziei, że świątynia jest miejscem najbezpieczniejszym w obleganym mieście; w ostatnich dniach napłynęło sporo kobiet z dziećmi, jakiś bowiem prorok wołał po ulicach, że każdy, kto znajdzie się na świątynnych dziedzińcach, ujrzy na własne oczy cud swego ocalenia. Stosy trupów już się piętrzyły wokół wielkiego ołtarza, gdzie składano ofiary, a strumienie krwi spływały po dwu-

nastu stopniach, wiodących do samego przybytku. Tytus wstąpił po owych schodach i wszedł do wnętrza; chciał przynajmniej ujrzeć zgromadzone tam kosztowności i święte przedmioty kultu, nim ogień je pochłonie na zawsze. *Zaraz* jednak wybiegł na dwór, nawołując jeszcze energiczniej, by tłumić ogień, spostrzegł bowiem, że płomienie z budynków sąsiednich jeszcze nie zagrażają bezpośrednio murom i stropowi. Centurion straży przybocznej, *Liberalis*, zaczął kijem pędzić żołnierzy do roboty, lecz i to nie skutkowało. *Ka. idy* myślał tylko o bajecznych skarbach, rzekomo wypełniających wszystkie pomieszczenia wokół, a właśnie pożar i zamęt ułatwiały rabunek. Żołnierze byli przekonani, że oficerowie i dostojnicy chcieliby zagarnąć kosztowności niby to dla państwa, w istocie zaś dla siebie samych, oni zaś za swój trud i krew otrzymają po ostatecznym zwycięstwie z łaski wodza nędzne grosze. Toteż w tejże chwili i niemal tuż za plecami Tytusa ktoś podłożył żagiew u wejścia do przybytku, Płoinienie natychmiast wdarły się do środka, choć ogromne podwoje obite były, jak i ściany wokół, złocistą blachą, ogień więc nie imalby się ich łatwo; przed nimi jednak zwisała wielka, ciężka zasłona roboty babilońskiej, utkana kunsztem zdumiewającym z nici rozmaitych, barwy błękitu i czerwieni, a także z materii bawełnianej i wełny purpurowej. Nauczano, że to przemieszanie ma swe głębsze znaczenie, stanowiąc jak gdyby podobiznę elementów wszechświata. Czerwień symbolizowała ogień, błękit powietrze, bawełna ziemię, purpura morze; te pierwsze przez podobieństwo barwy, bawełna zaś i purpura przez swe pochodzenie, jako że jedną rodzi ziemia, druga zaś kolor swój zawdzięcza żyjątkom morskim. Zdobily zasłonę hafty wyobrażające wszystko, co wi-

dać na niebie — prócz znaków zodiaku. Nie należy mylić jej z inną, wiszącą w głębi i oddzielającą pierwszą część przybytku od miejsca świętego świętych. Tradycja chrześcijańska głosiła, że jedna z nich — lecz która? — sama się rozerwała w owo popołudnie piątkowe, gdy Pan konał na krzyżu; odsłoniła wnętrze, okazując w ten sposób, że wszystko, co dawne, już się spełniło, a tajemnica została objawiona. Józef Flawiusz, świadek pożogi, powiada: „Jakkolwiek serce ściska się boleśnie na myśl, że zgładzone zostało z powierzchni ziemi dzieło bardziej godne podziwu niż wszystko, co się widziało lub o czym się słyszało, dzieło niezrównane pod względem ogromu, wspaniałości, bogactwa każdego szczegółu, a przede wszystkim znaczenia, jakie miało w świecie, niechaj temu sercu pociechą będzie to, że los nieubłagany potężną swoją kładzie rękę na wszelkim dziele ludzkim i na wszelkiej człowiekowi drogiej miejscowości. A tylko zdumienie ogarnia, że ów los w tak ściśłych działał tu okresach, bo na pożogę przybytku wyznaczył nie tylko ten sam miesiąc, ale nawet ten sam dzień, w którym pierwszy przybytek został zburzony przez Babilończyków. Od zbudowania pierwszej świątyni przez króla Salomona aż do zburzenia świątyni drugiej za dni naszych, co przypada na drugi rok panowania Wespazjanowego, upłynęło lat 1130, miesięcy siedem i dni piętnaście.”⁴³

WIELKI ZJAZD W BERYCIE

Józef Flawiusz ma rację: sierpień roku 70, gdy spłonęła świątynia jerozolimska, to istotnie już drugi rok panowania Wespazjana. Licząc oczywiście od dnia

1 lipca roku 69, kiedy to Tyberiusz Aleksander dokonał pierwszy aktu proklamacji nowego cesarza w stolicy Egiptu; akt ten powtórzono w trzy dni później w Cezarei nadmorskiej, w obecności samego Wespa-zjana, a następnie w Antiochii syryjskiej. Lecz owe ceremonie, starannie obmyślane, przygotowane i uzgodnione już w trakcie poprzednich, tajnych konsultacji, stanowiły tylko formalny wstęp do działań właściwych; przystąpiono do nich bezzwłocznie, zdając sobie dobrze sprawę, że podstawowe warunki powodzenia każdej rebelii to pośpiech, zdecydowanie, zaskoczenie strony przeciwnej.

Toteż już pod koniec lipca lub najdalej z początkiem sierpnia roku 69 zebrała się rada wojenna w fe-nickim mieście Berytus, czyli w dzisiejszym Bejrucie; przewodził jej obradom dopiero co obwołany cesarz Wespazjan. Ten bowiem, skoro już zaszły fakty nieodwracalne, natychmiast odrzucił precz swe poprzednie wątpliwości i ze zwykłą sobie energią zajął się sprawami wojny. A raczej dwóch wojen; trzeba przecież było myśleć zarówno o dalszej walce z Żydami, jak i o wyprawie przeciw Witeliuszowi. Wraz z ojcem przybył do Berytu Tytus. Towarzyszyli im dowódcy, oficerowie i wybrani żołnierze trzech legionów judej-skich. Mucjan przyjechał z Antiochii wiodąc podobny orszak delegatów armii syryjskiej. Nie wiadomo natomiast, czy stawił się prefekt Tyberiusz Aleksander; w naradach wszakże musiał brać udział jego przedstawiciel. Zresztą interesy swego powinowatego poniekąd reprezentowała królowa Berenika, obecna w Berycie i rozwijająca tam równie ożywioną działalność, jak i poprzednio, od pierwszego dnia spisku. Tacyt pisze nie bez delikatnej ironii: „Była w rozkwicie

swych lat i urody, miła nawet Wespazjanowi dzięki wspaniałości darów.”⁴⁴

Wysoco prawdopodobne, że do obradujących zdążył przyłączyć się brat Bereniki, król Agryppa. W styczniu roku 69 podróżował on wraz z Tytusem do Rzymu, aby złożyć tam gratulacje Galbie; kiedy wszakże w Koryncie dowiedzieli się, że cesarz został zamordowany, Tytus powrócił do Palestyny i Syrii — tym chętniej, że czekała tam Berenika! — Agryppa natomiast pojechał dalej, aby zabiegać o łaski Othona. Zamieszkał w stolicy Imperium i pilnie obserwował rozwój wydarzeń. Z całą pewnością bardzo życzliwie patrzył na rozkwit kultu Nerona pod OthonoAvym panowaniem, bo właśnie Neronowi zawdzięczał znaczne rozszerzenie swych włości; dlatego też już w roku 55 Neroniadą nazwał swoją rezydencję, Cezareę Filipową u źródeł Jordanu. Wszystko, co zapowiadało kontynuację Neronowych tradycji, sprzyjało też politycznym interesom Agryppy. Kto wie, czy i on nie polecił po cichu składać kwiatów na porfirowym sarkofagu w grobowcu Domicjuszów? Natomiast klęska i śmierć Othona postawiły żydowskiego króla w sytuacji niezbyt korzystnej: skoro spieszył do Rzymu wiedząc o śmierci Galby, widocznie witał przychylnie objęcie rządów przez jego zabójcę; jak z kolei zapatrywał się będzie na to zwycięzca Othona, Witeliusz? Mimo to — a może właśnie dlatego — Agryppa postanowił czekać w stolicy, by usposobić jak najżyczliwiej nowego władcę Imperium. Tymczasem dotarli doń wysłannicy z Palestyny, od siostry Bereniki; przywieźli tajne wieści o przewrocie przygotowywanym na Wschodzie w największej skrytości. Król nie zwlekał. Wyjechał z Rzymu pod jakimś pozorem, gdy jeszcze nikt nie

podejrzewał niczego, i podróżował ku stronom ojczystym jak najspieszniej.

Na pewno znalazł się w Berycie książe Soeraus, władca Emesy, czyli dzisiejszego Homs w południowej Syrii. Włości jego leżały zbyt blisko ośrodków rebelii, by mógł okazywać jakiegokolwiek wahanie w chwilach decydujących. Chciał tego czy nie, musiał przyłączyć się do sprawy. Nieco inaczej miała się rzecz z Antiochem, królem Kommageny. Był to naj-możniejszy i najbogatszy sojusznik Rzymian na Wschodzie. Opowiedział się wprawdzie od razu za Wespazjanem, obiecując znaczną pomoc w ludziach i pieniądzech, lecz do Berytu chyba nie przyjechał; mógł łatwo się usprawiedliwić podeszłym wiekiem oraz trudami, jakie znosić by musiał w długiej drodze z nad górnego Eufratu do Syrii i Fenicji. Lecz Antiochowi i tak ufano całkowicie. Wiedzano doskonale, że w gruncie rzeczy nie ma on wyboru i będzie z wszystkich sił popierał Wespazjana. Przyczyna była oczywista: jego syn, noszący to samo imię, znajdował się w Rzymie, gdy doszło do wojny domowej; stanął po stronie Othona, dzielnie walczył w kwietniowych bitwach nad Padem. W jednej z potyczek w okolicach Kremony odniósł ranę, kiedy Witeliuszowi niespodziewanie dokonali wypadu z winnic małego gaju. Książe wprawdzie zdołał się uratować i później powrócił do ojczyzny, jednakże rodzina nie mogła oczekiwać niczego dobrego od zwycięskiego Witeliusza. Lękała się o swe władztwo tym bardziej, że w ostatnim półwieczu już dwukrotnie je traciła i dwukrotnie odzyskiwała, w zależności od łaski lub niełaski kolejnych cesarzy Rzymu.

PIENIĄDZE, BROŃ, STRATEGIA

Przybyły również do Berytu liczne poselstwa miast Syrii, Palestyny, Azji Mniejszej i Egiptu. Składały nowemu cesarzowi gratulacje, życzenia oraz zwyczajowe przy takich okazjach dary w postaci ciężkich, bo szczerozłotych wieńców. Wespazjan skwapliwie przyjmował wszelkie ofiary i daniny, prowadzenie bowiem obu wojen wymagało sum ogromnych. Dzielnie sekundował mu w tym zakresie Mucjan, dobry gospodarz, powtarzający często i z naciskiem stare porzekadło, że pieniądź to ściętno każdego przedsięwzięcia. Mennica w Antiochii bezzwłocznie przystąpiła do wybijania monet złotych i srebrnych z wizerunkiem cesarza i napisem „Imperator Caesar Yespasianus Augustus”, choć z oczywistych względów senat jeszcze nie przyznał mu tych tytułów i przyznać nie mógł. Na drugiej stronie monet umieszczano podobiznę Tytusa, podkreślając w ten sposób jego szczególną rolę u boku ojca, lub symboliczne postacie Zwycięstwa i Męstwa — jako dobre wróżby. Za przykładem stolicy Syrii wnet poszły mennice we wszystkich krainach podległych nowej władzy. Kruszcę uzyskiwano przetapiając stare monety, wpływające z tytułu podatków; a te egzekwowano nader surowo. Dużymi umiejętnościami w wyciskaniu pieniędzy z ludności odznaczał się Mucjan; nie gardził on nawet usługami donosicieli, wskazujących osoby zamożne. Co prawda, namiestnik mógł rzec na swe usprawiedliwienie, że nie szczędzi też własnego majątku i że nie przyrzeka żołnierzom żadnych nadmiernych nagród lub podwyższenia żołdu. Również sam Wespazjan okazywał po-

dobnie chwalebna wstrzeźliwość w szafowaniu obietnicami, jakkolwiek te przychodzą najłatwiej każdemu obejmującemu rząd.

Nakazano co rychlej wszystkim zasobniejszym miastom, aby wykuwały broń w swych zakładach płatnerskich. Miała ona służyć żołnierzom kohort uzupełnianych lub nowo formowanych. Przeprowadzono bowiem nadzwyczajny pobór i powołano z powrotem pod znaki wojskowe wszystkich weteranów, licznie osiadłych w różnych krajach Wschodu. Energiczni oficerowie i prokuratorzy, mianowani przez nowego władcę, pilnowali, by akcja zbrojeń przebiegała szybko i sprawnie na ziemiach od Morza Czarnego aż po Egipt. Wespazjan, korzystając z uprawnień cesarza, rozdawał też hojnie godności senatorskie osobom ze stanu ekwitów. Nominowani i awansowani nie zawsze wyróżniali się kwalifikacjami moralnymi. W owych gorących dniach, gdy brakowało ludzi dla obsadzenia odpowiedzialnych stanowisk, ten i ów osiągał dostojęstwa tylko dzięki gorliwemu manifestowaniu swego oddania dla sprawy. Należy wszakże przyznać, że prawdziwego wyboru w tym okresie Wespazjan mieć nie mógł, większość bowiem przedstawicieli starych rodów przebywała w Italii.

Najważniejszym jednak zadaniem było ustalenie planu strategicznego i podziału kluczowych stanowisk. Postanowiono przede wszystkim, że sam Wespazjan uda się wkrótce do Egiptu, ponieważ kraj ten ma wyjątkowe znaczenie jako najżyźniejsza, a w razie niepowodzeń wojennych najłatwiejsza do obrony prowincja Imperium. Cesarz więc miał tam przebywać jak gdyby w fortecy i czuwać zarazem, aby ani jeden okręt z ładunkiem zboża nie wypłynął z portu Aleksandrii ku Italii. Posunięcie to świadczy też o tym, że

mimo wszystko nie ufano całkowicie Tyberiuszowi Aleksandrowi; obawiano się widocznie, że wiadomość o jakiejś porażce mogłaby wpłynąć na zmianę jego stanowiska.

Skoro władca miał pozostać na zapleczu, z dala od teatru działań, wypadało oczekiwać, że wojska przeciw Witeliuszowi poprowadzi jego syn Tytus. Tak się jednak nie stało. To najtrudniejsze, ale i najzaszczytniejsze zadanie powierzono Mucjanowi, wskazując w ten sposób wszem wobec, że zajmuje on obok cesarza pozycję szczególną. Oczywiście wzięto też pod uwagę jego doświadczenie i autorytet. Tytus wydawał się jeszcze zbyt młody, by móc kierować operacjami na skalę tak wielką, w krajach bardzo odległych. Oddano mu natomiast naczelne dowództwo w wojnie przeciw Żydom. Tutaj sytuacja przedstawiała się stosunkowo prosto, chodziło bowiem już tylko o zdobycie samej Jerozolimy i kilku twierdz; a stolica kraju była i tak skłócona i wykrwawiona w walkach bratobójczych. Tytus znał dobrze ten kraj, lud i sposoby wojowania, w razie zaś konieczności znajdujący się w pobliżu Wespazjan mógł służyć radą i pomocą; było więc prawie pewne, że syn cesarza stosunkowo łatwo zdobędzie sławę zwycięzcy. A któż zaręczy, czy jakiejś roli w tej sprawie nie odegrały też wpływy i namowy Bereniki? Pragnęła ona na pewno, by Tytus pozostał w Judei, bo tylko wówczas mogła go mieć blisko przy sobie oraz żywić nadzieję, że uda się uratować święte miasto od całkowitej zagłady.

Stojące do dyspozycji wojska podzielono następująco:

Dwa legiony, które obozowały w Egipcie, pozostawiono tam nietknięte. Miały utrzymywać porządek w rozległym kraju, a w razie niepomyślnego obrotu

spraw stanowiły ostateczną rezerwę. Również w Judei pozostały tamtejsze trzy legiony. Uszczuplono wszakże poważnie stan liczbowy każdego z nich, wydzielając zastępy po dwa i pół tysiąca ludzi i oddając je pod rozkazy Mucjana; takie czasowo wyodrębnione jednostki zwano w armii rzymskiej „vexillationes”. W Syrii stacjonowały wówczas także trzy legiony. Te można było osłabić jeszcze drastyczniej, albowiem od strony wschodniej, od Fartów, nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Ich król zapewnił jeszcze w trakcie tajnych rokowań, że zachowa niezmiennie życzliwą neutralność. Rozeszły się nawet pogłoski — może rozkazał puszczać je w obieg sam Mucjan, zawsze pełen pomysłów? — że władca Fartów chce przysłać czterdzieści tysięcy swych świetnych łuczników, Wespazjan wszakże zrezygnował ze wspaniałomyślnej oferty; uważał ponoć, że wojna ta jest wewnętrzną sprawą samych Rzymian, obce zaś i tak liczne wojska posiłkowe zmieniłyby charakter zmagania — w oczach mieszkańców Italii mógłby uchodzić za najeźdźcę ze Wschodu. Pewne jest natomiast, że z Berytu Wespazjan wyprawił posłów na dwór króla Fartów i króla Armeńczyków, ostrzegając przed próbami naruszania granic Imperium w krytycznym okresie. Uznał widocznie, że ta akcja dyplomatyczna wystarczy w zupełności, i zmniejszył siły armii strzegącej granicy Eufratu niemal o połowę. Mucjan otrzymał cały legion szósty — nosił on przydomek Ferrata, a swymi początkami sięgał czasów Cezara, okresu jego walk w Galii — oraz dwie „vexillationes”, po jednej z obu pozostałych legionów.

W sumie korpus Mucjana liczył dwadzieścia kilka tysięcy żołnierzy. To by nie wystarczyło, gdyby przyszło zmierzyć się z potężną armią Witeliusza; przy-

wiódł on przecież do stolicy 60 000 swych zbrojnych, a mógł łatwo ściągnąć dalsze formacje znad Renu. Spodziewano się wszakże rychłej i wydatnej pomocy od legionów naddunajskich; ich przyłączenie się podwoiłoby liczebność korpusu ofensywnego, nawet gdyby część sił trzeba było pozostawić przy granicy, dla osłony przed barbarzyńcami. Toteż Mucjan miał maszerować przez Azję Mniejszą ku prowincjom bałkańskim; w Bizancjum wyznaczono koncentrację floty czarnomorskiej. Stamtąd wódz zamierzał przeciąć półwysep w poprzek przez Macedonię, aby stanąć nad Adriatykiem w okolicach Dyrrachium, a więc na ziemiach dzisiejszej Albanii. Ten plan kampanii mógł jednak ulec zmianom, w zależności od rozwoju wydarzeń.

W trakcie narad w Berycie postanowiono zorganizować dywersję na terenach podległych Witeliuszowi. Wyprawiono tam oficerów w przebraniu cywilnym oraz żołnierzy z odpowiednimi listami do wojsk, dowódców, rad miejskich i namiestników. Szczególne nadzieje wiązano ze zwolnionymi ze służby i rozbrojonymi pretorianami; wiadano dobrze, jak nienawidzą oni nowego cesarza, jak boleśnie odczuwają upokarzającą dymisję, jak bardzo lękają się represji. Losy owych agentów, wysłanych z tak niebezpiecznymi zadaniami, układały się różnie. Wszyscy oni, jak łatwo sobie wyobrazić, przeżyć musieli w czasie podróży lądem i morzem wiele przygód i niebezpieczeństw; cóż to za materiał do awanturniczej powieści historycznej! Niektórym udało się wypełnić misję z powodzeniem, inni jednak wpadli w ręce ludzi Witeliusza i odesłani do Rzymu zapłacili głową za podżeganie do rebelii. Jeszcze inni, choć ścigani i śle-

dzeni, przecież zdołali się ukryć i przeczekać najgorsze dzięki pomocy różnych osób.

Obrady w Berycie zamknięto. Wespazjan i Muc-jan, a prawdopodobnie też Tytus i Berenika udali się do Antiochii, aby tam przygotować wymarsz korpusu ekspedycyjnego. Towarzyszył im Józef, syn Ma-tiasza, niegdyś przywódca powstania w Galilei, przed dwoma laty pojmany do niewoli w zdobytej Jotapa-cie i trzymany odtąd pod strażą w kajdanach. Lecz Józef wyjeżdżał z fenickiego miasta już jako człowiek wolny. Jego kajdany skruszono w Berycie publicznie i uroczyście.

OKOWY SKRUSZONE

F rzypomnijmy:

Przed dwoma laty, a więc z początkiem lipca roku 67, Rzymianie zdobywszy Jotapatę wyciągnęli Józefa z jego podziemnej kryjówki. Była ona pełna trupów, wszyscy bowiem, którzy w niej się schronili, zginęli dobrowolnie, jeden zabijając drugiego, jak wskazał porządek, ustalony przez losowanie. Ocalał tylko ich przywódca Józef, który miał popełnić samobójstwo jako ostatni. Postawiony przed Wespaz-janem, Tytusem i dwoma ich przyjaciółmi, rzekł — przynajmniej sam tak twierdzi — że jest zwiastunem spraw wielkich, których spełnienie Bóg mu nakazał; gdyby nie to, dobrze by wiedział, jak przystoi umierać wodzowi! Dalej zaś mówił śmiało:

— Jak słyszę, chcesz mnie wysłać do Nerona. A ja ci powiadam, abyś tego nie czynił! Nie ma żadnej potrzeby. Sądzisz, że będzie on jeszcze długo pano-

wał? Nic podobnego! To ty zostaniesz cesarzem, i to już wkrótce. Nie wierzysz mi, rzecz zrozumiała, ale przecież jestem w twoich rękach. Rozkaż więc strzec mnie jak najpilniej, a potem ukarż surowo, jeśli wnet nie sprawdzi się wszystko, co mówię ci dzisiaj!

Czy jeniec naprawdę ośmielił się tak prorokować? Rzecz wątpliwa. Zdani jesteśmy wyłącznie na jego własne świadectwo, inne bowiem wzmianki u autorów starożytnych są tylko skrótem lub przekształceniem tej relacji. Józef utrzymuje, że zuchwałe słowa odniosły skutek; pozostał wprawdzie pod strażą i w okowach, lecz nie spieszo się z odesłaniem go do Nerona. Podobno — ale to znowu twierdzenie tego samego człowieka! — Wespazjan dowiedział się jakąś drogą od jeńców z Jotapaty, że Józef istotnie odgaduje przyszłość, w czasie bowiem oblężenia wróżył obrońcom zagładę po dniach czterdziestu siedmiu, co też się stało. W każdym razie cieszył się odtąd szczególnymi względami rzymskiego wodza, o czym mówił później z dumą:

— Darował mi odzież i inne cenne przedmioty. Był mi stale życzliwy i okazywał troskliwość, a Tytus współdziałał w tej uprzejmości. Z jego też rozkazu poślubiłem jeszcze w niewoli pewną dziewczynę, pojmaną przez Rzymian pod Cezareą i z tamtych okolic pochodzącą.⁴⁵

Lecz prawdziwy triumf Józefa przyszedł dopiero podczas narad w Berycie. Pisze o tym w IV księdze swej „Wojny żydowskiej” z iście orientalną przesadą, oddając sam sobie chwałę w sposób raczej nie świadczący o skromności:

„Skoro los wszędzie sprzyjał zamiarom i sprawy przeważnie układały się pomyślnie, Wespazjan doszedł do wniosku, że osiągnął władzę nie bez bożej

opatrzności i że to jakieś sprawiedliwe przeznaczenie oddało świat w jego ręce. Wspomnił więc zarówno wszystkie inne znaki — a wiele ich zdarzało się wszędzie, zapowiadając mu panowanie — jak również słowa Józefa, który ośmielił się nazwać go cesarzem jeszcze za życia Nerona. Przeraził się, że męża tego trzyma przy sobie jeszcze wciąż w okowach. Wezwawszy więc Mucjana wraz z innymi dowódcami i przyjaciółmi najpierw sprawił o energii Józefa i o tym, ile to się natrudzono przez niego pod Jota-patą, następnie zaś o jego przepowiedniach. Sarn uważał je przedtem za zmyślenia, powstałe pod wpływem strachu, lecz czas i bieg wydarzeń pokazały, że z boskiego były natchnienia. Rzekł więc:

— Hańba to, że człowiek, który przepowiedział mi panowanie, przekazując głos boży, znajduje się wśród jeńców i cierpi los więźnia!

Posłał po Józefa i rozkazał go uwolnić. Obecni przy tym oficerowie mogli rokować również sobie samym piękne nadzieje, widząc, ile względów okazuje się cudzoziemcowi. Stojący zaś obok ojca Tytus powiedział:

— Wypada zdjąć z Józefa wraz z żelazem także i szpetne piętno niewoli. Jeśli nie zdejmemy, lecz skruszymy jego okowy, będzie tak, jak gdyby w ogóle nie miał ich nigdy na sobie!

Postępują tak Rzymianie w przypadku osób więzionych niesłusznie. Spodobała się rada. Zaraz też podszedł ktoś i młotem rozbił kajdany.⁴⁶

Nam wszakże trudno oprzeć się podejrzeniu, że owe łaski Wespazjana, a zwłaszcza Tytusa, zawdzięczał Józef nie tyle swoim wieszczym słowom i talentom, ile wpływom jakiejś bardzo możnej osoby, której przychylność zdołał pozyskać. Czy była nią Berenika?

RZĄDY WITELIUSZA

Inne natomiast były znaki wieszczce, inne nastroje i przygotowania w Rzymie. W dniu 18 lipca, a więc tuż po swym triumfalnym wkroczeniu do stolicy na czele sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy, Witeliusz otrzymał formalnie godność najwyższego kapłana; piastowali ją poprzednio wszyscy kolejni cesarze. W związku z tym nowy pan Rzymu opublikował tego samego dnia zwyczajowy edykt o ceremoniach religijnych. Fakt ten wywołał powszechne zdziwienie, a nawet wręcz przerażenie, jako że właśnie 18 lipca uchodził od wieków za nieszczęsny. W roku 477, jak mówiła legenda, przyniósł on zagładę całemu rodowi Fabiuszów, wciągniętemu przez Etrusków w zasadzkę nad potokiem Kremera, a prawie w sto lat później w tymże dniu armia rzymska poniosła straszliwą klęskę w bitwie z Galiami nad rzeczką Allia. Ponieważ ściśle przestrzegana tradycja zakazywała dokonywania w tym dniu jakichkolwiek ważnych i formalnych spraw publicznych lub prywatnych, obecnie mieszkańcy Rzymu pytali się wzajem ze szczerym zdumieniem:

— Czyżby Witeliusz o tym nie wiedział? Czyżby zapomniał? Czy nie rozumie, że jeśli nawet to tylko kwestia przesądu, daje tak postępując łatwy żer swym przeciwnikom i gorszy prostaczków? Czy on i jego doradcy naprawdę rządzą zamroczeni winem, jak twierdzą wrogowie?

Lecz bezstronny obserwator musiał przyznać, że poza tym przykrym, a chyba tylko przypadkowym incydentem Witeliusz rozpoczynał swe władanie w stolicy wcale nie najgorzej, w każdym zaś razie znacznie

zręczniejszy, niż tego się spodziewano. Nie srożył się i nie mścił. Zachowywał przykładowo pozory praworządności ustrojowej. Dawał usilnie do zrozumienia, że pragnie współpracować z senatem. Uczestniczył pilnie w posiedzeniach tego dostojnego zgromadzenia nawet wówczas, gdy porządek dzienny przewidywał rozpatrywanie spraw mało znaczących lub wręcz błahych. Zdarzyło się pewnego razu, że w jakiejś kwestii senator Helwidiusz Priskus ośmielił się sprzeciwić jego zdaniu. Witeliusz początkowo obruszył się w sposób widoczny, lecz wnet się zmitygował. Poprzestał na posunięciu czysto formalnym i przewidzianym procedurą. Wezwał mianowicie trybunów ludowych, by pospieszili z pomocą jego, Witeliuszowemu, uprawnieniom, okazano im bowiem pogardę! Trzeba zaś pamiętać, że cesarz, jak wszyscy jego poprzednicy, wyposażony był we władzę trybuna ludowego; kto więc jemu się sprzeciwiał, obrażał tym samym majestat ludu rzymskiego. Skończyło się na tym, że Witeliusz skwitował zatarg wspianiałomyślnym oświadczeniem:

— Ostatecznie nic to nowego, że dwaj senatorzy nie zgadzają się w sprawach politycznych!

Dał w ten sposób do zrozumienia, że uważa się tylko za senatora, równego swym kolegom. Rzecz i wypowiedź wywołały tym większe wrażenie, że Helwidiusz Priskus uchodził za niezłomnego i wręcz prowokująco śmiałego obrońcę ideałów republikańskich. Był pod tym względem wiernym naśladowcą swego teścia, Trazei Petusa. Tego, który za Nerona życiem przypłacił odwagę cywilną, z jaką występował w obronie wolności obywatelskich i osób niesłusznie oskarżanych. Otóż Witeliusz, jak gdyby usprawiedliwiając obecną postawę Helwidiusza, rzekł spokojnie i z miną wielce poważną:

— Niegdyś i ja sprzeciwiałem się Trazei Petusowi!

Powiedział to w taki sposób, że nikt nie potrafił odgadnąć, czy kpi, czy też istotnie uważa się za bohatera, albowiem w Neronowych czasach odważnie atakował — wrogów Nerona. Jedni oburzali się na tę wypowiedź, wołając, że to wręcz bezczelne porównywać tamta sytuację z terazniejszą, siebie zaś samego z Trazeą Petusem. Inni wszakże dopatrywali się w tym hołdu, choćby mimowolnego, złożonego prawdziwej cnotie.

Ten spór dotyczył tylko senatorów. Natomiast przychylność szerokich mas ludu Witeliusz zyskiwał pojawiając się na Forum wraz z kandydatami na wyższe urzędy i rekomendując ich osobiście przed wyborami; częściowo odbywały się one właśnie w lipcu. Była to oczywiście tylko formalność, pusty i wręcz niedorzeczny relikw z czasów wolnej republiki, kiedy to walczono naprawdę o popularność, o poparcie i głosy obywateli. Obecnie wszystko uzgadniano z góry w pałacu cesarskim, rzekome zaś wybory zmieniły się w śmieszny i upokarzający demonstrację wiernopod-dańczej lojalności. Twierdzono jednak z uznaniem, że Witeliusz okazuje szacunek przynajmniej owym pozorom rzeczywistego życia politycznego; bo i fikcje w jakiś sposób się liczą.

IGRZYSKA I UCZTY

Lecz najszczerzą sympatię prostego ludu zjednał sobie Witeliusz pilnie odwiedzając teatry i cyrki. Oglądał z prawdziwą lubością zwłaszcza wyścigi rydwanów, był bowiem od lat chłopięcym namiętym

i wręcz fanatycznym kibicem (trudno nie posłużyć się tu tym dzisiejszym terminem) stronnictwa Niebieskich. Podobno właśnie swemu przywiązaniu do tej barwy cyrkowej zawdzięczał namiestnictwo Germanii Dolnej. Galba dał mu je, tak powiadano, ulegając namowom swego doradcy, Tytusa Winiusza, również gorącego poplecznika Niebieskich. Wnet po przybyciu do prowincji Witeliusz został obwołany przez tamtejsze legiony cesarzem. Te bowiem gardziły Galbą i już wcześniej parły do rebelii, szukając takiego kandydata do tronu, który mógłby się poszczycić godnością senatorską; znaleziono go właśnie w osobie Witellusza. Obecnie więc popierał on jeszcze goręcej Niebieskich, wierząc, że to im zawdzięcza zawrotną karierę. Utrzymywano później — pogłoskę tę przekazuje Swetoniusz — że bardzo surowo, bo nawet śmiercią, karał tych z pospólstwa, którzy podczas wyścigów ośmielali się pokrzykiwać przeciw woźnicom cesarskiej barwy. Jeśli jest coś prawdy w tej informacji i rzeczywiście prześladowano za demonstrowanie niechęci do Niebieskich, to działo się tak chyba dopiero pod koniec panowania cesarza, kiedy ten, zagrożony postępami rebelii ze Wschodu, dopatrywał się wszędzie oznak niechęci i srożył się przy każdej sposobności. Lecz w pierwszych miesiącach nowej władzy wszystko układało się inaczej. Witeliusz zabiegał o opinię pana łaskawego. Szczerze pragnął, by widowiska były naprawdę zabawą wesołą i beztruską. Choć brakowało pieniędzy, rozbudowywano na gwałt stajnie, ściągano zewsząd gladiatorów, sprowadzano z dalekich krain egzotyczne zwierzęta. Wydawało się, że znowu wracają dobre, Neronowe czasy nieustannych igrzysk i ucztowań.

Biesiadował zaś Witeliusz bez przerwy, wspaniale

i wyszukanie. Pod tym względem Neron nawet nie mógł się z nim równać! Wielki ów artysta nie doceniał rozkoszy stołu, przywiązywał natomiast zbyt dużą wagę do uciech łoża. Swetoniusz takie daje świadectwo Witeliuszowej żarłoczności:

„Jadał zawsze trzy, a czasem cztery razy dziennie. Były śniadania, obiady, wieczerze, ucztę. Znosił to wszystko łatwo, bo przywykł womitować. W tym samym dniu wyznaczał sam sobie rozmaite przyjęcia u różnych osób, a żaden z gospodarzy nie wydał na przygotowanie takiego przyjęcia mniej niż czterysta tysięcy. Głośna ponad wszystkie ucztę była ta, którą brat go witał; podobno podano na niej dwa tysiące ryb najwyborniejszych i siedem tysięcy sztuk ptactwa. Lecz tę on sam przewyższył, gdy poświęcał tacę, którą dla ogromnych rozmiarów nazwał «tarczą Minerwy, strażniczki miasta»; na niej to rozkazał podać zmieszane wątróbki ryb wargaczy, mózdzki bażantów i pawi, języki flamingów, mleczko muren. Przywieźli je aż od granic partyjskich i od cieśniny hiszpańskiej kapitanowie trójrzędowców. Będąc zaś człowiekiem żarłoczności nie tylko nienasyconej, lecz także niewczesnej i obrzydliwej, nie potrafił się powstrzymać ani składając ofiary, ani też podróżując, by nie wziąć czegoś do ust. Zjadał od razu przy ołtarzu wnętrzości zwierząt i placek orkiszowy, porwawszy je prawie z ognia; a w przydrożnych jadłodajniach chwycił dymiące jeszcze potrawy lub też wczorajsze i już na pół zjedzone.¹⁴⁷

Tarczę Minerwy, jak informuje nas inny autor, sporządzono ze srebra. Kosztowała ponad milion i po Witeliuszu przechowywano ją troskliwie w skarbcu przez ponad pół wieku, aż do czasów cesarza Hadriana; dopiero ten rozkazał przetopić ów niezwykły za-

bytek chorobliwych upodobań swego poprzednika. Były to trudne miesiące dla wszystkich wybitniejszych osobistości Rzymu, nieustannie goszczących cesarza lub wraz z nim goszczonych przez kogoś. Trudne i ciężkie nie tylko pieniądze, lecz również dlatego, że nie każdy posiadał Witeliuszową umiejętność łatwego womitowania kilkakrotnie w ciągu dnia. Jeden z najwybitniejszych i najbogatszych, -a zarazem najdowcipniejszych senatorów tego czasu, Wibiusz Krispus, długo słabował i nie uczestniczył w nieprzerwanym cyklu wzajemnych przyjęć. Uznał to za dowód szczególnej łaski losu i ujął rzecz w krótkim powiedzeniu, często potem powtarzaniem:

— Gdybym wtedy nie zachorował, na pewno bym umarł.

Witeliusz zresztą miłował przepych i wystawność nie tylko przy stole. Chciał również mieszkać tak wspaniale jak nikt dotąd. Nie zadowalał go nawet ogromny, co prawda jeszcze nie wykończony, Złoty Dom Nerona; uważał, że jego wystrój i urządzenia są zbyt ubogie. Także żona Witeliusza, Galeria, ganiła skromność ozdób, jakie tam znalazła.

Taki tryb życia oczywiście ośmieszał cesarza w oczach elity intelektualnej oraz tych, którzy z emfazą, choć nie w pełni szczerze wychwalali starorzyską prostotę i samodyscyplinę. Z drugiej wszakże strony lud z upodobaniem patrzył na władcę, który ma swoje słabostki, jak każdy normalny człowiek. A nawet najsurowsi Katonowie musieli się zgodzić, że cesarz tak swobodnie dopuszczający gości do swego stołu i chętnie odwiedzający domy przyjaciół jest nieporównanie godniejszy uznania od kogoś żyjącego wprawdzie bardzo skromnie, lecz podejrzliwego i nieprzystępnego. Owszem, podnosiły się głosy, wówczas

i potem, że Witeliusz przeje cały skarb Imperium, i tak już nadszarpnięty ostatnimi wojnami. Obliczono później, że w ciągu kilku miesięcy jego panowania poszło na wszelakie zbytki około dziewięciuset milionów sesterców. Lecz poglądy te i zestawienia świadczyły tylko o nieznamości elementarnych praw ekonomii. Żadne lukullusowe uczty nie mogły mieć istotnego wpływu na stan finansów państwa. Co więcej, wolno przypuszczać, że ogromne zapotrzebowanie dworu i domów pańskich na towary zbytkowe ożywiło pewne dziedziny rzemiosła w stolicy. Prawdziwym natomiast problemem politycznym, gospodarczym, a nawet zdrowotnym stało się dla Rzymu w ciągu owego lata roku 69 co innego.

WITELIUSZA ŻOŁNIERZE I WODZOWIE

W mieście wciąż przebywały wielotysięczne zastępy wojsk znad Renu. Nie mogły ich pomieścić żadne koczary, kwaterowali więc w domach prywatnych, a nawet w portykach i świątyniach. Wielu rozbiło swe namioty za Tybrem, wśród podmokłych pól i ogrodów niezdrowej okolicy zwanej Watykanem. Żołnierze, przywykli do czystych rzek i chłodnego, lecz rześkiego powietrza północy, źle znosili upał, łapczywie pili mętne wody Tybru, zapadali na zdrowiu. Mnóstwo ich zmarło, a epidemia zaczęła też pochłaniać coraz więcej ofiar wśród ludności cywilnej. Nieustannie również dochodziło do bójk i prób rabunku, bogactwo bowiem stolicy świata, widne nie tylko w pałacach wielmożów, nęciło przybyszów znad granicy, żyjących dotychczas w niesłychanie prymityw-

nych warunkach. Wskutek beczynności rozpręgå się surowa dyscyplina wojskowa. Nie przestrzegano zmiany wart i straży. Nie odbywano nawet apelów. Bandy zbrojnych włóczyły się bezkarnie po wszystkich dzielnicach, wypatrując okazji gwałtu i grabieży.

Dodatkowe zamieszanie i wzburzenie wprowadziła wśród mas żołnierskich akcja rekrutowania do nowo formowanych kohort pretoriańskich i miejskich. Tych pierwszych miało być nie dziewięć, jak dotychczas, lecz aż szesnaście, miejskich natomiast tylko cztery; jedno i drugie liczyły po tysiącu zbrojnych. W zasadzie wypadało wybierać do owych oddziałów gwardyjskich ludzi najgodniejszych zaufania, prawdziwie zasłużonych, a przy tym postawnych i sprawnych. Tymczasem zaś zdano wszystko na los przypadku i chęć poszczególnych żołnierzy. Działo się więc często tak, że najzdadniejsi pozostawali w legionach, bo tak woleli, niewiele zaś warcu wstępowali w szeregi pretorianów. Jedną z przyczyn owego dziwnego stanu rzeczy stanowiła też rywalizacja pomiędzy najbliższymi i bardzo wpływowymi doradcami cesarza; byli nimi Cecyna, Alienus i Fabiusz Walens.

Jako legaci, czyli dowódcy legionowi armii Renu, obaj przyczynili się ogromnie do obwołania Witeliusza cesarzem. Fabiusz Walens był pierwszym, który w dniu 2 stycznia uroczyście i publicznie pozdrowił go w Kolonii tytułem imperatora. Obaj też prowadzili wiosną działania wojenne przeciw Othonowi nad Padem, sam bowiem Witeliusz pozostawał długo za Alpami. Walens chlubił się nie bez pewnej racji, że w owej kampanii odniósł największe sukcesy, ratując Cecynę z ciężkiej opresji. Ten chyba rzeczywiście ustępował Walensowi talentami wodzowskimi i cie-

szyl się mniejszym mirem wśród żołnierzy, górował natomiast nad nim samą postawą (był bardzo wysoki), wymową, pewnością siebie i rzutkością w sprawach politycznych. Ich wzajemna niechęć, zaledwie ukrywana, wzmogła się jeszcze po zwycięstwie. Chodziło przecież o to, kto będzie miał większe wpływy u władcy, czyli — skoro Witeliusza pasjonowały tylko igrzyska i uczty — decydujący udział w rządach. Cesarz wszakże miał na tyle sprytu, że wciąż zmieniał swe nastawienie, rozdzielając łaski i złośliwości od przypadku do przypadku. Rozumiał doskonale, że wzajemna wrogość tamtych najlepiej gwarantuje jego własne bezpieczeństwo. W swej perfidii posunął się nawet do tego, że sprzął ich obu razem jako konsulów roku 69 od września.

Właśnie w tym charakterze, jako urzędujący konsulowie, Fabiusz Walens i Cecyna przygotowali wspólnie igrzyska z początkiem tego miesiąca, by należycie uczcić pięćdziesiątą czwartą rocznicę urodzin władcy. Uroczystości, przedstawienia i zabawy trwały przez dwa dni. Niemal na każdej ulicy w całym mieście można było oglądać walki gladiatorów; występowali oni w zbrojach i strojach tak pysznych, jak nigdy dotychczas. Wtedy to również sam Witeliusz złożył ofiary cieniem Nerona. Co prawda dokonał tego nie w grobowcu Domicjuszów na Wzgórzu Ogrodów, bo droga z miasta wydawała się zbyt daleka, lecz przy ołtarzu wzniesionym na Polu Marsowym umyślnie w takim miejscu, by tamten monument był dobrze widoczny. Wokół ołtarza zgromadziły się wszystkie starożytne i czcigodne kolegia kapłańskie. Zarznięto zwierzęta ofiarne, stos zaś, na którym miały spłonąć ich wnętrzości, rozpalili pochodnią członkowie kolegium Augustalów; założono je przed prze-

szło pięćdziesięciu laty właśnie w tym celu, by czuwało nad kultem rodu julijskiego. Ceremonia wywołała sprzeczne wrażenia i opinie w mieście. Tacyt nie darował sobie kąśliwej uwagi, pisząc: „Rzecz ta, miła każdemu najniegodziwшему, u ludzi prawych wzbudziła oburzenie”.⁴⁸ Inni zaś powiadali:

— Witeliusz uczynił to, aby przypadkiem nikt nie miał wątpliwości, kogo obiera sobie za wzór w rządach nad państwem!

Lecz żałobna uroczystość miała w istocie sens głębszy, a z punktu widzenia Witeliusza w pełni zrozumiały i godny uznania. Obchodząc rocznicę swych urodzin cesarz musiał też uczcić, tak się godziło, pamięć poprzednika na tronie. Któż nim był jednak? Przecież nie Othon, którego pokonał jako uzurpatora. I także nie Galba, albowiem właśnie przeciw temu władcy powstały legiony nadreńskie, wynosząc na tron Witeliusza! Pozostawał więc tylko Neron jako ostatni legalnie panujący i powszechnie uznawany cesarz Rzymian. Był on wszakże ostatnim przedstawicielem rodu julijsko-klaudyjskiego; skoro więc składano mu ofiary, wypadało, aby mieli w tym swój udział także kapłani powołani do podtrzymywania kultu owego rodu.

SPORUS

L ozornie beztroską atmosferę urodzinowych zabaw i ceremonii zakłócił wszakże przykry incydent. Było nim samobójstwo Sporusa. Jeśli połączyć i uzupełnić wszystko to, co się już powiedziało o kolejach i epizodach jego życia, odsłoni się obraz prawdziwie bu-

dzący zgrozę; tylko śmierć mogła wyzwolić chłopca od coraz dotkliwszych upokorzeń.

Przed kilku laty Neron rozkazał wykastrować go i chciał koniecznie zrobić zeń dziewczynę — tylko dlatego, że z rysów twarzy przypominał niedawno zmarłą Sabinę Poppeę. W czasie swej greckiej podróży pojął owego Sporusa-Poppeę za żonę, przy czym rolę ojca „panny młodej” odgrywał Tygellinus. Kal-wia Kryspinilla, mistrzyni umiejętności miłosnych, czuwała troskliwie nad wychowaniem kobiecym „cesarzowej”. Mimo to, jak zdają się świadczyć pewne fakty, Sporus był prawdziwie przywiązany do Nerona. Pozostał przy nim nawet wtedy, gdy uciekli już wszyscy. Razem ze swym panem i mężem wyjechał nocą do podmiejskiej willi wyzwolenca Faona i stał tuż obok gotującego się na śmierć aż do chwili ostatniej. Neron, rozkazawszy wykopać grób na miarę swego ciała i próbując palcem ostrzy sztyletów, właśnie Sporusa błagał, by już zaczął go oplakiwać. Potem rozległ się tętent koni; ścigający wdierali się do willi, nie było chwili do stracenia. Cesarz wbił sobie sztylet w szyję przy pomocy wyzwolenca Epafro-dyta, który pchnął mocniej jego drżącą rękę. Zawsze wierny Sporus znalazł się później wśród garstki uczestników pogrzebu, który przygotowała Akte i obie piastunki. Patrzył na stos, widział płonące zwłoki, lecz nie był już obecny przy zbieraniu szczątków do urny; tej, którą przeniesiono następnie do porfirowego sarkofagu w grobowcu Domicjuszów. Niemal od samego stosu rozkazał odciągnąć Sporusa Nymfidiusz Sabinus, prefekt pretorianów.

Neron wyniósł tego człowieka do najwyższych godności i ufał mu całkowicie, lecz właśnie on w momencie decydującym haniebnie zdradził cesarza i wielce

przyczynił się do jego zguby. Zamierzał przejąć cały spadek po zmarłym, łącznie ze Sporusem. Podobnie jak Neron traktował Sporusa niby żoną i tak samo nazywał go Poppeą. Czy tylko naśladował cesarza, czy też istotnie należał kiedyś do cichych wielbicieli tej kobiety o niezwyklej urodzie? Zginął jednak Nymfidiusz Sabinus rychło, i to śmiercią gwałtowną, gdy tylko doniesiono Galbie o jego ambicjach przywdziania purpury cesarskiej. W kilka miesięcy później Sporusa przejął nowy władca, Othon, pilnie nawiązujący do wszelkich Neronowych tradycji. I znowu ów fakt, że Sporus przypominał Sabinę Poppeę, dodał związkowi uroku szczególnego, wręcz perwersyjnego, jako że była ona niegdyś umiłowaną właśnie Othona. Lecz i ten cesarz zakończył życie tragicznie, wbijając sobie własną ręką sztylet wprost w serce. Znając mentalność tamtej epoki łatwo odgadnąć, jakie pogłoski rozeszły się po Rzymie: Sporus przynosi nieszczęście! Zapewne dlatego Witeliusz i jego doradcy stronili odeń przez czas jakiś. Postanowili jednak wyzyskać jego urodę i swoistą sławę w inny sposób. Sporus, kochanek dwóch cesarzy i pretendenta do tronu, chłopiec-dziewczyna, żywy obraz zmarłej żony Nerona, miał wystąpić w trakcie igrzysk urodzinowych na scenie, aby odtworzyć w pewnej sztuce teatralnej rolę porwanej dziewczycy! Lecz do tego nie doszło. Nieszczęsny odebrał sobie życie.

On to więc był prawdziwą ofiarą złożoną cieniem Nerona. Ale zarazem już wywoływał swego mściciela. Żadne bowiem obrzędy i uroczystości, wspaniałe, rozgłośne i pozornie wesołe nie mogły przesłonić tego, o czym w stolicy już wiedzieli wszyscy: na Wschodzie rebelia!

WYMARSZ

Fakt, że Wespazjana obwołano cesarzem w Aleksandrii w dniu 1 lipca, musiał stać się znany w Rzymie już pod koniec tegoż miesiąca. Tamte kraje wydawały się jednak tak odległe, że zarówno cesarz, jak i ludność potraktowali doniesienia dość obojętnie. Toteż jako pierwszy podmuch prawdziwej burzy przyjęto doniesienie, które dotarło do stolicy z początkiem sierpnia znad dolnego Dunaju. Aponiusz Satur-nin, namiestnik tamtejszej prowincji Mezji, pisał, że zbuntował się legion III z przydomkiem Galijski, ten, który należał przedtem do armii Eufratu, a nad Dunaj został translokowany z Syrii dopiero pod koniec roku 67. Jednakże namiestnik ekspediował listy w pośpiechu i zdenerwowaniu, toteż meldunek wydawał się dziwacznie zagmatwany; może zresztą Aponiusz umyślnie formułował swe myśli niezbyt jasno, sam bowiem wnet przeszedł na stronę Wespazjana. Otoczenie cesarza usiłowało najpierw zlekceważyć doniesienie i całą sprawę, wywodząc, że w najgorszym wypadku chodzi o jakieś zamieszki i nieporozumienia w jednym obozie legionowym, podczas gdy wszystkie inne zachowują spokój i wierność. Mimo to Witeliusz zwołał wiec żołnierski i osobiście na nim wystąpił. Ostro zaatakował niedawno zwolnionych ze służby pretorianów Othona. Wołał, że to oni rozsiewają obecnie kłamliwe plotki o jakimś przewrocie na Wschodzie. Zapewnił autorytatywnie, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa wojny domowej. Zauważono wszakże, iż w toku całej mowy ani razu nie wspomniał imienia Wespazjana. Wkrótce potem rozesłano po

całym mieście żołnierzy. Ci czujnie przysłuchiwali się wszelkim rozmowom, natychmiast i brutalnie tłumiąc niewłaściwe komentarze i pogłoski. Takie metody oczywiście tylko dolewały oliwy do ognia w mieście i tak już huczącym od najrozmaitszych plotek. Co prawda wieści napływały ze Wschodu z dużym opóźnieniem i mocno zniekształcone, Wespazjan bowiem i jego ludzie usiłowali przerwać wszelkie połączenia, aby osłonić tajemnicą swe ruchy i przygotowania. Trwał również, jak co roku, okres tak zwanych etezji, czyli wiatrów dmących z zachodu na wschód od ostatniej dekady lipca przez dni około trzydzieści, co oczywiście ogromnie utrudniało żeglugę.

Licząc się z najgorszym Witeliusz postanowił zmobilizować swe wojska rozłożone w różnych krainach Zachodu. Zamierzał przynajmniej część ich ściągnąć do Italii. Rzecz jednak traktował dość opieszale, nie widząc potrzeby nadmiernego pośpiechu, skoro w samej stolicy ma sześćdziesiąt tysięcy zbrojnych. Obawiał się również, że zbyt gorączkowe rozkazy wywołają złe wrażenie w prowincjach, dadzą do myślenia namiestnikom i dowódcom, a nawet doprowadzą do paniki. Ponieważ wezwania ze stolicy nie ponaglały, również odpowiedzialni za ich wykonanie nie wykazywali nadmiernej gorliwości. Zresztą niektórzy z dostojników, zwłaszcza ci zarządzający nad Renem i w Brytanii, mieli dość kłopotu z utrzymaniem bezpieczeństwa u granic tymi siłami, jakie stały do dyspozycji, wcale nie kwapili się do ich uszczuplania. Wszyscy zaś uważali, że roztropniej będzie spokojnie czekać, obserwując z dala rozwój wydarzeń w Italii.

Tymczasem stało się jasne, że wszystkie legiony naddunajskie przeszły na stronę Wespazjana lub uczynią to w najbliższej przyszłości. Zaczęto też mó-

wić, że wojska te już obsadziły przejścia pomiędzy Alpami wschodnimi a Italią, ba, że maszerują ku nizinom nad Padem! Nie było co zwlekać. Pod koniec września Witeliusz postanowił wyprawić na północ wojska dotychczas stacjonujące w Rzymie. Dowodzić nimi mieli wspólnie Cecyna i Fabiusz Walens, lecz ponieważ ten drugi jeszcze nie powrócił do sił po ciężkiej chorobie, faktyczną komendę sprawował początkowo tylko Cecyna.

Nie minęły jeszcze trzy miesiące od dnia, w którym zwycięska armia Witeliusza wkroczyła do Rzymu. Przywołajmy raz jeszcze obraz tamtego triumfalnego pochodu:

Na przedzie szły poczty sztandarowe z orłami czterech legionów towarzyszących cesarzowi, a jeszcze przed nimi prefekci obozów, trybuni i najwyżsi rangą centurionowie, wszyscy odziani na biało. Po obu stronach tego zastępu ustawiły się poczty z godłami, lecz bez orłów, tych czterech legionów, które pozostały jako straż u granic. Dalej niesiono znaki bojowe dwunastu szwadronów jazdy, a za nimi maszerowały zwarte szeregi legionistów ze swymi centurionami; wszyscy wystąpili w pełnym, paradnym uzbrojeniu, w lśniących pancerzach i hełmach, z odznaczeniami i medalami na piersiach. Tę zbrojną i strojną kolumnę zamykał długi zastęp trzydziestu czterech kohort posiłkowych.

Obecnie tą samą Drogą Flaminijską opuszczały miasto luźne, wlokące się noga za nogą szeregi żołnierzy zmęczonych upałem, rozleniwionych długim nieróbstwem, brakiem dyscypliny, urokami wielkomiejskiego życia. Pod względem liczebności był to jednak korpus imponujący. Obejmował cztery legiony, wybrane oddziały siedmiu innych, wiele kohort posiłko-

wych. Część jazdy poszła już przodem do Kremony, Lecz wszystkie te formacje zmierzały bez zapału ku terenowi przyszłych zmagania nad Padem. Ich zaś wódz pogrążał się niemal z każdą godziną powolnego marszu w coraz głębszej zadumie. Rozwahał plany tajemne, nieodgadnione. Pierwszym krokiem ku ich realizacji była nagła zmiana rozkazu, wydanego przez Fa-biusza Walensa jeszcze w Rzymie, by te siły, które miały podlegać mu bezpośrednio, zatrzymały się w drodze i czekały na jego przybycie. Otóż Cecyna zdecydował, że wobec ogromu niebezpieczeństwa armii dzielić nie wolno. Całą kolumnę wojsk skierował 'dalej, nad środkowy i dolny bieg Padu. Sam natomiast w pewnym miejscu zбочzył ze szlaku i podążył w bok, do Rawenny. Rzekomo tylko po to, by wygłosić mowę do żołnierzy i marynarzy stacjonującej tary floty wojennej.

WITELIUSZ I GWIAZDY

W iteliusz stronił zawsze od szczęku broni i niewygód życia obozowego, pozostał więc w stolicy. Z troską myślał o tym, jaki obrót przybiorą walki nad Padem, z prawdziwą zaś trwogą oczekiwał, co przyniosą mu ostatnie dni kończącego się miesiąca września. Wreszcie bowiem i do jego rąk dotarło ulotne pisemko, od pewnego czasu krążące po Rzymie, a zawierające tylko dwa krótkie zdania: „Mówią Chaldejczycy. Dla dobra państwa: do dnia 1 października Witeliusza Ger-manika nie powinno być nigdzie". W treści i formie była to oczywista kpina z urzędowego edyktu, w którym cesarz rozkazywał usunąć do dnia 1 październi-

ka z Rzymu i całej Italii wszystkich Chaldejczyków i matematyków; tak zwano wówczas astrologów.

Jak nawet oiajoświeceńsi ludzie tamtej epoki, Witeliusz był przesądny. Miał w swym otoczeniu stale wrózkę z germańskiego plemienia Chattów. Przywiózł ją znad Renu i zasięgał jej rady we wszystkich sprawach poufnych. Ona to ponoć przepowiedziała mu, że będzie mógł panować długo i spokojnie tylko wtedy, jeśli przeżyje swoją matkę; dlatego to, powiadano, dostojna pani zmarła wkrótce po przybyciu do stolicy syna, który witał ją na Kapitolu i zaszczyił tytułem Augusty, lecz zabronił podawać jej posiłków, gdy zachorowała. Inni znowu twierdzili, że ona sama postanowiła dobrowolnie umrzeć, obawiając się tego, co przyjść musi; prosiła więc syna o truciznę — i otrzymała ją nadspodziewanie łatwo. Tego rodzaju oszczerze pogłoski i plotki fabrykowali oczywiście wrogowie cesarza; znajdowały one wiarę, o Witeliu-szowej bowiem zabobonności wiedzieli wszyscy. Dlatego również ułożono ów żartobliwie groźny edykt chaldejski. Władca odczytywał jego szydercze słowa z tajonym lękiem. A jeśli owa wieszczba, wypowiedziana niby tylko żartem, istotnie odsłania przyszłość i stanie się rzeczywistością? Wszyscy ludzie tamtej epoki przyjmowali wyroki astrologów z bojaźnią i wiarą, lecz jednocześnie ich samych darzyli głęboką niechęcią, a nawet wrogością, podejrzewając o najgorsze zamiary i matactwa. Jeśliby wierzyć temu, co przekazały źródła starożytne, w przypadku Witeliusza owa dwoistość postawy zaznaczała się szczególnie silnie i wcale nie bez powodu.

Krażyły o tym różne opowieści. Gdy tylko przyszedł na świat, rodzice, jak to wówczas praktykowano powszechnie, zwrócili się ponoć do Chaldejczy-

ków z prośbą o ułożenie horoskopu dziecka, czyli tak zwanej genitury. Jakiej treści był ów horoskop urodzeniowy, usiłowano potem wywnioskować z pewnych wypowiedzi i faktów. I tak ojciec Witeliusza usilnie zabiegał do końca swych dni, by synowi nie powierzono namiestnictwa żadnej prowincji, matka zaś rozpacziała, gdy za Galby otrzymał on Germanię, a jeszcze bardziej, gdy okrzyknięto go cesarzem. Usłyszawszy o tym miała zawołać:

— Już jest zgubiony!

Jeśli to prawda, ojciec i matka myśleli po prostu o nieudolności i słabości charakteru syna, potem jednak tłumaczono to inaczej. Twierdzono również, że jeszcze za panowania Neroną sam Witeliusz miał rzec z nie ukrywaną pogardą, gdy ktoś wspomniał w jego obecności o wielkich umiejętnościach matematyków:

— To głupcy. Nie mają pojęcia o niczym. Przecież nawet mnie przepowiedzieli, że kiedyś zostanę cesarzem!

Powtórzono to Neronowi, lecz ten tylko się roześmiał:

— Witeliusz cesarzem? To rzeczywiście bzdura!

W innych wszakże przypadkach tego rodzaju Neron karał jak najsurowiej zarówno autorów przepowiedni, jak też ich klientów. Postępował tak niepomny mądrej przestrogi, że jeszcze żadnemu z władców nie udało się zabić swego następcy (co prawda bardzo wielu udało się usunąć takich, którzy byliby dobrymi następcami). Toteż w tymże mniej więcej czasie młody Othon, któremu astrologi ponoć także tron wieszczili, obrał nieco inną metodę, by uspić Nero-nową czujność: opowiadał szeroko wokół, że to wręcz komiczne wróżyć panowanie człowiekowi tak ciężko

choremu, jak on — jedną nogą stojący właściwie już na tamtym świecie!

Jeśliby więc poważnie traktować wszystkie te świadectwa, trzeba by przyjąć, że urodzeniowy horoskop Witeliusza mówił mniej więcej tak: będąc namiestnikiem prowincji otrzyma on purpurę cesarską, lecz jeśli się to stanie, czeka go los straszliwy. Oczywiście cała owa historia wygląda na późniejsze zmyślenie pisarzy lub samych astrologów, pragnących umocnić wiarę w moc i prawdziwość swej umiejętności. Skłonni bylibyśmy zupełnie inaczej tłumaczyć powody, dla których Witeliusz wygnał matematyków z Rzymu i Italii. Większość z nich z pewnością zaangażowała się poprzednio po stronie Othona przeciw Witeliuszowi, przepowiadając temu drugiemu koniec rychły i haniebny. "Skoro wszakże wypadki potoczyły się inaczej, mistrzowie wiedzy gwiazdnej musieli uznać, by ratować swój zachwiany autorytet, że zaszedł drobny błąd w obliczeniach: Witeliusz istotnie zostanie pokonany i zginie marnie, lecz z czyjejs innej ręki i nieco później. I oto, ku szczerzej radości astrologów, zaczęły napływać jedna za drugą wieści o rebelii na Wschodzie, o obwołaniu Wespazjana cesarzem, o przejściu na jego stronę wszystkich legionów naddunajskich. Chaldejczycy mogli zziowu stawać z podniesionym czołem przed swymi klientami i wskazując ostatnie wydarzenia powiadać:

— Gwiazdy, jak widzicie, zawsze mówią prawdę. Tym razem zbawienie przyjdzie do nas ze Wschodu! W taki to sposób Wespazjan bez żadnego wysiłku i nawet o tym nie wiedząc zyskał w samej Italii setki, a może i tysiące gorliwych, a bardzo wpływowych popleczników swej sprawy. Głosili oni potajemnie, lecz przy każdej możliwej okazji, że jego zwycię-

stwo jest całkowicie pewne, albowiem tego chce Przeznaczenie, wypisane w konstelacjach gwiazd. Mało kto w ogromnym Imperium był tak szczerze oddany nowemu cesarzowi jak astrolodzy; najdzielniej sekundowali im zwolnieni niedawno ze służby pretorianie. Witeliusz zaś, wzburzony oczywistą zdradą, wróżeniem mu klęski i śmierci (dziś nazwalibyśmy to po prostu wrogą propagandą), srożył się coraz bardziej. Wygnał mistrzów gwiazdnej wiedzy i niemal bez przesłuchania skazywał każdą osobę podejrzaną o uprawianie praktyk astrologicznych lub fabrykowanie złośliwych i oszczerczych pisemek.

Oczywiście w owych dniach wrześnieowych wylapywano w Rzymie tylko płotki. Prawdziwie wybitni, sławni i bogaci „matematycy”, ostrzeżeni chyba nie tyle przez znaki niebiańskie, ile przez zwykły rozsądek, już zawczasu opuścili stolicę, a nawet Italię. Jako jeden z pierwszych uczynił to z pewnością nadworny astrolog Othona, już wspomniany Ptolemeusz Seleukos. Należał on przed wielu laty do ludzi bliskich Othonowi. Potem służył Sabinie Poppei i dzięki temu wywierał duży wpływ na dworze Nerona-wym. Po tragicznej śmierci swej pani znowu znalazł się u boku Othona w Luzytanii i wraz z nim powrócił do Rzymu w roku 68. To on ustaliwszy z początkiem stycznia roku 69 położenie gwiazd oświadczył kategorycznie, że dzień 10 tego miesiąca źle wróży wszelkiemu nowemu przedsięwzięciu. Właśnie dlatego Gal-ba zginął dopiero w pięć dni później.

KOBIETY I GWIAZDY

I ajemnicza i niesamowita postać astrologa Ptolemeusza Seleukosa pozostała na długo w pamięci Rzymian, tym bardziej że później miał się on jeszcze cieszyć wielkim zaufaniem Wespazjana. Toteż wspomina o nim, >choć nazwiska nie wymienia, satyryk Juwenalis; czyni to w swym VI utworze, pisany około roku 116. Warto z różnych względów rzecz tę krótko omówić i przytoczyć pewne jej fragmenty.

Poeta ułożył satyrę po to, aby ostrzec swego przyjaciela Postumusa. Ten, skądinąd zdrów na ciele i umyśle, nagle zapragnął się żenić! Lepiej byś się powiesił, lepiej skoczył z okna na bruk lub z mostu do rzeki! — woła Juwenalis, zdumiony, przerażony, wstrząśnięty. Małżeństwo to po prostu niewola, a kobiety to istoty pełne wszelakich wad, ułomności, przywar, zdolne do występków najgorszych i najpodlejszych. W katalogu niewieścich słabostek i grzechów nie mogło oczywiście zabraknąć wzmianki o tym, jak niezdrową uległość okazują panie wobec przeróżnych przesądów, a zwłaszcza wobec tajemnej sztuki Chaldejczyków:

„Cokolwiek powie astrolog, będą wierzyły tak, jak gdyby obwieściło to źródło boga Ammona; albowiem w samych Delfach wieszczby już milkną i mgła zasłaniając przyszłość grozi zgubą rodzajowi ludzkiemu. Uchodzą zaś za wróżą najznakomitszego ten, który nieraz bywał wygnańcem. A także ten, który swoją przyjaźnią i sprzedającą tabliczką sprowadził śmierć na wielkiego obywatela, co był Othonowi straszny.”

Sławna wyrocznia boga Ammona znajdowała się w libijskiej oazie, poeta czyni więc aluzję do rozpo-

wszechniania się kultów wschodnich, które dławiają głos samego Apollona. Wielki obywatel to oczywiście Galba, astrolog zaś dokonujący na swej tabliczce takich obliczeń, jakich oczekuje płacący sowicie klient--przyjaciel, to Ptolemeusz Seleukos. Satyryk prowadzi dalej namiętny wywód przeciw astrologom i łatwowiernym paniom:

„Wiedza mistrza wzbudza ufność zwłaszcza wtedy, jeśli jego prawicę i lewicę skuły kiedyś kajdany i jeśli długo siedział w więzieniu. Żaden matematyk sławy nie zdobędzie, jeśli nie został przynajmniej raz skazany. Liczy się tylko taki, który ledwie śmierci uniknął. Taki, który miał szczęście poznać jako wygnaniec Cyklady i z biedą pożegnał wysepkę Seryfos!

Otóż wiedźma twoja zasięga u Logos takiego porady, jako że matka, chora na żółtaczkę, umiera zbyt powoli. Najpierw jednak zapyta o ciebie. A przy sposobności zechce się dowiedzieć, kiedy sprawi pogrzeb swym siostram i wujom i czy kochanek ją przeżyje; bo cóż wspanialszego mogą dać bogowie?

Lecz ta kobieta przynajmniej sama jeszcze nie wie, czym grozi ponura gwiazda Saturna i w jakiej konstelacji Wenus okaże się łaskawa, jaki miesiąc straty przyniesie, a jaki znów zyski. Pomnij jednak unikać spotkania z panią, w której rękę ujrzyś kalendarz wytarty i gładki od ciągłego wertowania niby kulki bursztynu. Taka już nie radzi się nikogo, to ona jest wyrocznią! Gdy mąż wyjeżdża do obozu wojsk lub powraca do ojczyzny, nie wybierze się z nim razem w drogę, jeśli nie potwierdzą tego obliczenia przeprowadzone na podstawie pism matematyka Trazyllosa. Gdy zechce tylko o miłą wybrać się za miasto, godzinę wyznaczy książeczka. Gdy swędzi zatarty kąt oczka, maści użyje dopiero wtedy, kiedy sprawdzi swój uro-

dzinowy horoskop. Choćby chora leżała, nie znajdzie lepszej godziny, by się posilić, niż tę, którą wskaże Petozyrys.”⁴⁹

Egipskie imię Petozyrys znaczy dosłownie Dar Ozyrysa; podobnie jak Petezis to Dar Izydy, czyli grecki Izydor. Uchodził zaś Petozyrys za autora podręcznika astrologicznego, który niezmiernie ceniono w początkach cesarstwa.

Aby jeszcze dobitniej ukazać, czym była dla Hellenów i Rzymian astrologia, oddajmy głos człowiekowi, który nie bez racji uchodzi za sceptyka i prześmiewcę, będąc zarazem pisarzem bardzo inteligentnym i utalentowanym. Mowa o Lucjanie z Samosat, żyjącym w II wieku naszej ery. Powiada on w swym krótkim traktacie „O gwiazdoznawstwie”:

„Moim celem jest zganienie tych uczonych, którzy uprawiają i przekazują swym uczniom dnme nauki, a nie czczą i nie uprawiają jedynie astrologii.

Jest to nauka stara i nie pojawiła się u nas dopiero obecnie. Stworzyli ją dawni królowie, mili bogom. Jednakże ludzie dzisiejsi z niewiedzy, lekkomyślności i wstrętu do pracy wyzinają poglądy przeciwne poglądom tamtych. Jeśli napotkają głoszących fałszywe przepowiednie, oskarżają gwiazdy i mają w pogardzie samą astrologię. W ich oczach jest ona niezdrowa, nieprawdziwa — wiedza kłamliwa i próżna. Moim zdaniem sąd taki jest niesłuszny. Przecież nieumiejętność cieśli nie dowodzi błędu w samej sztuce ciesielskiej, a niemuzykalność fletnisty nie świadczy o ułomności muzyki. Raczej oni sami nie znają swych sztuk, a każda z nich w sobie jest rozumna.

Nasi przodkowie byli wprost rozkochani we wróżbiarstwie. Tymczasem wśród współczesnych niektórzy twierdzą, że niepodobna, by człowiek mógł choć-

by tylko wyobrazić sobie jakiś pożyteczny cel astrologii. Według nich jest to nauka niewiarogodna i nieprawdziwa. Planety Aresa i Zeusa (tj. Marsa i Jowisza) poruszają się po niebie -nie w naszym interesie, wcale nie dbają o ludzkie sprawy i nie mają z nimi nic wspólnego. Obracają się niezależnie od wszystkiego, pod wpływem samej konieczności obiegu. Inni znowu głoszą, że astrologia co prawda jest wolna od kłamstwa, lecz niepożyteczna; wszak wieszczanie nie zmienia tego, co zbliża się z woli boskiego przeznaczenia! Na te dwa zarzuty mogę udzielić takiej odpowiedzi:

Gwiazdy istotnie toczą się na niebie swoimi drogami, niemniej każdy wypadek, który zdarza się wśród nas, jest dziełem ubocznym ich ruchu. Kiedy biegnie koń, uchodzą przed nim ptaki i zwierzęta, odpryskują kamienie, wzbijają się plewy od wiatru wznieconego pędem. Czy możesz wymagać, żeby wirowi gwiazd nie towarzyszyło powstawanie czegoś innego? Dociera do nas pewien wpływ nawet od małego ognia, choć nie płonie on w ogóle ze względu na nas i bynajmniej nie zależy mu na tym, aby nas ogrzać. Czyż wobec tego nie przyjmiemy żadnego wpływu gwiazd?

Astrologia z pewnością nie może uczynić rzeczy złych dobrymi ani dokonać zmiany w żadnym z wpływów, ale dla ludzi, którzy z niej korzystają, jest pożyteczna. Sprawia, że cieszą się długo wcześniej wiedząc o rzeczach dobrych, które nadejdą, a rzeczy niepomysłne przyjmują bez sarkania, bo nieszczęście nie przychodzi znienacka; dzięki przemyśleniu i oczekiwaniu uważają je za łatwe do zniesienia i łagodne. Taki jest mój pogląd na astrologię." ⁵⁰

WESPAZJAN I GWIAZDY

\Vracając do Ptolemeusza Seleukosa: trudno się dziwić, że on, do niedawna najzaufańszy człowiek Otho-na, wolał nie oczekiwać jego zwycięzcy. Wyjechał ze stolicy chyba jeszcze przed wkroczeniem wojsk Wite-liusza. Może podróżował na Wschód razem z królem Agryppą, bratem Bereniki? Wiadomo w każdym razie, że w jakimś momencie dotarł do Wespazjana i pozyskał jego przychylność, stając się znowu astrologiem nadwornym. Albowiem Wespazjan, człowiek skądinąd aż nazbyt trzeźwy i chłodno kalkulujący, może nawet nieco cyniczny, zgoła nie był wolny od tego przesądu; właśnie tak ujmuje to Tacyt. Tenże historyk wzmiankuje, że w czasie narad na górze Karmel, gdy Wespazjan wciąż się wahał, czy ulec namowom i przyjąć władzę, ludzie z jego otoczenia wołali, że znaki i konstelacje gwiazd są nadzwyczaj pomysłne; ta okoliczność nie pozostała bez wpływu na ostateczną decyzję.⁵¹

Tak więc tłumacze obrotów ciał na niebie stali zgodnie po stronie Wespazjana, zwalczali zaś Witeliu-sza. Ten zaś mógł się pocieszać niewątpliwym faktem, że mimo pogrożek rzekomego edyktu Chaldeczyków ani ostatnie dni września, ani nawet dzień 1 października nie przyniosły mu nic złego. Odetchnął z ulgą. Lecz losy wojny domowej właśnie wtedy — choć jeszcze nie doszło do żadnych poważniejszych starć zbrojnych — już przechylały się stanowczo na jego niekorzyść. Astrologowie nie całkiem się mylili! Cesarz jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy, jakkolwiek nazwisko człowieka, który miał najskuteczniej, przyczynić się do jego zguby i już prowadził śmiało

działania, z pewnością często wymieniano w rozmowach i naradach na dworze.

LEGIO VII GALBIANA

Marek Antoniusz Primus dowodził legionem VII z przydomkiem Galbiana; stacjonował on nad środkowym Dunajem w wielkim obozie wojskowym Karnun-tum, a więc nieco na wschód od Wiednia. Legion, jak z całą oczywistością dowodzi przydomek, sformowano niedawno, a mianowicie późną wiosną roku 68. Galba, wówczas namiestnik Hiszpanii Bliższej, przygotowując powstanie przeciw Neronowi musiał przede wszystkim wzmocnić siły zbrojne, jakie miał pod swymi bezpośrednimi rozkazami. Przy pomocy namiestnika Luzytanii przeprowadził gorączkową rekrutację wśród Rzymian zamieszkałych w całej Hiszpanii. Już w dniu 10 czerwca mógł stanąć przed frontem nowej formacji armii, by uroczystie wręczyć jej dowódcy i centurionowi najstarszemu stopniem („centurio primi pili”) święty symbol i znak każdego legionu; był nim srebrny orzeł z rozpostartymi skrzydłami, wyobrażający najwyższego opiekuna państwa i wojska, boga Jowisza. Przechowywano orła legionowego w kapliczce, stojącej na głównym placu każdego obozu, tuż obok trybuny i budynku dowództwa. W tejże kapliczce, w jej niszach bocznych, ustawiano godła bojowe i sztandary poszczególnych kohort. Oddawano orłom cześć religijną, w czasach cesarstwa w sposób aż nadmierny, co wywołało cierpką uwagę ze strony pewnego pisarza i oficera starej daty. Był nim Pliniusz. W księdze XIII swej „Historii naturalnej” wspomina on ze

zgorzaniem, jak to Othon nauczył Nerona smarować stopy wonnymi maściami, Kaligula kazał perfumować sedes, a za jego przykładem poszedł jeden z wyzwoleńców Nerona, po czym dodaje: „Namaszcza się też w dni świąteczne pacbnidłami orły i znaki bojowe, kurzem okryte i najeżone ostrzami. Gdybyśmy mogli powiedzieć, kto pierwszy to wprowadził! Tak to jest z pewnością, orły nasze zdobyły świat przekupione właśnie tą zapłatą!”^{5Z}

Dzień, w którym dany legion otrzymał swego orła, obchodzono corocznie jako jego święto, tak zwane „natale aquilae”, czyli urodziny orła. Legion VII Galbiana urządzał swe uroczystości oczywiście w dniu 10 czerwca. Zachowały się napisy wyryte na rozkaz oficerów formacji jeszcze w ponad sto lat później dla upamiętnienia właśnie tego święta. Dziwnym zbiegiem okoliczności Neron popełnił w Rzymie samobójstwo dzień wcześniej, 9 czerwca; rzecz prosta Galba przekazując orła swym nowym legionistom w Hiszpanii nic jeszcze o tym nie wiedział.

Skoro Neron zginął, niebezpieczeństwo wojny domowej od razu zgasło samo przez się, utworzenie zaś legionu okazało się właściwie zbyteczne. Lecz ceremonii przekazania orła nie wolno było unieważnić! Najmłodsza jednostka armii rzymskiej została powołana do życia, otrzymała byt samoistny i musiała odąd dzielnie spełniać swe żołnierskie zadania.

Pierwsze z nich przedstawiało się -nader pokojowo i szacownie. Legion towarzyszył Galbie w jego powolnej podróży lądem z Hiszpanii do Rzymu. Wkrótce jednak po przybyciu do stolicy, późną jesienią tegoż roku 68, odkomenderowano nową formację daleko na północ, za Alpy, do Karnuntum nad Dunajem. Łatwo odgadnąć, że młodzi legioniści przyjęli ten roz-

każ bez entuzjazmu. Na pewno woleliby stać załogą w samym Rzymie lub przynajmniej gdzieś w Italii, żyjąc bezpiecznie i przyjemnie w kraju bardzo przyjemnym pod względem klimatu ich strony rodzinne. Wcale nie tęsknili do twardej służby obozowej w niegościnnych i chłodnych krajach zaalpejskich, gdzie za najbliższych sąsiadów będą mieli półdzikich barbarzyńców na drugim brzegu rzeki. Galba wszakże, praworządny i wierny odwiecznej tradycji, uważał, że w stolicy nie mogą stacjonować na stałe żadne zbrojne oddziały armii regularnej prócz pretorianów i kohort miejskich. Pragnął też, aby jego legion, złożony przeważnie z rekrutów, nabrał wprawy i doświadczenia w rzemiośle wojskowym, co najłatwiej było osiągnąć stojąc w obozie już zagospodarowanym i nad granicą uchodzącą wówczas za raczej spokojną. Racje wydawały się rozsądne. Lecz odprawienie legionu VII miało okazać się posunięciem fatalnym dla samego cesarza. Gdyby mianowicie pozostał on w Rzymie, Othon z całą pewnością nie odważyłby się dokonać zamachu stanu, pretorianie zaś dochowałiby wierności. Galba zrozumiał swój błąd, gdy było już za późno.

I oto rzecz zdumiewająca: w wojnie pomiędzy Witeliuszem a Othonem VII Galbiański opowiedział się bez wahania po stronie Othona, choć przecież to on doprowadził do tego, że zamordowano twórcę legionu! Wczesną wiosną roku 69 formacja ruszyła znad Dunaju przez Alpy ku równinom nad Padem. Nie zdołała jednak przybyć w porę; w walkach, jak się wydaje, wzięły udział tylko wysłane przodem oddziały, „vexillationes”. Zwycięski Witeliusz rozkazał legionowi odmaszerować z powrotem do obozu macierzystego w Karnuntum.

Czym jednak wyjaśnić, że właśnie ci żołnierze związali się tak ochoczo ze sprawą Othona i gotowi byli krew za nią przelewać? Złożyły się na to różne przyczyny. Galba, choć sformował legion, nie cieszył się wśród jego żołnierzy sympatią. Był skąpy i surowy, a nade wszystko — tak mówiono powszechnie w namiotach i barakach obozowych — okazał się niewdzięczny:

— Wysłał swych najwierniejszych tak daleko, gdzie ziemia obca, a niebo wciąż chmurne! Spotkało go to, na co zasłużył. Othon będzie na pewno lepszym cesarzem.

Należy zaś pamiętać, że Othon w ciągu dziesięciu lat swego luzytańskiego namiestnictwa zyskał sobie dobre imię nie tylko w prowincji, lecz i wśród ludności całego Półwyspu Iberyjskiego, żołnierze więc, pochodzący głównie z tamtych stron, byli mu z góry przychylni. Inną przyczynę, dla której legioniści „siódmego” poparli Othona, stanowiło poczucie solidarności z pozostałymi legionami naddunajskimi. Lecz chyba decydującą rolę w całej tej sprawie odegrał dowódca legionu; ten, który jeszcze w Hiszpanii przejmował orła z rąk Galby. Marek Antoniusz Primus.

PORTRET ANTONIUSZA PRIMUSA

f ochodził z akwitańskiej Tolosy, czyli z dzisiejszej Tuluzy we Francji południowej. Znakomite pochodzenie i świetność rodu sprawiły, że już za Nerona wszedł w skład senatu; poprzednio musiał piastować wysokie urzędy wojskowe i cywilne. Wnet jednak spadła na Antoniusza katastrofa, łamiąc piękną karierę-

'rę. Zamieszany z własnej winy w przykrą aferę sfałszowania testamentu pewnego dostojnika, został pozbawiony godności i powrócił do rodzinnego miasta okryty niesławą. Działo się w roku 61, gdy liczył lat niewiele ponad czterdzieści; dla ambitnego człowieka była to klęska życiowa, a pobyt w Tolosie równał się wygnaniu. Lecz Akwitanię dzieliły od Hiszpanii Bliższej tylko Pireneje, a tamtą prowincją zarządzał Gal-ba, stopniowo wysuwany na pierwsze miejsce w wielkim spisku przeciw Neronowi. Łatwo się domyślić, dlaczego Antoniusza wciągnięto w stosownym momencie do przygotowań. Wiedzano, że można mu całkowicie zaufać, żywi bowiem śmiertelną urazę do cesarza i zrobi wszystko, by doprowadzić do jego upadku, a dzięki pozycji w swojej krainie może bardzo wiele. Galba natychmiast przywrócił mu godność senatora oraz mianował dowódcą nowo utworzonego legionu VII.

Tacyt, chyba znający Antoniusza osobiście i zdecydowanie mu nieżyczliwy, charakteryzuje go w sposób, który daje wiele do myślenia. Twierdzi więc, że był to człowiek energiczny, wymowny, mistrz wzbudzania niechęci ku innym, potężny dzięki waśniom i rozłamom, w pewnych sytuacjach grabieżca, kiedy indziej znów szczodroblivy, w czasach pokoju objawiający swe cechy najgorsze, ale w wojnie przeciwnik, którym gardzić nie wolno. Zaznacza też, że umiał postępować z pospółstwem i cieszył się poważaniem wśród ludu. Opisując jedną z późniejszych bitew wystawia Antoniuszowi jako wodzowi takie świadectwo: W czasie owego popłochu nie zaniedbał on żadnego obowiązku opanowanego dowódcy i dzielnego żołnierza. Zabiegał drogę przerażonym i powstrzymywał tych, co się wycofywali w panice. Był wszędzie tam.

gdzie walka najzaciętsza, i tam, gdzie ukazywała się jakaś nadzieja. Rada, czynem i głosem znaczny wrogorctr dobrze widoczny swoim. W zapamiętaniu bojowym posunął się wreszcie do tego, że uciekającego chorążego przeszył dzidą i sam porwawszy godło obrócił je ku wrogowi. Zawstydziło to nie więcej niż stu jeźdźców i ci stanęli w miejscu.⁵³

Antoniusz Primus był jednak nie tylko politykiem i żołnierzem, lecz również człowiekiem wykształconym. Interesował się literaturą, opiekował poetami. Przynajmniej takim go znał i cenił w latach znacznie późniejszych sławny Marcjalis. Dlatego też dedykował mu (księgę IX swych „Epigramów”; Antoniusz zbliżał się wówczas ku osiemdziesiątce. W księdze zaś X wspomina o nim w trzech drobnych utworach. Jeden z nich, zresztą artystycznie nie najlepszy, brzmi w tłumaczeniu:

„Pytasz, czyje to oblicze wyobraża portret, który ze czciami zdobie kwieciem róż i fiołków? Takim był Marek Antoniusz Primuis w średnim wieku. Gdy obecnie jako starzec patrzy na tę twarz, widzi się młodzieńcem. Ach, gdybyż to sztuka potrafiła oddawać charakter i ducha! Nie byłoby piękniejszego obrazu na całym świecie!”⁵⁴*

Lecz właśnie wówczas, gdy Antoniusz działał w pełni sił, wielu miało sporo zastrzeżeń co do jego charakteru i ducha. Zarzucano mu przede wszystkim nadmiar ambicji i cynizm polityczny. Pytano:

— Czemu to zaczął gęsto pisywać[^] do Othona, gdy tylko się zorientował, że wojna między nim a Witeliuszem nieunikniona? Dawał wyraźnie do zrozumienia, że potrafi oddać wielkie usługi", jeśli tylko zostanie mianowany wodzem naczelnym. Lecz Othon wzgardził ofertą. Toteż Antoniusz, choć już urobił

swoich żołnierzy i prowadził ich znad Dunaju za Alpy, nie okazywał w toku kampanii zbytniego zapału.

Mimo to zwycięstwo Witeliusza postawiło dowódcę legionu VII w złej sytuacji. Cesarz wprawdzie nie zdjął go ze stanowiska, lecz mogło to nastąpić lada dzień; zwłaszcza że sprawa owych listów do Othona była dość głośna w kręgach dworskich. Co będzie, jeśli pisma zostaną odnalezione? To prawda, że Othon w ciągu ostatniej nocy swego życia spalił wszystko, co mogłoby skompromitować jego stronników w oczach zwycięzcy, nikt jednak nie wiedział, jakie pisma miał on w toku kampanii przy sobie, a jakie pozostały w archiwum pałacowym. Skoro wyszukano tam podania pretorianów do Othona w sprawie nagród za obalenie Galby, to mogą też dnia któregoś wyjść na światło listy Antoniusza — prawdziwe lub podrobione. Trudno się dziwić, iż żył on w ciągłym niepokoju. Wieść, przyniesiona pod koniec lipca, że na Wschodzie obwołano cesarzem Wespazjana, spadła mu jak upragniony dar bogów i niebios, przywracając nadzieję, wiarę w siebie, energię i chęć działania.

PRZYBYWAJĄCY DO POETOVIO

.Prawdopodobnie pod koniec sierpnia wezwano do Poetovio nad Drawą wielu wyższych oficerów i dostojników cywilnych z prowincji położonych nad środkowym Dunajem. Miał tam swój stały obóz legion XIII. Ten sam, który w kwietniu walcząc pod Bedriakum podał tyły przed Witeliuszowym legionem V, a potem z rozkazu zwycięzcy musiał budować drewniane amfiteatry w Kremonie i w Bononii, ku

szczerzej uciesze pospólstwa obu miast. Dowodził nim Wadiusz Akwila. Bezpośrednio po bitwie pod Bedriakum, gdy rozbite wojska Othonowe wycofały się do umocnionego obozu, pokonani i zrozczeni żołnierze usiłowali wyrzucić swój gniew właśnie na Akwila, choć osobiście nie ponosił on żadnej winy za klęskę i dopełnił wszystkich swych obowiązków. Lecz rozgoryczeni kieszka głusi byli na wszelkie perswazje. Gdy tylko dowódca wjechał w bramę, otoczył go tłum legionistów, krzyczących, że to on jest zdrajcą, dezertorem, sprawcą nieszczęścia. Grozono mu pobiciem, doszłoby pewnie do samosądu. Uśmierzył rozruchy dopiero Annusz Gallus, były konsul, wówczas jeden z naczelnych wodzów armii Othonowej. Prosił i błagał żołnierzy, by nie pogarszali swej sytuacji wzajem się wymordowując; cokolwiek się stanie, jedyną szansę ratunku może im dać zgoda, wzajemna pomoc i poczucie wspólnoty! Tak więc uratowany Akwila pozostał na swym stanowisku komendanta legionu, a kiedy jego ludzie wykonali w miastach nakazane prace budowlane, odprowadził ich za Alpy, do obozu w Poetovio. Był przychylny sprawie Wespazjana od samego początku przede wszystkim dlatego, że jak wszyscy walczący przedtem po stronie Othona obawiał się rychłej dymisji. Zapewne jednak pewną rolę odgrywała i ta okoliczność, że pragnął w przypadku nowej wojny okazać swoją odwagę i dowieść własnym żołnierzom, jak krzywdzące byłby obelgi rzucane nań po bitwie pod Bedriakum.

Przybyli do Poetovio również namiestnicy dwóch prowincji, Pompejusz Sylwan i Tampiusz Flawiusz. Pierwszy z nich, mający pod swą władzą Dalmację, liczył już lat sporo, skoro godność konsula sprawował prawie przed ćwierćwieczem, jeszcze za panowania

Klaudiusza, w roku 45. Przypomnijmy, że właśnie wtedy stawiała się przed cesarzem delegacja Żydów z Jerozolimy, wnosząc skargę przeciw prokuratorowi Fadusowi, który przetrzymywał liturgiczne szaty arcykapłana; Klaudiusz dzięki wstawiennictwu Agryppy II zgodził się, by święta szata pozostawała w ręku żydowskim. List, jaki w tej sprawie wystosował do mieszkańców Jerozolimy, datowany jest rzymskim obyczajem przez podanie nazwisk konsulów: „Czwartego dnia przed kalendami lipcowymi, za konsulatu Rufusa i Pompejusza Sylwana" (28 czerwca r. 45).

Natomiast Tampiusz Flawian miał pod swym zwierzchnictwem Panonię. Był mniej więcej rówieśnikiem Sylwana i podobnie jak tamten piastował już przed wielu laty, bo za Nerona lub Klaudiusza, godność konsula. Kiedy tylko zmiarkował, że legiony nad-dunajskie przechylają się zdecydowanie ku sprawie Wespazjana, opuścił prowincję i czym prędzej wyjechał do Italii. Uczynił to powodowany przezornością, by nie rzecz — tchórzostwem. Wynikało to stąd, że łączyło go z Witeliuszem jakieś powinowactwo, lękał się więc, że padnie ofiarą gniewu własnych żołnierzy. Rychło jednak powrócił zza Alp i objął znowu swe obowiązki, uległ bowiem namowom prokuratora Korneliusza Fuskusa. Ten zaś bardzo przekonywająco wskazywał namiestnikowi perspektywy świetnej kariery, jeśli tylko w porę stanie on po stronie właściwej. Zapewne też napomknął tonem lekkiej pogroźki, że przyszły zwycięzca — a będzie nim oczywiście tylko Wespazjan! — wspaniałomyślnie wybaczy związki rodzinne z Witeliuszem, ale tylko wtedy, jeśli ta przykra plama zostanie w odpowiedni sposób zmaszana.

A Korneliusz Fuskus potrafił przekonywać! Pod wielu względami przypominał Antoniusza Primusa. W sile

wieku, przedsiębiorczy, bardzo ambitny, pochodził z rodu senatorskiego, lecz dobrowolnie zrzekł się przynależności do tego najświetniejszego w społeczeństwie stanu. Uważał nie bez racji, że w danej sytuacji politycznej kariera senatorska przynosi więcej pustego zaszczytu i szumnych tytułów niż prawdziwego znaczenia i możliwości zdobycia wielkiego majątku. On zaś pasjonował się ryzykiem i walką. Chętnie podejmował niebezpieczne zadania i misje dla samego niebezpieczeństwa. Nawet kwestia ewentualnych korzyści materialnych zdawała się schodzić w pewnych układach na plan dalszy. Wszystko co nowe i tajemnicze nęciło go stokroć bardziej od tego, co już posiadał spokojnie i bezpiecznie. Pod koniec rządów Nerona opowiedział się po stronie Galby i pociągnął za sobą obywateli swego miasta rodzinnego; była nią może Akwileja, a może Wiena. W nagrodę za to otrzymał od nowego cesarza ważny urząd prokuratora, czyli naczelnego zarządcy finansów w dwóch prowincjach bałkańskich, w Panonii i Dalmacji. Niechętny z jakichś nie znanych nam przyczyn Wite-liuszowi, pozwolił sobie na ostrą publiczną krytykę jego osoby i rządów. Obecnie więc nie miał wyjścia: musiał popierać sprawę Wespazjana z wszystkich sił, z całego serca. Zresztą ten duch niespokojny prawdopodobnie czyniłby to i bez konkretnych powodów, wiedziony swym umiłowaniem wielkiej przygody. Po latach mniej więcej dwudziestu, za Domicjana, to ryzykanctwo przynieść mu miało kres życia piękny i chyba wymarzony. Osiągnął mianowicie wysoką godność prefekta pretorianów i zginął podczas wyprawy za Dunaj, na ziemiach Dacji, czyli dzisiejszej Rumunii. Poeta Marcjalis uczcił i uwiecznił jego pamięć w epitafium, niby to wyrytym na grobie poległ-

go dostojnika; umieścił je w VI księdze „Epigramów”: „Spoczywa tu Fuskus, obrońca świętej osoby i Marsa w togą odzianego (tj. cesarza); ten, kóremu powierzono obóz wojsk wodza najwyższego. Kamień już się nie lęka pogróżek wroga. Dak pokonany musiał włożyć ciężkie jarzmo na kark upokorzony, a zwycięski cień Fuskusa włada okolicznym gajem”.³⁵

NARADA W POETOVIO

Jak było do przewidzenia, uczestnicy narady w Poe-tovio od razu podzielili się na dwie grupy przeciwne, mieli bowiem różne poglądy na kwestię zasadniczą: czekać czy też atakować. Grupie pierwszej przewodzili obaj namiestnicy, Sylwan i Tampiusz. Jako ludzie już zbliżający się do siedemdziesiątki, bardzo bogaci, syci zaszczytów i dostojeństw, mogli oni stracić wszystko, a tylko niewiele zyskać. Woleliby więc postępować nader ostrożnie, nie ryzykować, nie wszczynać żadnych działań zaczepnych. Najchętniej poprzestaliby na biernym obserwowaniu rozwoju wydarzeń. Wysuwali takie argumenty:

Witeliusz ma w Italii armię potężną, sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Posiłki dla niej z pewnością są już w drodze. Wszyscy jego żołnierze pełnili przez lata ciężką służbę nad granicą Renu, są zaprawieni w krwawych bojach, wytrwali i nieustraszeni. Niedawne zwycięstwo nad Othonem jeszcze im dodało poczucia pewności siebie. Nasi natomiast ludzie, już raz zdemoralizowani niepowodzeniem w starciu z tamtymi, odgrażają się wprawdzie i wciąż pokrzykują, że muszą wziąć pomstę za porażkę i hańbę, ale to tylko puste

słowa, których nie wolno brać poważnie. Tak więc sam układ sił wskazuje i doradza, co mamy czynić! Należy jak najrychlej zająć przełęcze alpejskie, potem zaś możemy czekać cierpliwie, póki nie nadejdzie Mucjan z legionami ze Wschodu. Wtedy dopiero szansę się wyrównają i będzie można sensownie myśleć o ofensywie. Niczego nie ryzykując, osiągniemy tym sposobem wszystko. Sam czas będzie pracował na naszą korzyść.

W grupie drugiej na czoło wysuwał się Antoniusz Primus, ze wszystkich sił i bardzo skutecznie popierany przez Korneliusza Fuskusa. Dowódca legionu VII nie żałował głosu. Krzyczał z rozmysłu tak donośnie, że słyszeli go nawet żołnierze i oficerowie niższych stopni; ci tłumnie się zgromadzili wokół budynku, gdzie odbywała się narada. Wołał:

— To nieprawda, że Witeliuszowi są gotowi do wojny. Przeciwnie, rozleniwiła ich i zdemoralizowała beczynność, wygody, rozpusta wielkomięjskiego życia. Jeśli będziemy zwłóczyć, tamci powrócą do twardej dyscypliny obozowej i znowu staną się groźni. Nadejdą też do Italii nowe oddziały znad Renu, a nawet z Brytanii i Afryki. Wróg zbierze wkrótce dość ludzi, pieniędzy i zasobów, by się z nami skutecznie rozprawić. Pamiętajmy też, że ma pod swymi rozkazami dwie floty wojenne, jedną w Misenum, a drugą nad samym Adriatykiem, w Rawennie. Któż mu przeszkodzi, jeśli zechce wysadzić swe wojska na dalma-tyńskim wybrzeżu? Cóż nam wtedy pomoże, jeśli nawet będziemy mocno trzymać górskie przełęcze? A gdyby wojna przeciągnęła się na rok następny, co nam przyjdzie z tego? Krucho z pieniędzmi, jeszcze gorzej z żywnością. Cała nasza nadzieja i jedyna szansa ratunku w uderzeniu szybkim, silnym, zdecydowa-

nym. Musimy też wykorzystać zapal żołnierzy, póki jeszcze pamiętają i pragną zmaść hańbę tamtej porażki. Ja sam gotów jestem podjąć się zadania najryzykowniejszego. Wy pozostaniecie na razie przy legionach, mnie dajcie tylko wyborowe kohorty. Poprowadzę je za Alpy i otworzę na oścież bramy Italii. Wtedy ruszycie spokojnie moimi śladami i obsadzicie ziemię już zdobyte!

Te i tym podobne słowa wzbudziły entuzjazm wśród żołnierzy. Oto jak powinien mówić prawdziwy dowódca! Prosto i jasno, bez lękliwych wahań, bez ostrożnego grania na zwłokę i politykowania. Ten 'wie, czego chce, za kim się opowiada, kogo nienawidzi! A taki Tampiusz tylko udaje, niby to popiera Wespazjana, ale naprawdę wrócił nie po to, by pomagać i wspólnie walczyć, lecz by knuć zdradzieckie intrygi i tchórzliwymi radami paraliżować wszelkie śmiałe działanie!

Pogróżki, którymi zewsząd zasypywano namiestnika Panonii, były ostre i donośne. Starzec zadrzał z trwogi; jeśli w obozie dojdzie do rozruchów, ion pierwszy padnie ich ofiarą! Zamilkł więc, a wszystkie wnioski Primusa i Fuskusa przyjęto szybko, zgodnie, ochoczo. Wystosowano bezzwłocznie listy na namiestnika Mezji nad dolnym Dunajem — był nim Aponiusz Saturnin — z wezwaniem, by co rychlej ruszył w drogę ze swymi trzema legionami. Zaciągnięto do służby w rzymskich szeregach książąt Sarmatów i Jazygów zza Dunaju, z terenów dzisiejszych Węgier, aby w ten sposób powściągnąć tamte ludy przed pokusą najechniania ziem Imperium. Zawarto też porozumienia z przywódcami Markomanów i Kwadów; ludy te zamieszkiwały obecną Czechosłowację. Wystosowano listy nawet do Hiszpanii, gdzie stał od niedawna legion I Adiutrix,

oraz do Brytanii, gdzie już dotarł legion XIV. Na wszelki wypadek obsadzono ośmiu kohortami i szwadronem jazdy rzekę Aenus, czyli Inn w Austrii; oddzielała ona prowincję Noricum od Recji. Prokurator tej ostatniej stał niezachwianie po stronie Witeliusza.

W PADWIE I WERONIE

JVlniej więcej w połowie września Antoniusz Primus przekroczył Alpy wiodąc swe kohorty wyborowe i część jazdy. Zajął bez walki Akwileję i miasteczka okoliczne, wszędzie witany przyjaźnie, następnie zaś Patavium, dzisiejszą Padwę. Nieco na zachód od Este rozpedził nagłym atakiem trzy kohorty Witeliuszowe i szwadron jazdy, które to formacje broniły mostu i przejścia przez jedną z rzeczek. Wnet po tym sukcesie nadciągnęły zza Alp do Patavium legion VII i XIII. Rozważano, gdzie ustanowić główną kwaterę dla dalszych działań. Wybór padł na Weronę. Maszerowano tam nie napotykając żadnego oporu, a po drodze zajęto miasteczko Vicetia, dzisiejszą Vicenze. Żołnierze uznali to za dobry omen, Vicetia bowiem była rodzinną miejscowością Cecyny. Natomiast piękna i zamożna Weronę spodobała się dowództwu głównie ze względu na rozległe wokół niej błonia; w razie potrzeby można by na nich swobodnie rozwinąć szyki jazdy, a tej miano sporo, i to dobrej.

Tymczasem nadeszły listy do Wespazjana z Antiochii i od Mucjana, już maszerującego przez Azję Mniejszą ku Bizancjum. Listy mocno spóźnione, obaj bowiem usilnie radzili i rozkazywali to samo: zatrzymać się w Akwilei, nie prowadzić dalszego natarcia,

oczekiwać przybycia posiłków! Obecnie jednak, gdyby nawet chciano dać posłuch owym wskazaniom, trudno by było myśleć o wycofaniu się z Werony. Nieprzyjaciel znajdował się już w pobliżu. Wojska Witeliuszowe pod wodzą samego Cecyny zajęły ufortyfikowany obóz w okolicach miasteczka Hostilia. Doszło już do pierwszych potyczek.

Rzecz dziwna: Cecyna, choć miał siły przeważające i winien by atakować, okazywał zdumiewającą powściągliwość, a nawet bierność. Zajmował się głównie pisaniem listów, adresowanych do Antoniusza i jego kolegów. Ganił w owych pismach lekkomyślność, z jaką porwali za broń, raz już doznawszy porażki. Wychwalał męstwo swych żołnierzy. Zwracało wszakże uwagę, że zaledwie wspomina o Witeliuszu, któremu niby to służy wiernie, stara się zaś w niczym nie obrazić imienia Wespazjana. Odpowiedziano Cecynie wysławiając nowego cesarza i ostro piętnując Witeliusza. Zarazem jednak dano nadzieję żołnierzom i oficerom strony przeciwnej, że pozostawi się im wszystkie nagrody i przywileje, które już uzyskali, samemu zaś Cecynie - niedwuznacznie radzono, by jak najrychlej porzucił swego pana.

W trakcie wymiany listów nadciągnęły stopniowo trzy legiony z Mezji. Tak więc w połowie października siły obu stron były równe.

ZDRADA

A tymczasem Witeliusz, wyprawivszy na północ najpierw Cecynę, a w kilka lub kilkanaście dni później wreszcie ozdrowiałego Fabiusza Walensa, sam też wy-

jechał. Co prawda bardzo niedaleko, bo tylko do Arycji. Miasteczko leżało zaledwie o pół dnia drogi na południe od Rzymu, u stóp Gór Albańskich, sławę zaś zawdzięczało głównie prastarej świątyni Diany w pięknym gaju. Cesarz zaszył się tam wśród drzew i krzewów, biernie oczekując, co los przyniesie. Jak powiada obrazowo Tacyt: podobny owym zwierzętom gnuśnym, co to, jeśli tylko jadło im rzucisz, leżą w tępym odrętwieniu, puścił w niepamięć zarówno przeszłość, jak i terażniejszość.⁵⁶ Wypada jednak zauważyć, by w jakiejś mierze go usprawiedliwić, że prawdopodobnie już zaczął słabować.

Lecz wieści o wydarzeniach wojennych dosięgły władcę nawet w tym uroczym zakątku. Najpierw doniesiono, że zdradziła flota w Rawennie. I to zdradziła za sprawą jej dowódcy, Lucyliusza Bassusa! Nie darmo naradzał się on swego czasu z Cecyną. Zdołał potajemnie przeciągnąć część oficerów i kapitanów okrętów. Nocą garstka spiskowców zebrała się niby to bez wiedzy dowództwa na głównym placu. Wszczęła tumult, wznosiła wrogie Witeliuszowi okrzyki, obaliła jego posągi, zabiła tych nielicznych, którzy próbowali stawiać opór. Żołnierze przyłączyli się do rebelii bez oporu, może nawet ochoczo, pochodzili bowiem w większości z terenów Dalmacji i Panonii, naturalną więc kolejną rzeczą sprzyjali legionom, mającym tam swoje obozy. Sam Bassus niby to nie brał żadnego udziału w przewrocie. Pokazał się publicznie dopiero wtedy, gdy wszelkie niebezpieczeństwo już minęło. Odesłano go pod strażą do miasteczka Atria, gdzie jednak wkrótce zdjęto zeń więzy. Potem, jako wielce zasłużony dla nowego cesarza, Bassus otrzymał nowe godności i funkcje, dowództwo bowiem floty raw'ennackiej objął po nim dotychczasowy prokurator,

dobrze nam znany Korneliusz Fuskus. W dwa lata później Bassus znalazł się jako legat Wespazjana w Judei, już po upadku Jerozolimy i zniszczeniu świątyni. Zdobył tam dwie twierdze, jeszcze będące w rękach powstańców. Nadzorował też sprzedaż gruntów, należących przedtem do Żydów; zmarł w Palestynie. Jego to następcą był ów Flawiusz Silwa, który wiosną roku 73 miał zdobyć twierdzę Masadę.

Gdy to się działo w Rawennie, Fabiusz Walens zmierzał powoli Drogą Flaminijską przez doliny i przełęcze Apeninów ku nizinom nad Padem. Nie spieszył się wcale. Tym bardziej że towarzyszył mu cały zastęp dziewcząt i rzeźników; widać i on nie był wolny od pewnych perwersyjnych skłonności. Zaskoczony wieścią o buncie w Rawennie, zatrzymał się w połowie drogi i bezradnie medytował, co czynić, gdzie się obrócić. Iść dalej ku Padowi? Ludzi przy sobie miał niewielu, a więc ci z Rawenny mogliby go schwytać. Wycofać się do Rzymu? To wywoła popłoch w mieście i wściekłość cesarza. Próbować podejść bezdrożami do Hostilii lub Kremony tylko z garstką najwierniejszych? Ryzyko zbyt duże, niewygody straszliwe, a w przypadku najgorszym śmierć niesławna. Ostatecznie postanowił zażądać od cesarza posiłków. Pchnął gońców i wkrótce przybyły trzy kohorty oraz szwadron jazdy. To za mało, aby maszerować jawnie i śmiało drogami, odtrącając ewentualnych przeciwników, a za dużo, by się ukrywać i posuwać naprzód niepostrzeżenie. Do tego wszystkiego Fabiusz niezbyt ufał swym ludziom. Wyprawił więc ich czym prędzej dalej Drogą Flaminijską do Ariminum, aby obsadzili odcinek wybrzeży Adriatyku, sam natomiast, niby to idąc w ślady tamtych, w rzeczywistości skreślił z drużyną zaufanych ku Umbrii. Może teraz dopiero chciał

dostać się nad Pad określonymi ścieżkami? W każdym razie na pewien czas wszelki słuch o nim zaginał.

Owe wahania Fabiusza Walensa i jego zwłoka w marszu ku Hostilii miały dla sprawy Witeliusza skutki fatalne. Tymczasem bowiem w obozie Cecyny doszło do wydarzeń dramatycznych. Dowiedział się on o nocnej rewolcie floty rawennackiej już w dzień lub dwa później i natychmiast przystąpił do realizacji planu, który poprzednio ułożył i uzgodnił w trakcie tajnego spotkania z Bassusem. Za dnia, gdy tylko oddziały wyszły z obozu i zajęły stanowiska w polu, zwołał do swej kwatery kilkunastu oficerów i żołnierzy, którym z tych lub innych względów ufał najbardziej. Przedstawił im obecną sytuację polityczną i wojskową w świetle dla pozycji Witeliusza możliwie niekorzystnym. Mówił:

— Człowiek, któregośmy wynieśli krwi własnej nie szczędząc, okazał się całkowicie niegodny zaszczytu i nadziei, jakie w nim pokładaliśmy. Jest gnuśny, nie-dołączny, rozpustny. Trzeba było ratować Imperium i dlatego Wespazjan słusznie uczynił, przeciw niemu powstając. Nowy cesarz posiada wszelkie zalety dzielnego żołnierza i dobrego władcy. Już dokonał rzeczy wielkich, w czasie tak krótkim. Nawet miecza nie wyciągnąwszy ma już w swym ręku cały Wschód, gdzie najbogatsze krainy i miasta. A także wszystkie prowincje naddunajskie, gdzie tyle walecznych legionów. Jego wojska przekroczyły Alpy. Dopiero co przyszedł meldunek, że flota w Rawennie również za nim się opowiedziała. Wiem, że podobnie postąpią "wojska w Hiszpanii i Galii. Jesteśmy osamotnieni, znikąd ratunku. Grozi nam i cała Italia głód, wszystkie bowiem zamorskie dostawy zboża są obecnie w ręku tamtych. Dalsza walka nie ma najmniejszego sen-

su, równałaby *sią* po prostu samobójstwu. Zresztą dla kogóż to mamy nadstawiać nasze głowy i piersi? Uważam za rzecz nie tylko beznadziejna, lecz wręcz absurdalną prowadzić wojnę domową i ginąć z ręki bratniej w obronie zarłocznej bestii! Jako Rzymianie powinniśmy uczynić wszystko, co xv naszej mocy, aby wyzwolić państwo spod władzy tego człowieka. Naszym obywatelskim obowiązkiem jest stanąć po stronie cesarza, który prawdziwie godny jest panować i którego już obrali bogowie. Pozdrawiamy Imperatora Flawiusza Wespazjana!

Natychmiast złożono przysięgę wierności nowemu cesarzowi. Obalono posagi i podobizny Witeliusza. Wysłano do Antoniusza Primusa gońców z wiadomością, że cała armia przechodzi pod rozkazy Wespazja-nowe. Była to jednak przedwczesna pewność siebie i nadmierna pochopność.

Przewrotu dokonała garstka wtajemniczonych. Ani nie pytali oni żołnierzy o zdanie, ani ich przekonywali, ani nawet nie raczyli poinformować o tyra, co się stało. Powracając ze służby w polu kohorty ujrzały ku swemu zaskoczeniu i najszczerzszemu zdumieniu, że na głównym placu obozowym, gdzie budynek dowództwa i kapliczka z godłami bojowymi, wypisano nazwisko: „Imperator Caesar Yespasianus Augustus”, podczas gdy podobizny Witeliusza zostały już usunięte lub leżały w błocie. Tego Witeliusza, którego właśnie oni zaledwie przed dziesięciu miesiącami okrzyknęli cesarzem, któremu przysięgali wierność, dla którego wreszcie prawdziwie nie szczędzili swej krwi na polach pod Bedriakum! Zewsząd podnosiły się okrzyki, coraz gwałtowniejsze i coraz groźniejsze, w miarę jak wieść się rozchodziła: — Zdrada! Cecyna sprzedał nas w niewolę! Cecyna

sprzedał nas nieprzyjacielowi! Armia Renu idzie w niewolę nawet miecza nie dobywając! Hańba! Hańba!

Doszło do rozruchów. Osamotniony Cecyna wkrótce znalazł się w więzach. Na stanowisko naczelne żołnierze wysunęli dowódcę legionu V i prefekta obozu. Natychmiast potem — a była to zapewne noc z 19 na 20 października — wierne Witeliuszowi wojska opuściły umocnienia pod Hostilia, zerwały most na rzece i wycofały się do Kremony. Stały tam legiony I Itański i XXI Rapax, wysłane do tego miasta jeszcze przez samego Cecynę; ten, obezwładniony przez swych ludzi, drżał obecnie z trwogi o własne życie.

NOWY KONSUL

Wiadomość o tych wydarzeniach dotarła do Witeliusza chyba dopiero w dniu 28 października. Cesarz, wstrząśnięty zdradą osoby tak sobie bliskiej, tak zaufanej, zarazem niezmiernie się uradował postawą swych wojsk. Na tych żołnierzach mógł polegać w każdej sytuacji! Wydawało się, że przywróciło mu to energię i wolę działania. Bezzwłocznie opuścił gaje Arycji, pospieszył do Rzymu. Tutaj już następnego dnia wystąpił na wielkim wiecu ludności, wygłaszając mowę ku chwale swej armii. W dzień później pojawił się na posiedzeniu senatu, gdzie perorował w sposób bardzo napuszony. Senatorzy odpowiadali pochlebco, potępiając Cecynę jako podłego zdrajcę i niewdzięcznika — a czynili to rzeczywiście szczerze, nie lubiano go bowiem powszechnie — skrzętnie jednak unikali jakiegokolwiek krytycznej uwagi o przywódcach fla-

wiańskich. Formułowali swe wypowiedzi niezwykle ostrożnie, omijając imię Wespazjana. Ganiłi natomiast w słowach nader ogólnikowych omyłkę i winę wojsk, przy czym wcale nie było jasne, o jakie to chodzi wojska i jaką omyłkę.

Na tymże posiedzeniu senatu rozpatrywano również sprawę drobną i niemal zabawną, lecz poważne jej potraktowanie wystawia dobre świadectwo rzymskiemu poczuciu porządku. Jak już wspomniano, Cecyna piastował konsulat wraz z Fabiuszem Walensem, prawdopodobnie od 1 sierpnia lub września; godność wygasła w dniu 31 października. Byli to bowiem tak zwani „consules suffecti”, których kilka par zmieniało się co roku, datowano zaś nazwiskami pierwszej pary w roku; nosili oni miano „consules ordinarii”, czyli zwyczajni. Ponieważ obecnie zdrajcy Cecynie odebrano wszelkie godności, utracił więc również i ten urząd. Pozostał on do obsadzenia, ale tylko na jeden dzień, to jest 31 października, albowiem od 1 listopada przejmowała go inna para „consules suffecti”, już wyznaczona. I oto natychmiast zgłosił się chętny przyjęcia jednodniowego zaszczytu — senator Rosjusz Regulus. Objął honorową godność tylko po to, aby złożyć ją już po kilkunastu godzinach. Odtąd wszakże miał prawo zaliczać się do „viri consulares”, zasiadać na pierwszych miejscach w czasie posiedzeń senatu, zabierać głos wśród najczcigodniejszych.

Przypomniano jednak, że już przed stu sześciu laty, jeszcze za dyktatora Cezara, zdarzył się wypadek podobny, a nawet jeszcze zabawniejszy. Rankiem 32 grudnia zmarł jeden z konsulów, w jego zaś miejsce bezwzględnie wybrano niejakiego Kaminiusza. Ten urzędował tylko przez kilka godzin, mniej więcej od południa tegoż dnia aż do nocy z 31 grudnia na

1 stycznia nowego roku. O czym Cyceron tak pisał w liście do jednego z przyjaciół:

„Wiedz, że za konsulatu Kaminiusza nikt nie jadł obiadu, ale też nie wydarzyło się nic złego, konsul bowiem odznaczał się zdumiewającą czujnością: przez cały czas urzędowania nawet oka nie zmrużył!”⁵⁷

OGRODY SERWILIAŃSKIE

Iymczasem Witeliusz zaniemógł poważnie. Jako miejsce kuracji obrał Ogrody Serwiliańskie, albowiem leżały one tuż pod Rzymem, przy drodze do Ostii. Był to ogromny, piękny park, wśród którego zieleni wznosiły się zabudowania pałacowe, zdobne najświetniej-szymi dziełami sztuki, zwłaszcza posągami. Znajdowały się wśród nich nawet trzy rzeźby dłuta Praksy-lelesa; przedstawiały boginię Demeter, Persefonę i Triptolemosa. Lecz w opinii rzymskiego społeczeństwa najbardziej wślawiło park coś innego. Oto właśnie tu przed półtora rokiem, w czerwcu 68, Neron spędził ostatnią noc swego życia. Był wówczas na wyjeździe do Ostii, skąd zamierzał popłynąć do Egiptu; liczył bowiem na poparcie ze strony tamtejszej ludności i wojsk oraz prefekta Tyberiusza Aleksandra. Lecz owej nocy odstąpili go wszyscy. Nawet straż przyboczna, nawet służba osobista. W zamieszaniu zdołano ukraść z sypialni cesarskiej dywan oraz kosztowną szkatułkę, w której Neron przechowywał truciznę i z którą ostatnio nie rozstawał się nigdy. Cesarz, osamotniony i zdradzony, za radą wyzwolenca Faonta uciekł z pałacu ogrodowego konno; nie wdział nawet sandałów, a dla niepoznaki zarzucił na siebie szary

plaszcz z kapturem. Pojechał do wili Faonta na północ od miasta, mając przy sobie tylko czterech ludzi, a wśród nich Sporusa.

Obecnie więc te ogrody zajął Witeliusz na czas choroby jako miejsce ustronne i zdrowe, a bliskie miastu. W nocy jednak nie mógł zasnąć. Zwróciło jego uwagę, że stojący niezbyt daleko wysoki budynek pałacowy jarzy się od światła. Zapytał, co się tam dzieje. Odpowiedziano, że to Cecyna Tuskus gości wielu dostojników, wśród których pierwsze miejsce zajmuje Juniusz Blesus. Obaj oni byli w ówczesnym Rzymie postaciami wybitnymi i wpływowymi. Pierwszy, młeczny brat Nerona, w latach 63—66 sprawował godność prefekta Egiptu; stracił ja, gdy doniesiono cesarzowi, że ośmielił się kąpać w łaźniach zbudowanych specjalnie na jego, Neronowe, przyjęcie! Właśnie bezpośrednio po Cecynie Tuskusie prefektem Egiptu został Tyberiusz Aleksander. Drugi uczestnik biesiady, Juniusz Blesus, zarządzał do niedawna Galią lugduńską, czyli lyońską. Kiedy przed dziesięciu miesiącami armia Renu obwołała Witeliusza cesarzem, uznał ten akt bezzwłocznie. W jakieś dwa miesiące później podróżujący bardzo skromnie Witeliusz zawitał do Lugdunum, gdzie namiestnik użyczył nowemu cesarzowi służby i wsparł go nader hojnie. Podobno właśnie ta szczodrość Blesusa wywołała zawiść obdarowanego, zęczenie jednak ukrywaną przez czas długi — aż do owej nocy.

Gdy w otoczeniu cesarza zauważano, że patrzy on złym okiem na oświetlony pałac, zaraz podniosły się głosy pochlebców:

— Oto jak cieszą się tamci, kiedy nasz umiłowany pan zapadł na zdrowiu! A może właśnie dlatego?

Wnet też zjawił się w sypialni brat cesarza, Lucjusz,

Zachował się w sposób iście teatralny. Objął czule kilkunastoletniego synka Witeliusza — był to zresztą chłopiec niezbyt wydarzony, bo jękał się wręcz chorobliwie — a potem przypadł do nóg władcy, mówiąc z eiriazą:

— Po co bać się Wespazjana, który siedzi gdzieś daleko za morzem, skoro w samej stolicy i tuż pod bokiem mamy wroga stokroć niebezpieczniejszego? Blesus wciąż okazuje żołnierzom, jaki to on wspa- niałomyślny i łaskawy, a nie zapomina też o swym pokrewieństwie z dawnym rodem cesarskim!

Tak oczerniany dostojnik zginął tej samej nocy. Nie dano mu nawet możliwości obrony. Musiał wypić truciznę. Cesarz był ponoć świadkiem zgonu i wówczas to wyrzec miał słowa:

— Przynajmniej oczy napasłem śmiercią nieprzyjaciela!

Była to jedna z nocy w samych początkach listopada. A może już rankiem dnia następnego goniec zza Padu przyniósł wiadomość, że na polach pod Bedriakum toczyła się nocą z 24 aż do wczesnych godzin 25 października straszliwa, krwawa bitwa; zwyciężyły legiony Antoniusza Primusa.

W DRODZE Z SYRII DO EGIPITU

W espazjanowi zaś, jak się wydaje, doniesiono o tych tak ważnych i szczęśnych dlań wydarzeniach dopiero w ponad miesiąc później, a więc w pierwszej połowie grudnia. Owej tak niezwykle długiej zwłóce winna była po prostu pora roku; jesienna, nie sprzyjająca żegludze.

Cesarz już opuścił Antiochię i podróżował na południe, przez Fenicję i Palestynę ku Egiptowi. Przypomnijmy, że tuż po naradzie wojennej w Berycie ustanowił swoją kwaterę na czas jakiś właśnie w stolicy Syrii. Stamtąd wyprawił Mucjana i jego korpus przez Azję Mniejszą na zachód. Tam też spędził okres wczesnej jesieni, zatrzymały go bowiem niespodziewane wieści o groźnych zaburzeniach nad Morzem Czarnym. Gońcy donosili, że w krajach przybrzeżnych wzniecił powstanie niejaki Anicetus; był to wyzwolenc i swego czasu dowódca wojsk króla Pontu. Obecnie niby to opowiadał się za Witeliuszem, naprawdę zaś, jak podejrzewano, pragnął oderwać tamte ziemie od Imperium. Wykorzystał fakt, że na rozkaz Mucjana ściągnięto z miast nadczarnomorskich najlepsze okręty wojenne i niemal wszystkie załogi wojskowe; skierowano je do Bizancjum. Otóż Anicetus skupił wokół siebie rzesze biedoty. Przyzywał na pomoc szczepy górskie, półdzikie. Zdobył bogate miasto Trapezunt, wyróżnął stacjonującą tam kohortę. Spalił okręty, jakie jeszcze zdołał schwytać tu i ówdzie. Swoje oddziały uformował i uzbroił na wzór rzymski. Doradził barbarzyńcom, by pobudowali naprędce lekkie stateczki, czy też raczej łodzie o wąskich burtach i szerokich spodach, jakimi przedtem się tam posługiwano. Dokonując na nich wypadów pustosząco wybrzeża szeroko. Zaniepokojony tymi meldunkami Wespazjan natychmiast wyprawił z Antiochii kilka kohort pod dowództwem doświadczonego oficera. Sam pozostał w mieście, niecierpliwie oczekując, jak rozwiną się sprawy i czy nie będzie musiał sam interweniować. Wkrótce jednak przyszły wiadomości pomyślne. Udało się niezwykle szybko rozgromić zbieraninę Anicetusa. Resztki, wyparte na kruche statki, szukały wraz z samym

przywódcą schronienia u zaprzyjaźnionego księcia. Początkowo nie chciał on wydać Rzymianom rebelianta, ustąpił jednak, gdy dano mu do wyboru nagrodę lub wojnę.

Uspokojony cesarz mógł wreszcie opuścić Antiochię, by zgodnie z dawniej ustalonym planem zająć się Egiptem. Już w granicach tego kraju, lecz jeszcze nim dotarto do Aleksandrii, przyniesiono ważne listy; zwiastowały wielkie zwycięstwo nad Padem, odniesione pod koniec października. Rozgromiono pod Bedria-kum w morderczej bitwie nocnej sześć legionów Witeliusza! Zdobyto ich obóz pod Kremoną, zdobyto samą Kremoną! Droga do Italii i do Rzymu stoi otworem!

Mimo to Wespazjan, jak zawsze trzeźwy i przezorny, nie dał się unieść euforii. Nie uważał, że wojna już wygrana definitywnie. Wiedział, że Witeliusz może jeszcze liczyć na nowo uformowane kohorty pretorianów i inne, które zatrzymał przy sobie w stolicy. Legiony znanne z Brytanii, kohorty posiłkowe z Galii i Hiszpanii zapewne pospiesznie maszerują ku Italii lądem! Oddziały z prowincji afrykańskich ponoć już przewozi się morzem! Zmagania więc mogły się przedłużyć. W tym stanie rzeczy cesarz uznał, że sprawą najpilniejszą jest odcięcie Italii od wszelkich dostaw zboża, i to nie tylko z Egiptu, lecz także z terenów Afryki północnej, gdzie przeważali zwolennicy Witeliusza. Powziął śmiałą myśl, by wyprawić się tam, daleko na zachód, maszerując z Aleksandrii wzdłuż wybrzeży. Chciał zająć kolejno Cyrenajkę, Afrykę prokonsularną (dzisiejszą Tunezję), Numidię, Mauretanię. Kampania z różnych przyczyn trudna, lecz tego Wespazjan wcale się nie lękał — gdyby innego sposobu nie było.

Najpierw jednak wypadało dopełnić w dawnej stolicy Kleopatry ceremonii powitalnych.

Y/ESPAZJAN ALEKSANDRII

W itano go tu niezwykle uroczyście, a nawet wręcz entuzjastycznie. Był przecież pierwszym w dziejach cesarzem, który odwiedził stolicę Egiptu, dumną ze swego ogromu i wspaniałości. Owszem, przed niemal dokładnie wiekiem, bo w sierpniu roku 30 p.n.e., wkroczył w jej bramy Oktawian, wówczas już rzeczywisty pan całego Imperium, lecz przecież formalnie jeszcze nie cesarz; tytuł Augusta, pod którym przeszedł do historii jako twórca nowej postaci ustrojowej państwa, miał otrzymać dopiero w trzy lata później. Zresztą Oktawian stanął na egipskiej ziemi nie w roli gościa mile widzianego, lecz jako zdobywca i zwycięzca, który pokonał Antoniusza i Kleopatę, ostatnią prawowitą władczynię kraju; cień śmierci padał na królową, a już ogarnął jej męża i współwładcę, Antoniusza. Potem w ciągu prawie stu lat żaden cesarz nie pojawił się w Aleksandrii. Mówiono co prawda głośno, że z takim zamiarem nosi się Neron, poczyniono nawet pewne przygotowania i zbudowano specjalną łaźnię, w której ośmielił się wykąpać Ce-cyna Tuskus, płacąc za to dymisją z urzędu. Jednakże zaburzenia polityczne udaremniły Neronową podróż. I choć w ostatnich dniach swego panowania i życia pragnął uciec do Egiptu, wybrał się nawet w drogę do Ostii i spędził noc z 8 na 9 czerwca w Ogrodach Serwiliańskich, było już za późno. Także samozwa-

nieć na wyspie Cytнос do kraju nad Nilem nigdy nie dotarł, jakkolwiek właśnie to planował.

Lecz Wespazjan przybywał do Aleksandrii również jako pierwszy cesarz rzymski tu okrzyknięty. Mieszkańcy dobrze zdawali sobie sprawę z wagi aktu, który dokonał się właśnie w ich mieście, przed zaledwie sześciu miesiącami, w dniu 1 lipca. Myśleli i z dumą głosili, że postąpili wówczas słusznie, a los i bogowie sprzyjają temu, co się tu rozpoczęło. Z całą oczywistością dowodzi tego ostatnie zwycięstwo pod Bedriakum. Wieść o wspaniałym sukcesie wojennym wyprzedziła przyjazd cesarza i wywołała wśród mas radość niekłamana. Wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę, jak straszliwie mściłby się na Aleksandrii Witeliusz, gdyby to on zwyciężył; zmiądzzyłby bezlitośnie miasto, w którym wszczęła się rebelia! Było więc wiele powodów do szczerzej radości, a wśród nich i ten, zgoła nie najmniejszy: spodziewano się, że cesarz, który tyle zawdzięcza Aleksandrii, obsypie deszczem przywilejów, łask, dobrodziejstw cała społeczność ogółem i wielu jej przedstawicieli z osobna. Toteż nieprzejrzone tłumy zgromadziły się przed bramą wschodnią (zwano ją Kanobijską), w hipodromie, by jak najrychlej ujrzeć swego wybrańca i zgotować mu burzliwą owację. Był to ten sam hipodrom, w którym przed kilku miesiącami prefekt Tyberiusz Aleksander obwieszczał ludowi, że ma nowego cesarza. Stawiły się władze miasta, rada, kapłani wszystkich prawnie uznawanych bogów i kultów, uczeni z Muse-jonu, przedstawiciele stowarzyszeń, a także delegacje okręgów administracyjnych całego kraju.

Wspomnieliśmy już w innym związku o zachowanym w strzępach dokumencie papirusowym, który przekazał fragmenty protokołu, opisującego ceremonię

przywitania w hipodromie. Prefekt zwracając się do władcy wołał:

— Bądź pozdrowiony, panie nasz i cesarzu! Ludowi natomiast przedstawiał go jako bóstwo, które wreszcie raczyło się objawić ku radości wszystkich:

— Oto Wespazjan, nasz jedyny zbawca i dobroczyńca, oto słońce dla nas wschodzące!⁵⁸

Oczywiście wszystkie te greckie określenia: „so-ter” — zbawca, „euergetes” — dobroczyńca, „helios anatellon” — słońce wschodzące, miały swoją piękną i dawną tradycję w hellenistycznej religii oraz w kulcie panującego. Obsypywano nimi hojnie i łatwo niemal każdego władcę, bo nic to nie kosztowało. Przed pięćdziesięciu laty mieszkańcy Aleksandrii witali tak kogoś, kto był tylko członkiem rodziny panującej. Chodziło o Germanika, z woli Tyberiusza wielkorządcę prowincji wschodnich Imperium. Przerażony tą nadmierną czołobitnością, która mogła wzbudzić podejrzenia ze strony zawsze nieufnego cesarza, Germanik natychmiast skarcił pochlebców groźnie brzmiącym edyktem:

„Przyjmuję życzliwość, jaką okazujecie mi przy każdym spotkaniu, stanowczo natomiast wypraszam sobie wasze wołania; budzą one zawiść, stawiając mnie na równi z bogami. Przystoją one tylko rzeczywistemu władcy i dobroczyńcy całego rodzaju ludzkiego, mojemu ojcu i jego matce, mojej zaś babce (Tyberiuszo-wi i Liwii). Wasze aklamacje stanowią obrazę ich boskości. Toteż jeśli nie okażecie posłuszeństwa w tej sprawie, zmusicie mnie, bym nie odwiedzał was często!”⁵⁹

Te pojęcia i nazwy: zbawiciel, dawca łask, słońce, zostały wnet przejęte przez rodzące się właśnie wtedy chrześcijaństwo. Weszły na stałe, bo aż po dzień dzi-

siejszy, do zasobu symboliki i do liturgicznego języka Kościoła. Mało kto jednak wie i pamięta poza garstką badaczy, jaki był ich rodowód, jakie okoliczności i polityczne implikacje pierwotnego rozumienia, jakie czynniki sprzyjały ich tak szerokiemu rozpowszechnieniu w świecie grecko-rzymskim.

Wespazjanowi jako cesarzowi owe boskie tytuły przysługiwały w pełni, a ze wskazanych już powodów słowa prefekta spotkały się z miłym oddźwiękiem u ludu. Dziesiątki tysięcy obywateli metropolii, szczerze wypełniających ogromny hipodrom, odpowiedziało gromkimi okrzykami i oklaskami, mocno skandując i wielokrotnie powtarzając greckie wyrazy:

„Kyrie hemon, Euergeta, Sebaste, Sarapis!”

Czyli: Panie nasz, dobroczyńco, Auguście, Sarapisie!

Jeśli chodzi o tę ostatnią nazwę, przypomnieć wypada, że Sarapis był najbardziej czczonym i popularnym bóstwem w Aleksandrii. Rozległy się też tu i ówdzie wołania, nazywające Wespazjana synem boga Ammona i po prostu bogiem.

Dostojny gość wygłosił następnie krótkie przemówienie, zapewne po łacinie, skoro protokół zawiera słowa prefekta: „Cesarz rzekł, że życzy wam zdrowia!” Oczywiście przyjęto je znowu burzą oklasków i wołań przyjaznych.

APOLONIUSZ I SKAZAŃCY

Wśród tłumów witających Wespazjana w hipodromie Apoloniusza z Tyany nie było, choć już od pewnego czasu mieszkał i działał w samej Aleksandrii, zyskując sobie rozgłos szeroki. Tak przynajmniej

utrzymuje jego późniejszy biograf Filostrat, skrzętnie gromadzący, a częściowo też zmyślający i koloryzujący niezwykle opowieści o samym bohaterze.

Mędrzec przyjechał do stolicy Egiptu wprost z wyspy Rodos. Oczekiwano go tu niecierpliwie i zapraszano gorąco, albowiem sława jego nauk, obyczajów i zdumiewających umiejętności już od dawna szerzyła się w kraju nad Nilem, tak głęboko oddanym czci bogów i chętnym wszystkiemu, co dziwne, tajemnicze, obce. Tłum wielbicieli i zwykłych ciekawskich powitał Apoloniusza, gdy wysiadł z okrętu na portowym nadbrzeżu. Potem odprowadzano go ku śródmieściu, a przechodnie już z daleka rozstępowali się z szacunkiem przed owym pochodem, jak czyniono to spotykając uroczystą procesję, niosącą posągi bogów i przedmioty kultu. Towarzyszyło mu, notuje biograf, więcej osób, niż zwykło przyjmować nowo przybywającego prefekta prowincji! A więc nawet bogactwa i autorytet władzy takiego Tyberiusza Aleksandra bladły i przygasaly w porównaniu z respektem, jaki budził mąż cieszący się szczególną łaską bogów.

Właśnie w czasie tej pierwszej drogi przez ogromne miasto ujrzano na jednej z owych prostych, długich ulic orszak przejmujący grozą. Zbrojni prowadzili dwunastu skutych kajdanami więźniów, którzy szli z głowami ponuro spuszczoneymi:

— To rozbójnicy, niedawno pojmani. Id[<] ku miejscu straceń — objaśniono Apoloniusza.

Lecz on spojrzawszy uważnie na twarze kolejnych przestępców, gdy wiedziono ich powoli przed nim, rzekł głosem stanowczym:

— Nie wszyscy z nich są winni! Tamten oto — wskazał ręką jednego — został fałszywie oskarżony i wnet odejdzie wolny!

Zwrócił się następnie do strażników, prosząc ich usilnie, by szli możliwie niespiesznie tam, gdzie już wykopano dół grobowy dla skazanych, i by w każdym razie ścięli jako ostatniego człowieka, którego wskazał — zwał się on Farion.

I stało się — tak opowiadano — że gdy już ośmiu skazańców leżało z odrąbanymi toporem głowami, przygalopował jeździec, krzycząc z daleka, by wstrzymać egzekucję. Potem przekazał rozkaz:

— Farion jest niewinny. Przyznał się do zbrodni, których w ogóle nie popełnił, tylko i wyłącznie ze strachu przed torturami. Oczyszczył go jednak z wszelkich podejrzeń zeznania dalszych pojmanych. To człowiek uczciwy i z polecenia namiestnika ma zostać natychmiast uwolniony!⁶⁰

Opowieść nader pouczająca. Wystawia w swej warstwie fikcyjnej dobre świadectwo jasnowłdztwu Apoloniusza, w realiach zaś wyraziście, bo w sposób nie zamierzony, okazuje grozę, jaką budziły stosowane wówczas tortury; dowodzi też, jak sprawnie i szybko funkcjonował wymiar sprawiedliwości za namiestnictwa Tyberiusza Aleksandra.

APOLONIUSZ I OFIARY

IN astępnie Apoloniusz udał się, jak zwykł był czynić w każdym nowo odwiedzanym mieście, do najczciodszej świątyni; w tym przypadku był nią oczywiście przybytek Sarapisa. Leżał on w zachodniej części miasta, w dzielnicy Rakotis. Mędrzec podziwiał ogrom, wspaniałość i porządek architektoniczny całości, określając ją jako rzeczywiście boską i rozumnie

pomyślaną. Nie pochwalił natomiast, że tyle tu przy ołtarzu krwi zarzynanych w ofierze zwierząt, zwłaszcza byków i gęsi. Oświadczył kapłanowi wprost, że bogom nie przystoi taka strawa. Ten, bardzo zgorzony niezwykłym zarzutem, zapytał złośliwie:

— A skądże to wiesz, cudzoziemcze, że to nie tak należy składać ofiary?

Na co Apoloniusz odpowiedział pytaniem:

— A skądże ty wiesz, że to właśnie tak należy?

Kapłan, oburzony i dotknięty do żywego śmiałością, która w jego oczach graniczyła z beczelnością, zawołał głośno:

— A któż to jest tak niebywale mądry, że chciałby pouczać i poprawiać nawet Egipcjan? Apoloniusz zaś odparł spokojnie:

— Każdy, kto był przedtem w Indiach.

Wypada w tym miejscu przypomnieć, że on sam już odbył długą podróż do tej krainy. Obecnie pokazał kapłanowi, w jaki sposób można składać bogom w ofierze po prostu podobiznę zwierzęcia, ulepioną zmyślnie z masy żywicznej. Nie darował sobie przy tym uwagi:

— I ty będziesz współuczestniczył w spożywaniu wonnego dymu. Bo chyba nie wzgardzisz tą cząstką, skoro właśnie nią odżywiają się sami bogowie?

Pouczył również obecnych przy rozmowie, że samo topienie się owej podobizny, jak również właściwości jej płomienia mogą być bardziej pomocne w przepowiadaniu przyszłości niż zwyczajowe wróżby, dokonywane tu z płonących bierwion sosnowych lub cedrowych. I wreszcie dodał, zwracając się raz jeszcze do kapłana:

— A jeśli pojdziesz kiedyś tę mądrość ogniową, pojdziesz też, że krąg tarczy słonecznej, gdy podnosi się

znad horyzontu, odsłania wiele spraw przyszłych — tak samo, jak rozpraszając mroki nocy odkrywa przedmioty wokół nas istniejące!

Nie jest tak istotne, czy rozmowa to prawdziwa, czy też fikcyjna. W każdym bowiem razie stanowi ona skrótową, lecz bardzo wyrazistą ilustrację pewnych zjawisk i tendencji w życiu religijnym cesarstwa. Dowodzi przede wszystkim, z jaką odrazą patrzyły niektóre kręgi, zwłaszcza wśród intelektualistów, na tradycyjne ofiary krwawe, spadek po zamierzchłych epokach; szukano różnych dróg i sposobów, aby zastąpić to, co wydawało się prymitywne i barbarzyńskie, ofiarą symboliczną. Dopiero na tym tle w pełni zrozumiałe stają się nauki wczesnego chrześcijaństwa, jako zjawisko wcale nie odosobnione. Znajdujemy tu dalej dowód, jak wielkim autorytetem cieszyła się wzniosła religia egzotycznych Indii. Fascynacja tajemniczym Wschodem jest tak stara jak kultura europejska. Można by nawet rzec, że stanowi trwałą komponentę tej kultury chyba we wszystkich jej stadiach rozwojowych, jako przeciwwaga chłodnego racjonalizmu, tak typowego dla europejskiej mentalności. Znajdujemy wreszcie w słowach Apoloniusza wzmiankę o kulcie ognia i słońca; ten, rodem z Iranu, rozpowszechniał się wówczas szeroko w krajach Imperium.

W tejże samej świątyni Sarapisa mędrzec z Tyany wygłosił mowę, a raczej kazanie do aleksandryjczyków. Szczególnie ostro napiętnował ich pasjonowanie się wyścigami konnymi. Namiętność ta prowadziła do zamieszek, bójek, a nawet krwawych walk na ulicach miasta pomiędzy zwolennikami różnych stronnictw cyrkowych, a ginęło w owych starciach wielu ludzi. Mówca zakończył groźnymi słowy:

— Niech ogień spadnie na miasto pełne wrzasków i wyuzdanej bezczelności!⁶¹

Wyścigi rydwanów odbywały się oczywiście w hipodromie, położonym we wschodniej części miasta. Nic dziwnego, że po takim wystąpieniu Apoloniusz nie mógł i nie chciał odwiedzić miejsca przeklętego. Nawet w celu tak zbożnym, jak powitanie nowego cesarza. Nie stawiał się tam jednak również dlatego, że pragnął zaznaczyć swoją dumną wyniosłość i dać do poznania, że nie należy do tłumu pochlebców.

WESPAZJAN I APOLONIUSZ

Czytamy w biografii Apoloniuszowej, że natychmiast po wygłoszeniu mowy powitalnej przed ludem zgromadzonym w hipodromie cesarz zwrócił się do stojących obok osób zapytaniem:

— Czy prawda to, co powiadają, że sławny mędrzec z Tyany przebywa obecnie w waszym mieście?

Odpowiedziano, że tak jest rzeczywiście i że Apoloniusz działał już wiele dobrego dla całej społeczności mieszkańców. Co usłyszawszy Wespazjan oświadczył natychmiast:

— Chciałbym się z nim spotkać jak najrychlej. Są pilne sprawy, w których mógłby okazać się pomocny.

Przypadkowo znalazł się w pobliżu jeden z uczniów Apoloniusza, widocznie bardziej ciekawy widoku cesarza niż sam mistrz. Ten dowiedziawszy się, o czym mowa, zdołał przepchać się jakoś ku otoczeniu imperatora i rzekł:

— Mistrz przebywa obecnie w świątyni. Już wyra-

ził zgodę na spotkanie, kiedym się z nim rozstawał.

— Idźmy więc nie zwlekając — rozkazał cesarz — aby pomodlić się do bogów i porozmawiać z człowiekiem szlachetnym!

Biograf opowiada również, że Wespazjan postanowił sięgnąć po władzę cesarską w czasie obłężenia świątyni jerozolimskiej. Przedtem jednak pragnął zasięgnąć w tej sprawie rady Apoloniusza; toteż prosił go, by raczył przyjechać do Judei. Ten jednak odmówił stanowczo, nie chcąc nawet stopą dotknąć ziemi, którą skalają zarówno czyny, jak i cierpienia jej mieszkańców. Właśnie wskutek tej odmowy Wespazjan, już obwołany cesarzem, sam udał się do Aleksandrii, aby mimo wszystko poznać zdanie Apoloniusza.

Oczywiście rzecz jest całkowicie zmyślona. Wespazjan nigdy nie oblegał świątyni jerozolimskiej, a jego podróż do stolicy Egiptu miała swoje pełne uzasadnienie polityczne. Przytaczając więc powyższą opowieść autor biografii pragnął wykazać, jak wielkim i niezwykłym człowiekiem w oczach współczesnych był Apoloniusz. Nawet przyszły pan Imperium ubiegał się o jego rady! Nie żałował drogi, trudów i czasu, by ujrzeć i usłyszeć mędrca, który łaskawie wyrażał zgodę na spotkanie! Można twierdzić, że historyjki i anegdoty przytaczane przez biografę są przesadne, często naiwne, niekiedy wręcz zabawne. Pamiętać jednak należy, że takie ujęcie stosunku władcy do filozofa miało swoje znaczenie, propagowało bowiem ideał prymatu etyki nad polityką, mądrości nad sprytem i cynizmem, skromności nad pychą. Cesarz u stóp mędrca! Władca ubiegający się o łaskę posłuchania! To było coś, o czym marzyli intelektualiści wszystkich wieków w ciągu trwania Im-

perium. Głosili to tak wymownie, uporczywie i przy każdej sposobności, że niekiedy pobożne życzenia stały się niemal faktem.

Przybywszy do świątyni Wespazjan miał prosić Apoloniusza ni mniej, ni więcej tylko o to, by dał mu — panowanie nad Imperium! Mędrzec zaś ponoć przyjął te słowa poważnie i odparł:

— Już dałem ci władztwo. Modliłem się bowiem do bogów o cesarza, który byłby sprawiedliwy, szlachetny, roztropny, zdobny siwizną, kwitnący potomstwem prawych synów. Modliłem się więc o ciebie.

Obecni przytaknęli tej pięknej odpowiedzi wznosząc przyjazne okrzyki. Wespazjan zapytał z kolei:

— A jak oceniasz panowanie Nerona?

Apoloniusz odpowiedział przenośnią:

— Umiał on może stroić kitarę należycie. Rządy swoje wszakże zepsuł przez to, że niekiedy zbyt napinał struny, a kiedy indziej znowu zwalniał je i popuszczał swobodniej, niżby się godziło.

— Uważasz więc, że władca winien zawsze i we wszystkim zachowywać umiarkowanie?

— Nie ja tak uważam, lecz sam bóg, który wyraźnie określił, że sprawiedliwość leży pośrodku!

Co usłyszawszy Wespazjan podniósł ręce gestem modlitewnym i rzekł:

— Spraw, Zeusie, abym panował nad mędrkami, a mędracy nade mną!

Po tej wstępnej rozmowie obaj wyszli ze świątyni. Wespazjan wziął Apoloniusza za rękę, jak przyjaciela przyjaciela. Zmierzali powoli ku pałacowi, w którym cesarz miał mieszkać, orszak zaś postępował za nimi z szacunkiem, w niezbyt jednak dużym oddaleniu, skoro posłyszano i zapamiętano słowa władcy:

— Może uzna ktoś za niepoważne i niewłaściwe,

że biorę się do cesarzowania mając już lat sześćdziesiąt. Przedstawię ci więc obecnie, co mam na swoją obronę w tej sprawie, abyś później ty z kolei bronił onnie przed innymi. Nigdy, nawet jako młody człowiek, nie byłem niewolnikiem bogactwa. Urzędy i godności piastowałem tak roztropnie i umiarkowanie, by nie wydać się ani pyszałkiem, ani też tchórzem. Nawet za rządów Nerona nie myślałem o rebelii. Owszem, w moim przekonaniu panował on niezgodnie z prawem, lecz wziął swoją władzę od cesarza. Byłem mu więc posłuszny przez wzgląd na Klaudiusza, który swego czasu mianował mnie konsulem i doradcą. Na bogów, ilekroć widziałem, że Neron zachowuje się niegodnie, wspominałem tamtego władcę. Jakaż to wywłoką odziedziczyła po Klaudiuszu to, co najwspanialsze! Ale kiedy Nerona usunięto, sprawy wcale nie zmieniły się na lepsze. A losy rządów nad światem potoczyły się tak haniebnie, że wreszcie dostały się w ręce Witeliusza. Wtedy dopiero śmiało sięgnąłem po władzę. Uczyniłem to z dwóch powodów. Po pierwsze, pragnę, aby ludzie mnie cenili. Po drugie, uważam za swój obowiązek walczyć z pija-nicą. Witeliusz używa do kąpieli więcej pachnideł niż ja wody. Przypuszczam, że gdyby ranić go mieczem, wylałby nie krew, lecz olejki. Pije bez przerwy, żyje w zamroczeniu. Gra w kostki i drży ze strachu tylko o to, by rzut wypadł dobrze. Nawet mu nie w głowie, że stawką w tej grze jest całe Imperium! Ten niewolnik dziwek rzuca się na mężatki i głosi wokół otwarcie, że miłość połączona z ryzykiem daje więcej rozkoszy. Pomijam już rzeczy ohydniejsze, bo nie chcę nawet wspominać o nich przy tobie. Nie potrafię ścierpieć, że taki człowiek mieni się panem Rzymian. Z pomocą bogów będę tak postępował, aby być w

- ²⁷ Tacyt, *Dzieje*, II 89.
- ²⁸ Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, IV 10, 3.
- ²⁹ Tacyt, *Dzieje*, II 6.
- ³⁰ Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, IV 10, 5.
- ⁸¹ Tacyt, *Dzieje*, II 7, 41. ³² *Papyrus Fouad*, I, 8. ⁸³ O rodzie i życiu Tyberiusza Aleksandra: V. Burr, *Tiberius lulius Alexander*, Bonn 1955.
- ⁸ Józef Flawiusz, *Starożytności żydowskie*, XX 1, 2.
- ⁴ Tamże, XX 5, 1.
- ³⁶ *Dzieje apostołskie*, 11, 27—30.
- ³⁷ Józef Flawiusz, *Starożytności żydowskie*, XX 1, 2—3.
- ³⁸ I. Hołowiński, *Pielgrzymka do Ziemi Świętej*, Petersburg 1853, s. 415—416. ^M Tacyt, *Roczniki*, XV 28 (przekład S. Hammera).
- ⁴⁰ Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, VI, 4, 3.
- ⁴¹ Sulpicjusz Sewerus, *Chronica*, II 30.
- ⁴² Juwenal, *Satyry*, I 130—131.
- ⁴³ Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, VI 4 (przekład A. Niemojewskiego z pewnymi zmianami).
- ⁴⁴ Tacyt, *Dzieje*, U 81, 2.
- ⁴³ Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, III 8, 3.
- ⁴⁸ Tamże, IV 10, 7.
- ⁴⁷ Swetoniusz, *Żywot Witeliusza*, 13.
- ⁴⁸ Tacyt, *Dzieje*, II 95.
- ⁴⁹ Juwenal, *Satyry*, VI 553—581.
- ⁵⁰ Lucjan, *O gwiazdoznawstwie*, Wł. 1—2; 27—29 (przekład Madydy z pewnymi zmianami).
- ⁵¹ Tacyt, *Dzieje*, II 78.
- ⁵² Pliniusz, *Historia naturalna*, XIII 23.
- ⁵³ Tacyt, *Dzieje*, III 17.
- ⁵⁴ Marcjalis, *Epigramy*, X 32.
- ⁵⁵ Tamże, VI 76.
- ⁵⁶ Tacyt, *Dzieje*, III 36.
- ⁵⁷ Cynceron, *Ad iamiliaries*, VII 30, 1.
- ⁵⁸ *Papyrus Fouad*, I, 8.
- ⁵⁹ A. S. Hunt — C. C. Edgar, *Select Papyri*, II nr 211.
- ⁶⁰ Filostrat, *Żywot Apoloniusza z Tyany*, V 24.
- ⁶¹ Tamże, V 25.
- ¹³² Tamże, V 27—30.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Grobowiec Domicjuszów	5
Wyspa Cytos	9
„A wiesz, w Apokalipsie co znaczy Bestya?”	14
Patrząc na Rzym z Monte Pincio	18
Nauka o syzygiach	20
Czerwień i biel	23
Syrofenicjanka Justa	27
Dwie lub trzy Bereniki	30
Kiedy karzą bogowie?	37
Tespezjos w zaświatach	39
Grota Bachusa i krater zwińdów	45
Interpretacje	48
.	48
Ostatni krąg	51
Uwagi o kręgu ostatnim	55
Cesarz i intelektualści	57
Jak umierał Tytus	61
Apoloniusz i lew	65
Metamorfozy Amazisa	67
Egipska świątynia Oniasa	72
Ostatnia twierdza i ostatnia świątynia	76
Idąc w ślady Nerona	82
Tygellinus	85
Kalwia Kryspinilla	87
Prawice połączone, królestwo rozdzielone	90
Przygotowania wojenne	94
Powódź	96
Wymarsz	97
Jan z Gischali i Tytus	100
Jan z Gischali w Jerozolimie	104
Szymon, syn Giory, w Masadzie i Hebronie	108
Szymon, syn Giory, pod Jerozolimą	111

Jerozolima, kwiecień 69	114
Rzym, kwiecień 69	116
Ostatnie dni Othona	118
Samobójstwo Othona	123
Grób i chwała Othona	126
Wespazjan pod Jerozolimą	129
Proroctwa	132
Witeliusz pod Bedriakum	134
Losy pokonanych	137
Witeliusz i Neron	141
.	143
.	146
.	149
Pochód zwycięzcy	151
Witeliusz wkracza do Rzymu	158
Rebelia Wschodu — daty	162
Rebelia Wschodu — przyczyny	164
Góra Karmel	171
Mucjan i Tytus	173
Tyberiusz Aleksander i Wespazjan . Ród	176
Tyberiusza Aleksandra	181
O boskiej opatrności i o duszy zwierząt	185
Tyberiusz Aleksander, apostata	192
Helena z Adiabeny	195
Grobowiec Heleny	199
Tyberiusz Aleksander i Adiabeńczycy Judea, Armenia, Egipt	202
Tyberiusz Aleksander i Berenika	211
O los świątyni	214
W gościnie u Bereniki	216
Spotkanie z Appiaei"	221
O wierze Hellenów	225
10 miesięcy ab	230
Wielki zjazd w Berycie	233
Pieniądze, broń, strategia	235
Okowy skruszone	239
Rządy Witeliusza	242
Igrzyska i ucztę	245
.	248
.	253
Witeliusza żołnierze i wodzowie Sporus	
.	
Wymarsz	
Witeliusz i gwiazdy	
.	
Kobiety i gwiazdy	

Wespazjan i gwiazdy	257
Legio VII Galbiana	258
Portret Antoniusza Primusa	261
Przybywający do Poetovio	264
Narada w Poetovio	268
W Padwie i Weronie	271
Zdrada	272
Nowy konsul	277
Ogrody Serwilińskie	279
W drodze z Syrii do Egiptu	281
Wespazjan w Aleksandrii	284
Apoloniusz i skazańcy	287
Apoloniusz i ofiary	289
Wespazjan i Apoloniusz	292
Przypisy	297

*„Czytelnik”, Warszawa 1974. Wydanie I.
Nakład 30 290. Ark. wyd. 12,8; ark. druk. 19. Papier
druk. m/gł. 82X104, kl. IV, 65 g. Oddano do składania
21 V 1974 i. Podpisano do druku 8 X 1974 r. Druk
ukończono w październiku 1974 r.
Zakłady Graficzne w Toruniu.
Zam. wyd. 480; druk. 1183. W-114. Cena zł 25,—
Printed in Poland*